U KSIĘŻNEJ PANI

STANISŁAW WASYLEWSKI

U KSIĘŻNEJ PANI

WYDANIE PIĄTE PRZEJRZANE I UZUPEŁNIONE

LWÓW, 1920
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

PRZEDMOWĘ NAPISAŁ JÓZEF KALLENBACH
OKŁADKĘ RYSOWAŁ WŁADYSŁAW WITWICKI

ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM
CZCIONKAMI DRUKARNI JAKUBOWSKIEGO I SP., WE LWOWIE

SŁOWO WSTĘPNE DO WYDANIA PIERWSZEGO.

Spełniam miłe dla mnie życzenie Autora niniejszych szkiców, kreśląc kilka uwag wstępnych. Autor należy do młodszego pokolenia pisarzy, które z czasem będzie mieć osobną kartę w nienapisanej jeszcze historyi umysłowości polskiej z pierwszej ćwierci XX-go wieku.

Pokolenie to wyrosło na glebie dekadentyzmu i fin-de-siècle'u, miało od dziecka niemal usta skrzywione sceptyczno-ironicznem zgięciem, a przy pozornem uznawaniu autorytetu żywiło sporą dozę krytycyzmu i niemal gavroche'owej inwestygacyi wszelkich źródeł: „lubiło poważne" badania dla krotochwilnych wyników i na odwrót: krotochwilnie zaczęte badania kończyły się nieraz tem, że grymas ironiczny zamierał na ustach, a w oczach kręciły się uparte łzy szczerego, bo niespodziewanego wzruszenia na widok nagle jawiącej się prawdy, mniejsza o to, czy historycznej, czy literackiej tylko.

Szkice Stanisława Wasylewskiego są właśnie typowym zbiorem takich poszukiwań amatorskich,

ale nie dyletanckich, poszukiwań, do których wiodła „żyłka“ antykwaryczno-bibliotekarska: z pyłu foliantów lub broszur, od stu lat nierozciętych, wyłaniały się nagle, żywe postacie, wnęcały się do wyobraźni bujnej, młodzieńczej, szeptały jej spłowiałemi wargami dawnych wzruszeń mowę, wznawiały jakieś dawne serca bicie—prosiły się o wskrzeszenie bodaj na krótki dzionek — — i młody guślarz, nieraz na przekór codzienności upodobań, przywdziewał szatę poważną, aby odprawić obrzęd historyczno-obyczajowy i wywołać nikłe cienie to cięższych, to lżejszych duchów. Pobieżne odczytanie niniejszych szkiców może sprawić wrażenie mniej korzystne; dorywczy czytelnik gotów posądzić autora o lekkomyślność w traktowaniu osób, nie zawsze tej miary, co kapitan Piątkowski. Otóż temu zbiorkowi szkiców życzyłbym nietylko licznych, chciwych zabawy doraźnej czytelników; z pewnością, w dzisiejszych czasach nie zabraknie tej książce takich czytelników, co to między jedną a drugą wizytą, między jedną a drugą stacyą kolejową (horesco referens!) szczerze się Kongresem wiedeńskim ubawią i podziękują w duchu autorowi, że tak przyjemnie o Zuzannie Strzemboszównej gawędzi. Ale na setkę takich wesołych czytelników oby się trafiło bodaj kilku, którzyby nie tylko zabawną treść ocenili, ale także zastanowili się trochę nad niecodziennym kunsztem koronkowej roboty z nici pozornie szarych, ale tęgich, z poszukiwań nieraz bardzo mozolnych, a nie chełpliwych — kiedy to mijają tygodnie na rozczytywaniu się w stosach starej, pożółkłej i zapylonej bi-

biły, zanim się wyłowi cenną perełkę jakiejś wiecznotrwałej obserwacyi, jakichś szczerych wzruszeń serca. Taki bystry znawca uzna w szkicach Stan. Wasylewskiego nie tylko niezaprzeczony dowcip causeur'a, ale bardzo głęboki, a zawsze rzetelny podkład erudyta, ex-bibliotekarza, co wśród hałaśliwej pracy dziennikarskiej nieraz zatęsknił do owych niezwrotnych lat młodzieńczych, kiedy to Ossolineum bywało niewyczerpanem sezamem zawsze nowych wzruszeń szperacza... Z przypisów końcowych poważny czytelnik wyniesie niejedną cenną wskazówkę, a może i podnietę do dalszych poszukiwań.

Starszy czytelnik może czasem pokiwa posiwiałą głową z uśmiechem pobłażania przy drażliwszych ustępach, może po niejednym szkicu powie z cicha (nie bez zazdrości!): „oj! młody, młody!...“ Kto inny zadziwi się, że autor zubożył poniekąd sam siebie, skoro w szkicu o J. O. Romantyku umieścił częściowy tylko dorobek własnych poszukiwań, podanych w pełniejszej formie kiedyś w Pamiętniku Literackim (1910 r.) p. t. „U Switu Romantyzmu“; kto inny jeszcze z przekąsem może zauważy zbytnią u autora skłonność do konceptu — trudno wszystkim dogodzić. Ale nawet bardzo wymagający czytelnik przyznać musi, że autor niniejszego zbiorku ma już całkiem wyraźny profil literacki, że kroczy własnemi drogami i że zajść na nich może bardzo daleko, jeśli naprawdę zechce, a nawet dojść powinien wysoko, jeżeli w chwilach skupienia i ciszy twórczej powtarzać będzie wytrwale: excelsior!

Czasy nastają coraz poważniejsze, zmieniają się — et nos mutamur in illis... Co do mnie, nie wątpię, że Stanisław Wasylewski, nie zatracając żadnej z cennych i rzadkich zalet indywidualności pisarskiej, z każdym rokiem pogłębi dorobek umysłowy i obdarzy nas niejednym jeszcze klejnotem swych badań, ujętym w oprawę coraz wytworniejszej formy.

W Krakowie, dnia 12. grudnia 1917 r.

JÓZEF KALLENBACH.

U KSIĘŻNEJ PANI

I.

Nie sądźcie księżnej pani z jej portretu i nie sądźcie z czasów, w których żyła... Bo z tego sztychu starego patrzą na nas oczy ostre i surowe, a czasy w Polsce, za króla Sasa, były smutne i niechlubną zostawiły pamięć. Księżna pani jest inna, ani do czasów swoich, ani do konterfektu niepodobna.

Niech nam raczej opowie o niej jeden z jej listów. List dziwny. Żadna wojewodzina wileńska chyba takich nie pisywała i nigdy sygnet radziwiłłowski epistoły tyle układnej nie pieczętował! Ogromnie prosty i smutny list żony do męża. A oto słów jego parę:

...Z duszy najmilejsze jedyne kochanie,
Życia i serca, myśli, zdrowia Panie —
Gdym ci przysięgła małżeńskie ogniwo,
Póki mnie tylko trzymać będzie żywo
Bóg na tym świecie, związek niestargany
Utrzymać pragnę bez żadnej odmiany.
A jak bez rosy kwiat prędko więdnieje,
Tak ja, nie wiedząc, co się z tobą dzieje.
Dziś mnie zaś słońce ożywia i cieszy

*

Gdy Twój przyjaciel z listem do mnie spieszy,
W którym z pociechą czytałam te słowa:
Kocham Francisię i Bądź dla mnie zdrowa.
Całuję teraz nie tylko Twe stopy,
Lecz ślady nóg Twych, stąpienie i tropy,
Ten wiersz skracając, a razem z nim łączę,
Że miłość chyba wraz z życiem zakończę.
Toć konsekruje poprzysięgła żona,
Ciałem i sercem z duszą Twą spojona.
Że póki życia — jednostajnie, wszędzie
Najniższą sługą, wierną żoną będzie
Franciszka z książąt i księżna w te słowa:
Żem *Wiśniowiecka* i *Radziwiłłowa.*
Pierwsze przodkuje, bo w panieńskim stanie,
Drugie po mężu, w którym mam kochanie...

Owionął nas dziwny urok. Oto cicho drży biedne, rozkochane kobiece serce. Na wzorzysty robron adamaszkowy padają łzy, a koronkowy bonecik, zdobiący upudrowane włosy, ukrył się w białych dłoniach. Księżna Pani płacze... I rymy nieśmiałe, zgoła sztuką poetycką nie kalane — z łez swoich układa.

Jakaż literatura sprostać zdoła tej niewymyślnej mowie serca? Nie masz tu dyszącego czaru listów miłosnych słynnej Joanny d'Alcoforado, a Nowa Heloiza pewnie piękniej mówić potrafiła o swojem uczuciu. Ktokolwiek jednak i kiedykolwiek napisałby te wiersze, powiedzielibyśmy, że są przemiłe, a w swej prostocie jedyne.

Tembardziej zastanawia nas imię autorki: „żem Wiśniowiecka i Radziwiłłowa“... A więc wojewo-

dzina litewska, a więc hetmanowa wielka koronna, ks. Michałowi „Rybeńce“ poślubiona! Skądże to? Inaczej przecież myśleliśmy sobie zawsze o dawnej kobiecie polskiej wielkiego świata i inne listy ich znamy: na dużym bibulastym papierze ogromne cudaczne litery i codzienne słowa, odmierzone i powiedziane tak, jak zwyczaj nakazywał i dystynkcya. Skądże to u białogłowy i to XVIII. stulecia taki dukt jasny, a swoisty, skąd wreszcie za augustowskich czasów tak bujny kwiat uczuć, bez pudru literackiego i fryzury?

Pisane zaś były słowa owe w czasach ciemnych, gdy na zamku nieświeskim inkaust w kałamarzach zasychał, a jeno węgrzyn mnożył się w puharach i krążył wokół stołów biesiadnych... I tak pisała do męża wojewodzina wileńska w czasach, kiedy saskie barbarzyństwo skaziło polski obyczaj, kiedy panował August II., a Drezno i Błękitny pałac uczyły Polskę, jak wszelkich życia używać radości i wśród topieli umieć myśl zachować szaloną, niefrasobliwą.

Księżna Pani jest inną, nieprawdaż?

I ujmującą, choć jej jeszcze nie znamy bliżej.

Z tęsknoty, łez i miłości układała sobie rymy skromne, a pewnie jej przez myśl nie przeszło, że tak tego czynić nietylkoby żadna wojewodzina wówczas nie umiała, ale wogóle mało kto w Rzeczypospolitej. Jest ci wprawdzie w Rzemieńskim klasztorze białogłowa Elżbieta Drużbacka, „Safoną polską“ zwana, ale niechajże bieży co prędzej do Nieświeża, by kornie prosić księżnę panią o pouczenie i oddać jej prym przed sobą!

Już nas teraz księżna pani zaciekawia, już inaczej szukać będziemy dalszych wiadomości: kto była, do kogo i co pisała? Skwapliwie zajrzymy do historyków i stare weźmiemy do rąk herbarze. Do złotej sali nieświeskiego zamku pójść nam wypadnie i gruby tom komedyi księżnej pani przeglądnąć dokładniej. A potem — popatrzeć, jak wymyślne urządzała u siebie teatrum.

Uczoność wyjątkową u ówczesnej kobiety — poznacie i zapęd literacki, niekształcony, niewprawny a śmiały.

I mądrą, zabiegliwą o kulturę Nieświeża dbałość, nad zbiorami i biblioteką opiekę.

I zbożne, do piękna tęskniące życie!

A niech się nikt nie dziwi, gdy go w grubym foliancie prac księżnej uderzy często śmieszna naiwność i nieudolność, lub gdy pozna kaprys losu złośliwy i dowie się, że była matką syna tak bardzo różnego od siebie: matką Radziwiłła „Panie kochanku"!...

Jest rok 1746-ty, dzień 13-ty czerwca, a więc święto urodzin samego ks. hetmana Radziwiłła. Pora najlepsza. Będzie na zamku festival wielki, a wystawny, tłum gości stanie znamienitych i zadzwoni śmiechem fraucymer panien zamkowych.

Jedziemy do Nieświeża!

II.

Od kiedy zamek nieświeski, po dotkliwym w r. 1706. napadzie szwedzkim, w nową przyodział się szatę, od owego dnia pamiętnego, w którym ks. Michał Radziwiłł ostatnią latorośl królewskiego domu Wiśniowieckich, naszą księżnę, w dom swój jako żonę wprowadził — nie znano w Litwie całej milszego nad Nieśwież przybytku.

Bo też to była para małżeńska, jakiej nie szukać drugiej! Polorem świecił i wielkoświatową elegancyą, na dworach zagranicznych długie, a wesołe lata przepędził, ustatkowawszy się zaś po burzach młodocianego żywota, jedwabne wiódł życie pan na Nieświeżu, Ołyce, Dubinkach. Gdy zaś po babce żółkiewskie jeszcze dobra, 14 miasteczek i 140 wsi odziedziczył, gdy w r. 1744. hetmanem wielkim litewskim został i wileńskim wojewodą — splendor osoby ks. Michała Radziwiłła nie miał sobie równych a popularność rosła z dniem każdym.

A księżna pani! Nie zapuszczaj się z nią, bracie, w kontrowersye, chyba żeś dokumentnie uczony. Białogłowa-ci to niepiękna wprawdzie, zato dobrotliwa i dla wszystkich serdeczna. Powiadają, że dwa tysiące książek, co najtrudniejszych przeczytała i za najmilszą ma sobie rozrywkę z uczo-

nymi ludźmi prowadzić dyskursa. Nikt tam tego sprawdzić nie potrafi, ale pono jest księżna pani w Piśmie św. i w artykułych wiary katolickiej gruntownie biegła, w historyi, małoć tam ojczystej, ale uniwersalnej, w geografii, w sentymentach polityków wcale doskonała. Choćbyś był nawet na sejm deputatem — nie indaguj księżnej pani o sejmowe ustawy, bo cię w kozi róg zapędzi! Albo ci znagła jakąś przypowieść uczoną wyrecytuje, a ty, bracie, acz szerpentyną dzielnie władasz, nawet jej nie zrozumiesz, boś się — wiadomo — zaledwie przegryzł przez Alwara...

Była w tem walna zasługa jej ojca, Janusza Korybuta na Wiśniowcu, miłującego szczerze scyencyę wszelaką. Zapalony mowca i pisarz próbował się wstydliwie w rymowanej sztuce, dużo przez żywot ksiąg strawił, sam też wydając duchowne rozmyślania, panegiryki i pieśni religijne. Jedna z nich dziwna i wymyślna: „Św. Filipa niektóre akty strzeliste bez litery R". Książę Janusz bowiem, nie mogąc wymówić tej litery, najchętniej omijał ją w swych wierszach. Jedynaczkę swą edukował poczciwie: aż z zamorskich krajów zjechali preceptorzy do Czartoryska. Od nich to wyuczyła się księżna Urszula języków zagranicznych i gorliwie przykładała się do nauk wszelakich.

To też z atencyą wielką i niebyle jakiem uszanowaniem zjeżdżała brać szlachecka do Nieświeża, ilekroć książę hetman zapraszające rozesłał wici. Poszóstne karoce zwoziły znakomitych gości. Nierzadko senator jakiś zacny zawitał z Warszawy. Nierzadko księżniczka zagraniczna, zdawna z het-

mańskim dworem zaprzyjaźniona, uświetniała festivale nieświeskie.

Na jedną tylko sarkano odmianę: księżna pani pomiata tradycyami, księżna pani nie lubi pijaństwa, krzywo zawsze patrzy na to, jak się z piwnicy antałki węgrzyna do komnat toczą i ostro przykazuje, by w dubeltowem piwie nie przebierać miary. W zagranicznych — powiada — krajach smutną estymą cieszy się polskie opilstwo. Powiadają o tem we Francyi: „Quand Auguste buvait, Pologne etait ivre“...

Takie pewnie gadki chadzały pomiędzy gośćmi znamienitymi, którzy w upalny dzień 13. czerwca 1746. roku spieszyli do Nieświeża na święto urodzin ks. hetmana.

Szczególnie ciekawość wielka rozpierała białogłowy, gdyż opowiadano, że księżna pani obmyśliła na ten dzień siurpryzę dziwną i wcale od dotychczasowych inną.

Cóż ci to za siurpryza? Może taka, jak w Wilanowie była niedawno u p. Orzelskiej, gdzie „pewna białogłowa tańcując, różne sztuki na linie pokazywała“? A może tam urządzą „fête galante a la Watteau“, tak jak w pałacu błękitnym u króla Jegomości?

Gdzież tam! Co innego: teatrum pono będzie przez samą księżnę panią urządzone. Tyle ino wiadomo, że imci pan Pobóg Fryczyński rozstawnymi końmi aż do Drezna jeździł, zakupił tam larwy ucieszne, peruki i dziwaczne kostyumy, a panny respektowe już od miesiąca ról się uczą i dygów, niczem aktorowie, lub wesołki, gdy zagoszczą do

Wilna. Uczą się chętnie i skwapliwie, bo sztukę ową do grania sama księżna pani własnym obmyśliła konceptem, choć czasu nie miała, skoro zająć z dziećmi wiele, a ks. Karol, dwunastoletni, dopiero co z szkaradnej wyleczył się ospy. A przeto, gdy rzecz dobrze będzie odegrana, to i splendor stąd nowy na dom Radziwiłłów i dla ojczystej literatury zasługa!

Nie było już dawno żadnej komedyi, ni tragedyi polskiej, na teatrum przydatnej. Uwóż teraz będą, przez białogłowę napisane. Temu dziwowano się najbardziej.

Kiedy zaś w górę podniosła się kurtyna, ukazał się w perspektywie okazały, a dziwny pałac, wystąpiło na scenę trzynastu pasterzy i trzynaście pasterek, których ojciec nieszczęśliwy zwał się Lucydorem. Długo to trwało, zanim wszyscy pasterze do pasterek mizdrzyć się i zalecać skończyli w wierszowanej mowie, aż wreszcie Lucydor wkroczył „in persona". Zaczem przestraszeni pasterze wpadli na dowcipny pomysł: poustawiali się na postumentach w ogrodzie i jęli udawać posągi, zwiódłszy tem podstępnie starego Lucydora...

Wreszcie dobiegła do końca ta srodze swawolna igraszka i z kolei wyszły na deski cztery pory roku, bogini Dyana i Lucynda, „admirał z marynarzami" oraz dużo innych z mitologii osób, a wszyscy nuże winszować hetmanowi, iżby żył setne lata!

Uciechy było co niemiara. Huczny oklask dam i kawalerów stwierdzał, że jeszcze nigdzie na

świecie takiej pięknej sztuki dramatycznej nie widziano! Do kordaby się porwał nie jeden ze spektatorów, gdyby mu powiedzieć, że utwór księżnej pani srodze jest naiwny i dziecięcy, a też trąci mocno starym, francuskim konceptem. Ale któżby to mówił, i to tu jeszcze w Nieświeżu. Niechaj się bawią i cieszą i niechaj księżna pani dalej pisze swoje sztuki.

III.

O tem pierwszem przedstawieniu długo powtarzano dziwy w białych dworkach litewskich. Rada słuchała wciąż komplimentów księżna pani. Przeto po naradzie z imci panem Pobóg Fryczyńskim, a za łaskawem księcia hetmana zezwoleniem, postanowiono urządzać częściej takie ucieszne widowiska.

Powodzenie pierwszej, nieśmiałej próby tak zachęciło księżnę panią, że odtąd już nie ustawała w pracy — reżyser nieświeskiego teatru, pan Fryczyński nie mógł skarżyć się na brak zajęcia.

Aktorów miał coraz nowych. W pierwszem przedstawieniu wzięły udział li tylko panny fraucymeru, w następnych już i goście sami nie skąpili pomocy, zaś w grudniu r. 1746. najwięcej trudu musiał zadać sobie p. Fryczyński, bo na życzenie księżnej pani dzieci jej ukazały się na scenie. W strasznej tragedyi z dziejów starożytnego wschodu, p. t. „Opatrzności Boskiej dzieło", którą zagrano w dzień szczęśliwego przybycia z Warszawy ks. hetmana, wystąpiły młodziutkie księżniczki: Teofila i Karolina i ich bracia: Karol i Janusz.

Jak się przedstawienie udało — niewiadomo. „Straszna tragedya“ o królu Tygranesie, ani była zbyt odpowiednia dla główek dziecięcych, ani też zbyt łatwa do nauczenia. Musimy wierzyć na słowo p. Fryczyńskiemu, gdy w wydaniu komedyi księżnej pani zapewnia, że wszystko powiodło się znakomicie.

Sporo zaiste czasu zajęłoby tu wyliczanie dalszych szczegółów i dalszych tryumfów nieświeskiej imprezy teatralnej. Tyle chyba zauważymy, że rozmaitości nie brakło w wyborze przedstawień. W roku 1748. np. grano tragedyę o cesarzu Dyoklecyanie, potem znów jakąś komedyjkę francuską, z kolei molierowskiego „Doktora mimowoli“, poczem „Złoto w ogniu“, widowisko z dziejów Polski zaczerpnięte. A występowała w tych sztukach cała kolekcya najdziwaczniejszych postaci: egipskie króle, greckie filozofy, egzotyczne senatory, czarownice z bajki i boginie z Olimpu!

Wypracowania księżnej pani nie utonęły w niepamięci. Po śmierci jej w roku 1753. ów amant i reżyser sceny nieświeskiej zajął się ich wydaniem. Duża z tego utworzyła się księga, a że ją drukarnia nieświeska w małej tylko liczbie egzemplarzy wybiła, więc jest dziś białym krukiem i niewiele tylko książnic może się pochlubić jej posiadaniem.

A kiedy się dzisiaj te grube karty „Komedyi“ przegląda i czyta, widać odrazu, że na dobrych chęciach nie zbywało księżnej pani, ale, że wielkiego wyobrażenia o pisaniu dramatu nie miała; więc się nieraz roześmiać trzeba nad ułomnością

budowy, czy naiwnością pomysłu, nad czem się historycy literatury zastanawiają.

Za to szczerze polski, jasny i czysty był styl księżnej pani. Pod tym względem nie sprosta jej żadna z niewielu poprzedniczek literatury. Styl Radziwiłłowej blednie i łamie się w utworach, niby oryginalnych, za to potoczystość jego występuje w przekładach.

A oto dalsze wiadomości o owej pracy, jaką księżna pani podjęła nad odbudową kultury Nieświeża. Przyprowadziła więc naprzód do porządku pleśniejącą w lamusach bibliotekę zamkową, która pod jej opieką wzrosła do 9.000 tomów; zajęła się niszczejącą galeryą portretów radziwiłłowskich, a wreszcie namowami sprawiła, że ks. hetman, niezbyt do tych spraw ochoczy, zdecydował się przyprowadzić napowrót do życia drukarnię nieświeską, ongi, za humanizmu i reformacyi, sławną w całej Polsce. Powolny usilnym prośbom żony nie szczędził ks. Michał kosztów na urządzenie i zabiegów, aż wreszcie w roku 1750, przywilej króla Augusta II. potwierdził założenie oficyny, a jesienią tego roku zawrzała praca na opuszczonych z dawna kasztach. Księżna pani miała powód do rzetelnej radości: zasiane przez nią ziarna kultury jęły wchodzić na radziwiłłowskim zamku.

I to jej skromna, może jedyna pociecha! Bo życie innych nie niosło... Tak jak przedtem, czasu owych pięknych listów miłosnych, żoną nie była szczęśliwą i nie tak kochaną, jak pragnęła — tak i teraz w macierzyństwie brakło promieni słońca. Już dawniej dwoje nieletnich dzieci straciła,

a w r. 1750. zmarł nagle 16-letni Janusz, pociecha i duma matczyna. Brat Janusza bliźni — pomimo starań włożonych w jego wychowanie — niejedną ściągnął chmurę na strapione oblicza rodziców. Nie dziw, jeśli wspomnimy, że wyrósł z niego później — „Panie kochanku“. Umarła księżna pani dnia 23-go maja r. 1753. A książę hetman niezbyt długo bolał po stracie żony, skoro w pół roku po jej śmierci ożenił się za dyspensą po raz drugi.

Księżnej pani dzieje się krzywda w literaturze. Nie dlatego, jakoby była zapomniana. Owszem, nierzadkie są o niej wzmianki i wiadomości, od „Uczonych Polek“ Sowińskiego począwszy, do podręczników Tarnowskiego i Pilata. Jest też szkic osobny, bardzo piękny, z którego nieraz korzystaliśmy w tem opowiadaniu. To prof. Mycielskiego „Matka księcia Panie kochanku“ (Kraków 1883).

Dzieje się krzywda księżnej Radziwiłłowej dlatego, że o jej skromnych pracach literackich wspomina się z uśmiechem, historyk literatury bierze do rąk sondę krytyczną i wytyka autorce „Komedyi“ usterki i braki. A przecież nie o to idzie... Niech tam sobie będą utwory naiwne i nieoryginalne, stąd, czy z owąd przerabiane, to przecież już same jej aspiracye literackie, ta jej kulturalna, wśród ciemnej, obskuranckiej society inicyatywa nie jest bez znaczenia. W czasach saskiej jeszcze ciemnoty, jasna postać księżnej pani rysuje się wyraźnie.

Za Stanisława Augusta podniesie się prawie nagle i jakby gwałtownie poziom umysłowy ko-

biety polskiej. Pani z wielkiego świata, urządzająca teatr i uczone wieczory, będzie już nie dziwnym wyjątkiem, ale przeciwnie — objawem mody. Tego ruchu była księżna Radziwiłłowa poprzedniczką i orędowniczką. Więc zasługuje na ciche w dziejach kultury wspomnienie. Nieprawdaż?

O HERSZKU RYTOWNIKU

Z zakątu książnicy starej wydobyłem wielką *in atlanto* księgę, którą niełatwo ku biurku wydźwigniesz. Pergamin dostojnie ciężki, wilgocią wieków pomarszczony. Na okładce ze szczerej, skóry świńskiej, z dwu chyba prosiąt ściągniętej błyszczała kiedyś wyciśnięta złota mitra książęca. Dziś starta już i blada. Tytuł we wnętrzu: ICONES FAMILIAE DUCALIS RADIVILLIANAE. W Nieświeżu 1751 r. Chrzęści łoskotliwie i niechętnie zgrzyta karta pergaminowa, gdy ją odwracać. Migają przed oczyma ryte w miedzi portrety, dwie prawie seciny kopersztychów. Ku uświetnieniu rodowych wspaniałości wydano ją ongi, o zmierzchu Rzeczypospolitej, na Litwie.

Z czterech wieków *familia ducalis* Radziwiłłów w komplecie. Sztychy, nie słowa opowiadają nam historyę najpotężniejszego rodu Litwy, który tyleż dumnych, co smutnych kart w jej dziejach zapisał. Po wirydarzu dostojeństw i blasku zaczniemy przechadzkę. Obaczysz fizyognomie wszystkich onych oligarchów z Nieświeża, Ołyki i Dubinek, na których z lękiem nieraz — bywało — patrzył król Jegomość, a czasem drżała wobec nich niespokojnie jagiellońska idea państwowa. Hetmani są wielcy, koronni i litewscy, kardynałowie i kan-

clerze, senatory i wodze. A wszyscy w gloryi pomazańczego ceremoniału familii: przybierają do imion przydomki monarsze i biorą dystynkcye, niczem królowie świata. Jest też dostojny, szumny fraucymer kobiet. Białogłowy z domów polskich, a nierzadko i zamorskich. Hoże, jak biała rzodkiew rozrośnięte, antenatki i potomkinie królowej Barbary, albo suche, wysokie w szyi matrony, lub principessy z farmazońskich krajów, ambrą i paczulą woniejące.

Dwie setki sztychów bez mała, a jakaż rozmaitość żywotów ludzkich! Zaiste „próba cnót dobrych i nauka na złe przypadki“. Przypomnisz senatorów, dobrze zasłużonych i hulaki, dobrze napite, a przedsię poznasz — tak jak się w dziejach rodziny przejawiała — przeróżność człowieka. Korowód imion i twarzy nieprzejrzany: Krezusy nieświeskie i wyzbyci z mienia asceci, fantaści i dusze przyziemne, rebelianci i skromnisie, Harpagony i rozrzutnisie.

Chrzęści łoskotliwie i zgrzyta niechętnie karta pergaminowa, coraz dalej i dalej obracana. Idą wielmoże, królowi Jegomości zuchwale nieposłuszni, ówdzie królewięta dufne, mściwe a zapamiętałe. Medyceusze wileńscy i niedouki ołyckie, żarliwi innowiercy i znowuż papiści namiętni, waleczni witezie lub owszem rozwiązłe obżartusy... Pogromcą Moskwy i bisurmanina bywał jeden, świątobliwym zasię mężem drugi. O tym tu jako o sawancie i grzebaczu książkowym mówi historya, tamtego strojnisia w atłasowych kulotach z lampasami ciemnym ignorantem nazywa tradycya.

Zobaczmy-ż podpisy na sztychach.

Z pierwszego zaraz wizerunku patrzy ku nam mityczny prawie założyciel dynastyi, Woyszund potomek Lizdejki podobno, zaś niewątpliwy syn Syrpucia. Pogańskiej Litwy potentat i bojar, nakształt zwierza obrosły, a do żubra owego podobny, którego może z ostępu za rogi wywodził. Przy nim małżonka jego Owka Praksedis w dziwaczne tkaniny niezgrabnie okutana ducissa vitebscensis. Im głębiej w dzieje, tem więcej imion znanych z dziejów i powieści.

Oto Mikołaj Czarny, króla Zygmuntowy przyjaciel, protektor kalwinów i wydawca biblii, dalej kardynał Jerzy, który tylko wskutek wieku młodego papieżem nie został. Zaczem brat jego Stanisław pobożny, równie w szabli, jak w językach zagranicznych tęgi, co z Batorym pod Pskowem śmierci szukał, a w drodze do miejsca świątobliwego Loretto ją znalazł. Tamten znowu gładysz o trefionych włosach to Albrecht Radziwiłł, wróg unii z Koroną i separatysta litewski, głośny splendorem i przepychem, historyk, pogromca inowierców.

A dalej linia młodsza, gwałtowna, hałaśliwa, awanturnicza. Barbara z niej wyszła i demon złowrogi, choć żołnierz arcydzielny Krzysztof „Piorunem“ zwany, kanclerz i wojewoda. Wreszcie Mikołaj Rudy, królewię litewskie po śmierci Zygmunta Augusta, doskonale w dziejach wojny polskiej zapisany.

Ma się ku końcowi rząd kart pergaminowych. Jeszcze się mignie smutna twarz Radziwiłła Sie-

rotki, co to do Ziemi św. podróżował, ówdzie natkniemy się na zawadyacką czuprynę haniebnego zdrajcy ks. Janusza. Jeszcze Amor Poloniae, Mikołaj, który na zjeździe monarchów w Preszburgu Wierzynkowi w luksusie dorównał. Jeszcze przypomnijmy Udalryka Krzysztofa Radziwiłła, dziwaka, mechanizmy cudaczne konstruującego, autora dziejów świata w 8 tomach i przegląd zakończmy imieniem nieśmiertelnego dowcipnisa, królika litewskiego i pijanicy — ks. Karola „Panie Kochanku".

Wertując „Icones", spostrzegliśmy już dawno, że nas więcej ciekawią miedzioryty same, niż historya familii. Jak starannie bowiem trawione są te sztychy, jak bawią oko misternie dziergane szaty! Istna profuzya toalet: delje, kontusze i gronostaje, kryzy niewieście i kornety, włoskie atlasy, sajety, parcze, aksamity, rysie kołpaki, kolczugi ciężkie, francuskie grodetury wreszcie i żaboty.

Miał-ci chyba robotę nielada twórca owych sztychów. Kim zaś był, nie wiedzieć, bo praca nieznaczona. Na księdze podpisał się tylko sam jej wydawca, kustosz zbiorów nieświeckich Imći pan Wobe.

Za chwilę staje przy biurku, na którem książkę oglądamy, historyk sztuki i także podziwia pracę rylca anonimowego.

Urządza na poczekaniu uczony wykład o dużej sprawności technicznej i talencie niewiadomego autora i stwierdza, że te miedzioryty, na podstawie portretów wykonane, zaliczyć trzeba do ważnych zabytków naszej, niebogatej sztuki

rytowniczej w XVIII wieku. Szkoda, że twórca nieznany. Musiał być pewnie Włochem, Niemcem lub Holendrem, który dużo umiał i dużo po świecie widział. Sprowadził go pewnie ordynat nieświeski na Litwę, tak jak nieraz patrycyusze polscy sztycharzy zachodnich ad maiorem domus gloriae na dwory swe sprowadzali. Trzeba — mówił dalej historyk sztuki odszukać koniecznie nazwisko twórcy „Iconów“, bo nie godzi się, by pozostał zapomniany.

Może natrafimy na ślad jakiegoś nowego Jeremiasza Falka, lub pomnoży poczet rytowników polskich ktoś równie tajemniczy, jak ów akwaforcista XVII w. Maciej Morawa, czy też ów, równie z prac swych jak i nazwiska swojski — Jan Ziarnko?

Dopiero o wiele później i prawie przypadkiem odszukałem nazwisko sztycharza. Nie był ani Włochem ani Holendrem. Imienia nie nosił świetnego, a świata nie wiele oglądał. Nazywał się bowiem tylko — Hersz Lejbowicz, żydowin skromny z zapadłych domków Nieświeża, gdzie się urodził i gdzie umarł. Może był pachciarzem jednego z książęcych folwarków, może skórką zajęczą handlował, niewiadomo — dość, że w wolnych chwilach imał się ten niesamowity człowiek spraw, którym litewscy żydkowie bardzo się dziwować musieli: rył sztychy na blasze. Pewnie śmiano się z niego w domkach na przedmieściu, pewnie kiwano z politowaniem głowami, mówiąc: „Ten Herszko, to on jest pomylony“. Zapewne tak było, bo zresztą niewiele zdołałem się dowiedzieć o Her-

szku rytowniku. Coś niecoś wspomniał o nim Władysław Syrokomla w „Wędrówkach po moich niegdyś okolicach“ (Wilno, 1845) oraz Rastawiecki w „Słowniku rytowników polskich“.

Herszko Lejbowicz żył lat siedmdziesiąt. Urodzony w r. 1700, umarł w 1770. Prócz portretów Radziwiłłowskich wykonał na blasze rycinę do dzieła „Kazania y mowy na pogrzebie Anny z Sanguszków Radziwiłłowej“ (Wilno 1750). Na tej ostatniej rycinie dochowany jest też jedyny ślad nazwiska i człowieka: *H. Leybowicz sculp. Niesvisii.*

Gdy w roku 1750. powstała z przywileju królewskiego drukarnia Radziwiłłowska w Nieświeżu, otrzymał nasz Herszko rozkaz surowy, aby do pierwszej księgi, jaka prasy drukarskie opuści, miedzioryt piękny przysposobił. Były to wspomniane już „Kazania“. Malarz jakowyś zamorski, Maurycy Petetti, wyrysował wnętrze kościoła Jezuitów w chwili pogrzebu ks. Anny, Lejbowicz zaś wyrył to pięknie na ogromnego kształtu blasze.

Snać musiała ta praca zadowolić nieświeskie gusta, skoro go wnet dosięgła bardzo zaszczytna propozycya. Oto rozkazał książę Pan, iżby żydowina wpuścić na podwoje zamkowe i w Hetmańskiej sali usadzić.

Horror! — pomyśleli dworzanie i panny z fraucymeru, cóż to za czasy nastały, jakoż żydowin w Hetmańskiej sali?! Ale książę hetman rozkazywał dalej: Niech tam Lejbowicz siedzi tak długo, póki wszystkich 165 portretów na blasze nie odtworzy i niech Imć Pan Wobe objaśnia, które

konterfekty piękniej, które zaś pośledniej wykonywać ma. A gdy ukończy, księga się z tego ułoży poczestna na chwałę świetną przodków rodu i na pamiątkę potomnym!

Musiał być nie na żarty w opałach Herszko rytownik. Sto sześćdziesiąt portretów, a niektóre takie brzydkie, że Boże zmiłuj się! Ale zrobił to, co mu rozkazano. Zrobił tak, jakby tego może nikt inny nie uczynił w ciemnej i nieuczonej Polsce czasów saskich.

Nie zdziwił się wcale, gdy go zapomniano na dziele podpisać. Bo jakże koło hetmanów i senatorów — Herszko rytownik? I potem także zapomniano o artyście z nieświeskiego przedmieścia, który przecież pomnaża nieliczną rodzinę naszych sztycharzy. Godzi się go wydobyć z mroków niepamięci i położyć naszym historykom sztuki na sercu sprawę — Herszka rytownika.

O TEM, JAK AMOR PANU KOŚCIUSZCE NIE SPRZYJAŁ

W biografii każdego chyba wielkiego człowieka bywa jedna przynajmniej kobieta, która jest na końcu smutna i mówi do siebie: żebym to ja była naprzód wiedziała! Mówiła tak zapewne Ludka Śniadecka, żałując, że nie została Juliuszową Słowacką, myślała tak może i Marya Trembicka, której tak łatwo było stać się panią Norwidową, Wodzińska żałowała Chopina, *a last no laest* dziwnie się działo w duszy p. Maryi Puttkamerowej, gdy wzgardzony student wileński wyrastał na wieszcza norodu. Taka sama jest sprawa p. Józefowej Lubomirskiej *née* Sosnowskiej, w której kochał się i którą najsolidniej na kobierzec powieść zamierzał 29-letni aspirant na oficera Najjaśniejszej Rzeczypospolitej — Tadeusz Kościuszko.

Sposób, w jaki wojewodzianka z Sosnowicy znalazła się w życiorysie *summi Polonorum ducis* jest bardzo prosty, zawstydzająco prosty, jak na „*femme galante*“ XVIII wieku, tak, iż nie dziw, że go później tyle razy kolorową bajeczką upiększyć usiłowano. P. Józefowa Lubomirska żałowała później przez całe życie, że epizod sosnowicki był tylko — epizodem. Lecz któż mógł naprzód przy-

puszczać, że w zakątkach sosnowickiego parku skryta jest nieśmiertelność?

Rzecz jest o tyle przykrzejsza, że biografowie p. Ludwiki nie szczędzą jej za to słów cierpkich i grawaminów. Uczynił to świeżo dr. Fr. Koneczny („Kościuszko", Poznań 1917) mocno poirytowany całą t. zw. sielanką sosnowicką. Powiada p. Koneczny, że próżna p. starościna chwaliła się przed światem tem, czego wogóle nigdy nie było, że popisywała się i pyszniła miłością Kościuszki, gdy tymczasem „Kościuszko na takie rzeczy wogóle czasu nie miał". Był on bowiem z jednej strony „umysłem zbyt poważnym i dobrze wychowanym", a przeto „wykluczone są wszelkie przypuszczenia o wyznaniach miłosnych" — z drugiej zaś, „typ panny rozkochanej i próbującej sił swych na młodzieńcach nie istniał wówczas".

Może p. Koneczny ma racyę, twierdząc, że wyznania miłosne przystoją tylko ludziom — źle wychowanym, nie mniej wszakże prawdą jest, że Kościuszko, bawiąc w Sosnowicy, nie miał na sobie racławickiej sukmany, lecz tylko szlify korpusu kadetów, że był dla panny Ludwiki tylko zajmującym młodzieńcem, a nie świętym herosem z marmurowego pomnika, a wreszcie, że oboje żyli w stuleciu, które na szyldzie wypisało sobie słowa: „Straconą jest każda chwila w życiu, której nie poświęciłeś miłości".

Wogóle zdaje się, że p. Koneczny w gorliwości swojej przylepił listek figowy tam, gdzie go wcale przylepiać nie potrzeba. Nie dostrzegł zaś przedziwnego, jedynego w swoim rodzaju, piękna sie-

lanki sosnowickiej, która ujęta jest w przepyszne ramy stylowe. Stylową jest harmonia i jej zgrzyt, jej dekoracya i ludzie, łzy i tęsknota. Ze starego sztychu Fragonarda zeszli wszyscy i mówią wersetami Boile'au. Jest Laura i Filon, akord szpinetu i cicha melodya: „Te brzóz kilka, ten brzeg wody tak mi wiele przypomina". Dziejów pierwszej miłości Naczelnika słuchasz tak, jak gdybyś z sepecika prababki przemiłych dobywał drobiazgów. A wszystko w blaskach mitu o Naczelniku. Uboższą byłaby legenda Kościuszkowska bez — Sosnowicy.

* *
*

Miał pan Kościuszko kurtkę granatową z ponsowym wykładem, guziki złote i lat dwadzieścia trzy, a nie był znowu taki brzydki, jak mówią uczeni historycy, skoro w parę lat później w salonach p. de Stael będzie księżna d'Abrantès podziwiać jego „imponująco postawę i postać pełną gracyi". Aplikował się przez tydzień gorliwie do nauk w szkole rycerskiej J. kr. Mości, bębnił katechizm kadecki i żywoty Neposa, patrząc, rychło-li niedziela przyjdzie. W niedzielę bowiem mieli kadeci wychód dozwolony i *petits jours* bywały na salonach warszawskich. Atrakcyą byli zaś dla stolicy nielada. Przejęci galanteryą dworu Ludwika XV. znali *expedite* maksymy filozofów oświecenia i rozprawiali o nich w kompanii. Stronili od kielicha, przywykli do ochędóstwa i subordynacyi wojskowej. A nadto „nabyli — jak zaświadcza człek współczesny — nieprzyzwoitości w obco-

waniu z damami". Warszawa na rękach nosiła wychowanków króla Jegomości, oni też wszędzie statecznie tańcowali, najchętniej wszakże odwiedzając pensyę pani Schmidt, gdzie wieniec był panien dobrze urodzonych na edukacyi. Na pensyi u pani Schmitd edukowały się też obie wojewodzianki, pana ze Sosnowicy, hetmana — już wkrótce — litewskiego i komendanta wielmożnego córy urodziwe.

Czy już wtedy w r. 1769. poznał pan Kościuszko wojewodzianki, swe familiantki dalekie, czy też później dopiero, po powrocie z paryskiego wojażu, o to spierają się historycy. To wszakże rzecz pewna, że od pierwszego wejrzenia pokochał starszą, a sobie rówieśną Ludwikę.

Miała panna Ludka nietylko lica kształtne i kosy bujne, pozłociste, lecz i sentymenty bogate w duszy. Aż dziw skąd jej się to wzięło? Nieskoremu do pochwał profesorowi retoryki w szkole rycerskiej, ks. Nagurczewskiemu, wydały się, „zabawy jej, lubo pierwszej jeszcze młodości" odrazu „szczególnie do pożytku i dobra pospolitego zmierzające". Dowie się o tem wkrótce cała Warszawa, gdy u p. Grölla na Marywillu wyjdzie z pod pras spora książeczka „*Sokrates wieśniak, albo opisanie życia gospodarskiego*", którą „J. J. WW. Imć. Katarzyna i Ludwika Sosnowskie, pisarzówny W. ks. Litewskiego" rozumnie i kształtnie, chociaż własnoręcznie z francuskiego na polskie przetłumaczyły.

Wiedział niechybnie o tem wszystkiem pan Kościuszko, podziwiał szczerze uczoność, o jakiej



LUDWIKA SOSNOWSKA.

na litewskim zaścianku nie słyszano i coraz gorętszym afektem gorzał. Zrazu jak najlepiej układały się rzeczy. Fortuna śmiała się do kadeta Jego król. Mości, aż szczęściu wierzyć nie chciał. Bo i jakże to się stało, że do Sosnowicy oboje pojechali? Po prostu, Pan wojewoda, złego niczego nie przeczuwając, zlecił Imći Kościuszce, którego ze szkół brzeskich jeszcze pamiętał, iżby mu przez czas letni córki obie doskonalił w rysowaniu i malarstwie. Nikt chyba nigdy posłuszniej nie spełnił rozkazu wojewodzińskiego i żadne lekcye u pani Schmidt nie budziły w sercu panny Ludki takich ciekawości, jak owa z metrem Kościuszką.

Był w Sosnowicy park stary, rozkoszny w poświacie księżyca, więc gdzież się skryć amorowi, jak nie za oparciem marmurowej ławki? Z zapałem, z jakim sam Nodier nie strzygł ogrodów wersalskich, zabrał się Kościuszko do regulacyi sosnowickiego zagajnika (ze sztuki ogrodniczej słynął jeszcze w ojcowskich Siechnowicach, gdzie urządził głośny w okolicy labirynt). Uczoną rozmową i malowaniem wzorzystem barwił doskonale szarość wsiowych dni, przystojnym dowcipem weselił buziaki wojewodzianek, tedy szybko rozbudził w starszej *les premiers sentiments de sensibilite.* (Sama tak z wdzięcznością powie po latach).

Znalazły się wkrótce wszystkie nieodzowne akcesorya, których wiek XVIII do budzenia wzruszeń miłosnych używać nakazywał: gitara, cicho o struny wieczorem trącana, zaciszna „berceusa“ w tajemniczem ustroniu, kępa natchnienia w „cichej solitudzie“ i sekret przed Ich Mość Rodzi-

cami najgłębszy, którego do czasu nie zdradzi „ciocia przyzwoitka“ p. Zenowiczówna. Zaczem potoczyły się sprawy, jak się zazwyczaj toczyć zwykły. Najlepiej opowiadają o tem poeci, więc i my posłuchajmy poety, tem bardziej, że relacya jego zupełnie dotąd biografom nieznana.

Daleki kuzyn męża p. Ludwiki, zapomniany, a wielce ciekawy poeta, jeden z pierwszych romantyków, Edward Lubomirski, napisał później poemat osyaniczno-romantyczny, na tle życia Naczelnika osnuty, p. t. „Groby w dniu śmierci T. Kościuszki. Dumy rycerskie“ (Warszawa 1821) i pieśń jego czwartą miłości sosnowickiej poświęcił. Rzeczywistość jest naturalnie zatarta, jakoteż odmienione imiona i okoliczności, ale utwór wart przypomnienia: dużo ma bowiem smaku w całości, a czasem ustępy, godne pierwszych piór romantyzmu. W jakimś uroczym zakątku na Wołyniu mieszka w zamku ojców Zofia. Kościuszko wrócił właśnie z Ameryki i dąży po nowe wawrzyny na pola Dubienki. Koń, idąc za głosem serca swego pana, zbacza z drogi i wiedzie go nad Ikwę. Bo skoro „Herman kochał Tusneldę, a Cyd Ksymenę, to wolno i polskiemu Pelidowi mieć swoją Bryzejdę“. „Obszedł chodniki, kręte przebiegł szlaki“ wreszcie w „kruchej łodzi“ płynie do wysepki na stawie, gdzie „miłość chytrych nie lęka się szpiegów“, gdzie się „zieleni kępa natchnienia“.

Chodnik przybytkiem, ona bóstwem cnoty
W pierwszym się jemu wydały zapale,

Podobne ścianom kwitły żywopłoty,
Dęby, jak słupy, stały tam wspaniale,
Podając sobie zielone ramiona,
Strzechą plecioną tworzyły sklepienie.
Lśniła się wkoło przestrzeń oświecona
Przez nocnych świateł srebrzyste promienie.

Na tle tej dekoracyi siedziała na darniowej ławeczce ona i wzdychała, trącając o struny gitary. Zofią nazywa ją dla niepoznaki poeta, niemniej przecież upodabnia ją do wojewodzianki. („W loki trefione włosy ciemnozłote, wdzięcznie się wkoło gładkich skroni wiły“). „Śpisz skowroneczku, ptaszku błogi“ — śpiewała smętnie bohaterka „Dum rycerskich“ i dobrze im obojgu działo się na „Kępie natchnienia“. Kościuszko

Oczy w zjawieniu zatopił tej nocy.
Nagła na chwilę radość i zdumienie,
Duszę od zmysłów uwalniając mocy.
Ruch mu odjęły, przytomność i tchnienie.

Szczęściem ich było — spoglądać na siebie,
Pociechą — liczyć przeszłe męki, łkania,
Przysięgą — ślubem złączyć duszę w niebie,
Żalem znów — myśleć o chwili rozstania.

Ale wróćmy do rzeczywistości. Dowiedział się bowiem o tem wszystkiem pan wojewoda. I on jest także od stóp do głów — stylowy. Taki właśnie, jak trzeba: czarny charakter w idylli. Jeszcze nigdy żaden wojewoda nie odczuwał uroku

altanek w cichej solitudzie, szczególnie wtedy, gdy w nich flirtowały wojewodzianki — więc i p. Sosnowski zrobił to samo, co stolnik z „Pana Tadeusza“ i ów „Pan Brzeżan“ co „w cudnej mieszkał okolicy“ „Jackowi czarną podano polewkę“. Nietylko bez ceremonii, ale nawet z despektem i awanturą. Pan wojewoda, człowiek — jak później wyszło na jaw — nieciekawy i pospolity, przekupny podnóżek Repnina i Stackelberga, ani myślał oddawać córki jakiemuś litewskiemu chudeuszowi, który goły jest, jak się patrzy, z ojcowizny wyzuty, a na wakans kapitański dopiero czeka. Kombinacye miał bowiem p. Sosnowski zgoła inne i już kroił mu się maryaż dla córki z niebyle kim, bo z Józefem ks. Lubomirskim, którego ojca, nawpół zdziecinniałego utracyusza — co tylko właśnie p. wojewoda przyzwoicie w karty obłupił.

„Synogarlice nie dla wróbli“ — krzyczał tedy mocno p. Sosnowski i sprzęty ciskał o ścianę. Tuliła się z płaczem do Pana Rodzicowych kolan winowajczyni, a pani matka dobrodziejka także sobie w spazmach pofolgowała. Zawziętość na Kościuszkę była snać wielka, skoro jeszcze po latach zamężna już p. Jozefowa Lubomirska napisze: „*Votre nome est proscrit de l' alphabet de ma mére*“, a list ten pisać muszę w kolebce, którą znasz, gdyż lękam się, by mnie matka nie podpatrzyła“.

A kiedy wiadomą się stała rekuza dumnego panka — wiek XVIII znowu upomniał się o swe prawa: Kościuszko powziął zamiar uwiezienia

panny gwałtem. Podobno nie kto inny, a sam twórca szkoły kadetów, ks. generał ziem podolskich, który i ojcem i kolegą był swoich pupilów, doradził mu to, ułatwiwszy wszelkie przygotowania. Wówczas wdał się w sprawę sam Król Jegomość. Jaka była ta interwencya „króla Stasia“ i z czyjego poduszczenia — niewiadomo. Mówią jedni, że sam Kościuszko, wartę na pokojach królewskich odbywając, zdał raport Stanisławowi Augustowi ze swego nieszczęśliwego sentymentu i o ratunek błagał, lecz go król złajał, dał sto dukatów i kazał wyjechać za granicę. A inni powiadają, że król zdradził kadeta przed wojewodą i w ucieczce panny przeszkodził. Kościuszko z pocztem zbrojnych przybyć miał do Sosnowicy, ale spotkały go tylko naigrawania służby, bo wojewodzianka z matką wyjechała. Czy też — wedle jeszcze innych opowieści — zastał pannę do drogi gotową, uwiózł, ale mu zdobycz odbito, a jego samego nawet poraniono. „Co źródło, to insze o tem szczegóły“ — powiada trafnie J. Bartoszewicz, a T. Korzon dostrzega słusznie w tych wersyach „odór garderoby“. To pewne w każdym razie, że panna wyjechała nagle z domu rodzicielkiego i ponoś lat siedm przepędziła w ukryciu, zamknięta przez ojca. Faktem jest dalej, że p. Sosnowski suto kogoś obdarował za przeszkodzenie, czy też doniesienie o ucieczce córki. Ale mimo wszystko trudno wyobrazić sobie, aby nieśmiały Kościuszko, który „prosto szedł, myślał i gadał, zawsze jednaki“ zdobyć się potrafił na tak zresztą zwyczajny w Rzeczypospolitej *raptus puellae*.

Poeta natomiast, o którym wyżej wspomnieliśmy, na te drażliwe sprawy rzuca zasłonę i kończy romans akordem bohaterskim. Zbolały kochanek żegna się. „Na korze wierzby płaczącej wyrzyna ręką miłości czułe pożegnanie“. Zofia zaś, znająca dobrze obowiązki pseudoklasycznej Laury, obdarza klęczącego: daje mu „wyszyty srebrem przepas“ i złoty pierścień z godłem: „w cnocie szukaj chluby“.

Kościuszko dosiadł bezprzytomny „Strzałę“.
W tył raz ostatni czułym błysnął wzrokiem,
Westchnąwszy, jechał zasłużyć na chwałę.

Jedno w tem wszystkiem nie ulega wątpliwości: Panna Ludwika przez całe życie nie przestała żałować, że nie została porwaną. Im większy człowiek rozbłyskał w odpalonym konkurencie, im wyższe miejsca brał szturmem w hierarchii sławy bohater amerykański, generał major wojsk polskich i najwyższy naczelnik sił zbrojnych, tem goręcej żałowała pani Józefowa, Targowiczaninowi Lubomirskiemu poślubiona, że nie stało się tak, jak się stać mogło. Zabiegała u króla o awans dla niego, szukała protekcyi u męża dla służącego w jego regimencie siostrzeńca Kościuszki. Potem wszem wobec i każdemu z osobna o Sosnowicy opowiadała w sekrecie: że przez nią jest nieszczęśliwy i dlatego do Ameryki pojechał. Biograf Kościuszki, prof. Korzon, twierdzi, że się już potem oboje nie widzieli. Dochowało się wszakże dość wiarogodne świadectwo o wizycie, złożonej po

latach przez Kościuszkę swej pierwszej miłości. Było to już przed wybuchem insurekcyi. „Właśnie w tym czasie — opowiada A. Andrzejowski, autor „Ramot starego Detiuka o Wołyniu“ — bawił pan Naczelnik na Wołyniu i odwiedził w Równem ks. Józefową Lubomirską, z domu Sosnowską. Wieść o przybyciu p. Kościuszki do Równego w parę godzin obleciała całe sąsiedztwo. Ani czas, ani okoliczności uczuć ich wzajemnych nie zmieniły“.

Dalsze, trudne już do sprawdzenia, wieści mówią, że p. Józefowa odwiedzała Kościuszkę w Solurze, a do końca dni swoich pozostała uczuciu dziewczęcemu wierną. Gospodarzyła dzielnie na rówieńskich kluczach, szarpie skubiąc i romanse tłumacząc, gdy się nazbyt na Wołyniu nudziło. I wcale za złe nie wzięła swej synowej, gdy ta z panem poetą Malczewskim pojechała lekkomyślnie do Szwajcaryi. W kilkadziesiąt lat później spotkał ją ktoś jako staruszkę zdziecinniałą, której wydawało się, że każdy prezentowany jej młodzieniec jest Tadeuszem Kościuszką.

* *
*

Już to nie miał szczęścia Kościuszko do swych niedoszłych teściów. Pan chorąży żydaczowski, ojciec drugiej miłości Naczelnika, to człowiek jeszcze bardziej nieznośny i zgoła pogardy godny. Choć już był Kościuszko generał-majorem, choć czoło mu zdobiły świetne laury amerykańskie, a względem Teklusi chorążanki miał zamiary naj-

uczciwsze — to przecież łaski nie znalazł w oczach pana chorążego.

Nie była to wcale sielanka młodzieńcza. Dekoracye odmienione: już nie westchnienia w ogrodzie strzyżonym, ale jakby rozdział z „Żywotu człowieka poczciwego“. Generał-major liczył już sobie lat 45, chorążanka ledwo co rozkwitła. Gospodarzył „rządnie i czule“ na ojcowskiej roli, żył skromnie „w obrębie małych szczęśliwości“, czasem tylko sobie pozwalając na piwo angielskie i pączki ze sokiem. Jeno do maryażu było mu śpieszno i o „miłą żonkę pilno“. Z zazdrością przyglądał się szczęściu małżeńskiemu sąsiada i przyjaciela Michała Zaleskiego, a flircik niewinny przez miedzę z panią Michałową jeszcze w nim pomnażał tęsknoty matrymonialne. Któżby odgadł wtedy, że za lat trzy w spokojnym gospodarzu rozbłyśnie najwyższa miara obywatela i „najzdrowszy w Polsce od lat dwustu człowiek?“

Teklusia także nie odgadła, ale go kochała. A pan chorąży biesił się i piekło czynił w Międzyborzu. Opinię miał o Kościuszce „podłą, nikczemną i upośledzającą“: Ta-że włóczy się jak Tatar po Amerykach, miejsca nigdzie nie zagrzawszy, ta-że na nieswojem siedzi w Siechnowicach, ta-że córkę chciał porwać panu Sosnowskiemu, więc ino co patrzeć, a zajazd uczyni. — Takich i innych „plotków“ zebrało się co niemiara. Zaczem odprawa niegodna w słowie i piśmie, oraz afronty niesłychane spotkały znowu pana Kościuszkę. „Krew w nim zlodowaciała“, ale „odpi-

sał najłagodniej", bo „zemsty nie miał w sobie" i o „ojca Teklusi" chodziło.

Teklusia oczy wypłakiwała do czasu, gdy za mąż poszła za jakiegoś pana Chwaliboga. A listy Kościuszki zostały jej jedyną z miłości pamiątką. Bardzo są godne czytania — bo drugich takich nie było w Polsce owoczesnej. Tak, jak nie było drugiego człowieka o tak gołębiej duszy i łagodnem na świat spojrzeniu, który wszystko bliźnim wybaczył i chorążemu także.

Rozwiały się na zawsze zamysły maryażowe. Lata najbliższe uplotły naczelnikowi wieniec gorejący z gloryi i bolu, ale mu szczęścia osobistego poskąpiły. Chadzał w sławie najwyższej *il re Thadeo* (biust jego marmurowy w stroju konsularno-rzymskim ustawi w świątyni Sybilli ks. Czartoryska, biadając, iż w czasie transportu otarł się nieco „nosek najjaśniejszego"), ale mu przedsię niewiasty statecznej brakowało. Nieraz jeszcze przyszło wprawdzie Naczelnikowi zachwycić się wdziękiem białogłowskim i nieraz spotkać na drodze życia taką egzaltowaną istotę, jak owa tajemnicza „dama amerykańska", która w Waszyngtonie narzuci mu się z wdziękami i workiem dukatów — lub ta zakonnica polska w Szwajcaryi, uwielbiająca miniatury Naczelnika. Bawił się doskonale na redutach w Niemirowie, admirując grę na skrzypcach, taniec i oczy Imći pani pułkownikowej Szererowej, (o czem dużo na ucho mówiono) we Lwowie „pięć panien ofiarowało mu swą rękę" — ale „żonki miłej" wśród nich nie znalazł. Nie znalazł, choć nijakie progi nie

były dziś dlań zbyt wysokie. Już mu się kłaniali w pas wszyscy wojewodowie, a o tem, za co chciał Teklusię wykląć szaraczek żydaczowski daremnie teraz marzyła sama ks. kanclerzyna Konstancya z Czartoryskich Zamojska, babka Leona Sapiehy. Pragnęła bardzo dać Naczelnikowi córkę swą za żonę, ale pan Kościuszko nie pragnął!...

Pioruny coraz nowe dobywała tymczasem z zanadrza historya jego i Polski. A gdy się zachód życia przybliżył i gorzkie lata Berville'u, Solury, tem boleśniejszą była samotność i tęsknota ku życiu „w obrębie małych szczęśliwości". Więc nie trzeba źle myśleć o samotnym staruszku, za „żonką miłą" zawsze stęsknionym — gdy taki ustęp napotkamy w liście starego przyjaciela, który w r. 1805. pisał do rodziny Kościuszki: „Teraz mieszka Kościuszko u Zeltnera, Szwajcara bankiera. U niego umieścił swój kapitalik, z którego żyje. Umizga się staruszek do żony tego Zeltnera, ładnej".

KSIĄŻĘ PEPI

...Gdy szambelan do butów srebrne przypiął kolce
I przed ganek zajechać kazał karyolce,
Wskoczył na powóz świetny — i wprędce podane
Chwycił jak od niechcenia lejce srebrem tkane
I bicz angielski giętki, długi, trzaskający...
Tak podobny do bogów, w powozie stojący,
Przelatywał ulice wśród przepysznych gmachów,
Sięgając prawie głową latarni i dachów.
Leciał. Bystre rumaki, nieścignione okiem,
Okrywały go gęstym kurzawy obłokiem.
Zbiegały się do okna panny i mężatki
Widzieć ten cel swych życzeń, widzieć ten cud [rzadki.
Szczęśliwa, którą spostrzegł i uchylił głowy.

Nie było chyba w wypełnionym na premierze „Powrotu posła“ teatrze Łazienkowskim nikogo, już wtedy w r. 1791. nie było nikogo, ktoby nie wiedział, w czyją stronę adresował Niemcewicz te układne a złośliwe rymy swojej sztuki. A cóż dopiero później! Wiedzieli wszyscy, że Szambelan — to on, ten, co oprócz srebrnych przy lakierach kolców ma też przyprawiane „bakenbardy“ i watą poprawiany biust, obiady jada wieczorem, co tydzień się komu innemu portretować każe, ten, który

z Wiednia sprowadził piegowatą grymaśnicę „starą papugę“ i „gruszkę suszoną“ Vaubankę, ten, którego kocha i psuje *la bonne societé* — nie dościgły — widzi mu się — wzór szyku i elegancyi, ośmielający się mienić miłość Ojczyzny patryotyzmem z antichambry, kondotier pospolity, wychuchany papinek i książątko kapryśne *ancien regime'*u polskiego, adorowany przez Katarzynę, znienawidzony przez senatorów Wielkiego Sejmu — książę Pepi. Tenże sam ks. Józef Poniatowski, któremu już dawno we Wiedniu przepowiedziała cyganka: *Eine Elster wird dich morden!*

Podobno wszystkiemu temu, co o księciu Pepi przez cały jego żywot potwarczo opowiadano, winien był czarny gabinet dyr. poczt Zajączka. Tam otwierano jego listy intymne i rozbiegał się rój uprzykrzonych plotek i obmów, czerniących imię dziedzica najnieszczęśliwszego w Rzeczypospolitej nazwiska, potępiających człowieka, żołnierza, obywatela.

Jakież bo bezeceństwa działy się pod tą przeklętą „Blachą“! Jak wysokie stawki były przy Faraonie, lub arcyzniewieściałe kąpiele w hektolitrach Burgunda! Albo ta Vaubanka, w zamkniętej lektyce na komnaty książęce wnoszona, czy znowu hrabina owa rozpustna o kruczych włosach i cała „bilardowa junakierya“, która flirtuje z damami w alejach ogrodu Saskiego i kiereszuje sobie nawzajem pudrowane fizyognomie w wozowniach Łazienek, z emfazą ubierając rozpustne mundury: Frak popielaty z czarnym, złoto haftowanym kołnierzem. Oni wszyscy winni temu, że

pustkami świeci teatr warszawski, a wysprzedane spektakle ma tylko scena francuska, a prawdę powiedział kąśliwy dwuwiersz Ludwika Osińskiego:

Polak jeszcze po polsku i pisze i czyta,
Bo nie cała Warszawa Blachą jest pokryta.

A książę Pepi najgorliwszym metrem złego przykładu. Sam zresztą szczerze wyznał, iż: „Nie czuje się powołanym ani obowiązanym do tego, aby miał być stróżem tradycyi i obyczajów krajowych". Milion złotych polskich rozrzuca rocznie na nic ks. Pepi, a czternaście namiotów zbytkownych rozbija dla swej persony w obozie!

Wiadomo, że winien jest niepowodzenia walk pod Powązkami, zaś utrata Gór szwedzkich i Wawrzyc zastała go przecież przy zabawie na wiedeński sposób. Słuchajcie, słuchajcie: ten człowiek nawet do obozu wozi ze sobą szpinet i zawsze ma figlarną piosenkę w pogotowiu. Pod Babicami n. p. to tylko dlatego Kościuszko miał tyle kłopotu z Prusakami, że ks. Pepi więcej interesował się lazurem oczu p. Sitańskiej (gdybyż kobiety urodzonej, ale ordynaryjnej aktorki!) niż studyowaniem map sztabowych.

A on tymczasem był już wtedy jako żołnierz przysięgły, honor kochający i wzgardę dla podłych mający za prawidło". I na opiętej sznurówką piersi nosił talizman honoru i posłannictwo ostatniego Rzeczypospolitej rycerza.

Warszawa wiedziała wszystko: znała niemal każdą *lettre d' amour*, pisaną do p. Kickiej, Wiel-

horskiej, czy innej Kossowskiej; nie znała tylko jednego listu — tego, który nocą w obozie pisał ks. Józef do króla, odżegnywując się Targowicy, przeto, iż śmierć wolał nad upodlenie.

Warszawianki, jak dziś tak i wówczas wszechwiedne, prowadziły ewidencyę niemal każdego *souvenire*'u, które pod połą francuskiego fraka roznosił trefiony gładysz pięknym pomywaczkom na Solcu, rozpowiadały wszem wobec na ucho o niebywałym skandalu „Diany i Psychy". podchwytywały skwapliwie skargi na ostrą bezwzględność w rekwizycyach, nie wiedziały tylko o jednem, że pod pokrywą blaszanej beztroski, pod maską uśmiechu epuzera nosił ks. Pepi „tragedyę narodu i tragedyę własną".

Gdybyśmy go tylko takim znali, jakim był pod Raszynem i Lipskiem, gdyby się jeno wodza i statystę pamiętało, co pod Zieleńcami bronił honoru ustawy majowej, a ostatnie krwawe służby oddał sztandarom Napoleona, gdyby w potomne pokolenia przeszła sama pamięć czynów „utożsamionych z pierwiastkiem rzeczy publicznych", a tajnym pozostał cały książęcego życia trud, wypracowujący z wysiłkiem swą świadomość narodową, tajną owa szumna *gioia del vivere* i gesty czasem łobuzerskie — byłby ks. Józef zapewne nie mniej wielki, ale bardziej rysów człowieczych wyzbyty. Byłby w wielkości swej zimny tak, jak zimny jest jego posąg dłuta Thorwaldsena. Ten zaś, który walczył, siebie i drugich przezwyciężając, bliższy nam jest i droższy. Bliższy pełnią człowieczeństwa, większy wiktoryą, nad sobą samym odniesioną. On jest

w legendzie, jak gdyby polski Cyd. I taki nam dziś żyw nieustanie, jak Francuzom Cyd. A oto patrzcie: Z polskiej transkrypcyi Cyda, dokonanej przez Wyspiańskiego, biegną ku nam słowa, które wyryćby trzeba kiedyś na pomniku:

„Dosięga głową tronu,
wart więcej czci pokłonu,
niżeli król, ten książę...“

4

KAPITAN PIĄTKOWSKI U NAPOLEONA NA WYSPIE ŚW. HELENY.

Kto dzieckiem odszukał na strychu, czy w lamusie białego dworku stare, w prochu zagrzebane siodło napoleońskie, rdzawy bagnet lub szczerbaty scyzoryk szwoleżera, ten dalekie odbywał podróże. Z wypiekami na chłopięcych policzkach cwałowało się na siodle szlakami Wielkiej Armii, lub oddech zaparłszy, słuchałeś, jak ci scyzoryk o cesarzu opowiada. Więc byliście pod Waterloo, znacie też białe brzegi Berezyny i wyspę św. Heleny. Wśród poszarpanych, czarnych pod niebem ołowianem skał martwa, wyzbyta z wszelkich stworzeń żywych samotnia, na której kona Prometeusz, słysząc zastygające tętno krwi. I wszystka nadzieja Polski, wsparta smutnie o Święto-Heleński kamień grobowy bez napisu.

A niby żywym wyrazem uczuć narodu był ten żołnierz polski, oszalały tęsknotą, co wlókł się śladami cesarza tak długo, póki nie dotarł do wyspy św. Heleny, a potem życiem całem za ten poryw płacił. Ani go kto znał, ani zapamiętał. Nie było w nim orlich lotów, ni wielkiej mocy ducha. Nie Krzysztof Cedro, ani Józef Sułkowski. Żołnierzyk nic więcej nie wiedział, jak tylko, że chce i musi być do końca przy cesarzu, że ma dla niego pokorną miłość heloty i dziecka. Tych wielkich uczuć, które

żywił naród — mały i biedny, czasem śmieszny pigmejczyk.

I.

Jesteśmy na wyspie św. Heleny w grudniu roku 1815, a więc zaledwie w dwa miesiące potem, gdy z pokładu statku „Northumberland“ wysiadł tu na ląd Napoleon, więzień Europy. Masa czarnych, nagich skał, dokoła których krąży nieustannie fregata, pilnująca wygnańca. W uczepionej do skał stolicy, James Town, rezyduje wielkorządca św. Heleny, admirał Cockbura, którego wkrótce zastąpi brutalny i szorstki mr. Hudson Lowe. Pan gubernator mieszka w najzdrowszej części wyspy, ma wcale dostatnią rezydencyę i park wspaniały z egzotyczną roślinnością. Opodal w kilkudziesięciu białych domkach stoją załogą angielskie bataliony, straż więzienna Napoleona. Tu mieści się także kilka rodzin urzędniczych i oficerskich, nieco plotkarek i dewotek, parę sawantek i kobietek, wśród których wyróżniają się piękna miss Nagel i srodze dla odmiany brzydka miss Jounghusband.

W drugiej osadzie, na górze, niema Anglików i niema słońca. W Longwood pada przez dziesięć miesięcy w roku deszcz i lepka ścieli się po górach mgła. A gdy czasem na chwilę zajrzy tu słońce, to z poza mgły wyziera kilkanaście pogiętych bezlistnych drzew gumowych i trochę domostw, zapadłych, wilgotnych i nędznych. Tu właśnie mieszka „największy, ale nie najgorszy z ludzi“. I ta garstka najwierniejszych, co podzielili jego los. Historya zna ją dobrze. Pan i pani Bertrand, Las Cases ze

synem, Montholon z żoną, gen. Gourgaud, Anglik wprawdzie, ale zaufany lekarz Napoleona O. Meara i trochę służby. Z czasem świta się powiększy, gdy p. Bertrand z dumą doniesie Napoleonowi: „Sire, wczoraj powiłam syna. Jest to pierwszy Francuz, który przybył tu bez pozwolenia gubernatora". Wszyscy żyją w ekstazie oczekiwania, głęboko przekonani, że rychło się skończy kaźń i tylko nasłuchiwać bacznie trzeba głosu wybawienia, który przez ocean dojdzie tu wkrótce z wyzwolonej Francyi. Nie przestał istnieć ani dwór, ani cesarstwo. W Longwood są tytuły, urzędy i intrygi dworskie, surowa etykieta Tuilleryj, nawet srebra i zastawy z Paryża. A marszałek dworu Napoleońskiego, choć tuli się w ciasnej izbie poddasza, ubiera przecież do obiadu ten sam, co dawniej, zielony frak, srebrem suto haftowany.

Sączą się leniwie dni, szare jak niebo Longwoodu. Cesarz Francuzów zamyka się u siebie i pracuje gorączkowo nad historyą swych rządów nad światem, lub doby całe trawi na żarliwej lekturze. Montholon przemyśliwa ciągle nad wysłaniem tajnych listów do Europy i przedkłada cesarzowi plany ucieczki przy pomocy oficerów, zebranych w Stanach Zjednoczonych, Las Cases pisze pamiętniki, Gourgaud, stary viveur, flirtuje z Anglikami lub kłóci się z Bertrandem. Bertrand zajmuje się edukacyą syna i obmawia Montholona, który znowu zawzięcie nienawidzi Gourgauda, zaś wszyscy razem narzekają, nudzą się i nie lubią Las Casesa. Gdy spór i waśnie stają się zbyt głośne, przychodzi do kłócących się cesarz Francuzów i z tych

samych ust, które przemawiały do żołnierzy pod piramidami, płyną teraz słowa, godzące wygnańców. Piołunowy jakiś uśmiech przebiega mu twarz, gdy namawia ich do zgody w myśl wielkich haseł rewolucyi: *Liberté, Fraternité, Egalité...*

...„Niema, ach niema, bębnów tryumfalnych i władczej niema Korony...

„Niema królów schylonych w kornem poniżeniu...“

II.

30. grudnia 1815 roku całe Longwood chodziło już od rana zaciekawione, bo od gubernatora przyniósł ktoś senzacyjną wiadomość: Oto z rozporządzenia rządu angielskiego wejdzie w skład świty b. cesarza jeszcze jeden człowiek, dawny oficer jego gwardyi podobno. Wczoraj właśnie przybył do portu statek „Cormoran“, na którym jedzie. Pozatem nikt nic więcej o nim wie, chyba tyle, że ma nazwisko niemożliwe do wymówienia: *Piontikaiosli, Bioutowski,* czy też coś podobnego. Jest również bardzo przystojny.

Nowy przybysz nie dał długo na siebie czekać. Przywieziono go wkrótce do Longwood. Zasypany pytaniami, powiedział, kim jest. Nazywa się Karol Piątkowski, pochodzi z Polski. Liczy lat 29, cesarzowi służy od r. 1809. Oficer szwoleżerów, należał do szwadronu wyspy Elby, jeden z tych 109 szczęśliwych ułanów polskich, którzy pod wodzą Jerzmanowskiego poszli za cesarzem na Elbę. Stopniem oficerskim za to zapłacił, musiał bowiem służyć jako prosty szeregowiec. Był dalej wśród tych 400,

co zdobyli Paryż, a za 100 dni cesarstwa dosłużył się rangi szefa szwadronu. Na koniec oświadczył, że jest owym właśnie człowiekiem, który przy odjeździe Napoleona na wyspę św. Heleny płakał w porcie, jak dziecko, tarzał się po ziemi, obejmując za nogi lorda Ceitha i prosząc, by go wziąć z sobą. Donosiły o tem wówczas wszystkie żurnale europejskie. Piątkowski opowiadał dalej, że wreszcie poruszył niebo i ziemię w Anglii, by pozwolenie uzyskać, że obiecał wykonywać najniższe posługi, byle tylko mógł „żyć przy cesarzu, sypiać u jego drzwi i zginąć na jego grobie“.

Całej tej oracyi wysłuchano jednakże dość zimno. Satelici cesarza na św. Helenie zachowywali ostrożność powściągliwą i nie byli zbyt skorzy do uwierzenia odrazu w to, co mówił, jakkolwiek gubernator otrzymał dokumenty, stwierdzające prawdziwość jego zeznań. Przypomniano sobie wprawdzie, że istniał rzeczywiście oficer tego nazwiska, który krok za krokiem chodził za cieniem cesarza i awanturował się w porcie, któż jednak zaręczy, że to jest właśnie ten sam człowiek, a nie właśnie przysłany na przeszpiegi ajent rządu angielskiego? Najważniejsze zaś, że Napoleon ani go sobie nie przypominał, ani go wogóle nie chciał widzieć. Chcąc nie chcąc, przypuszczono go wszakże do świty wygnańczej i pozwolono mieszkać w Longwood, zwłaszcza gdy Bertrand z czasem przypomniał sobie Piątkowskiego z Elby i wyraził przypuszczenie, że możnaby spróbować użyć go jako emisaryusza bonapartystów. A może, co ważniejsza, on już nim jest i przywozi wieści z Francyi?

Ale w takim razie dlaczego temu właśnie, urodą tylko wyróżniającemu się oficerkowi, pozwolono na to, o co prosiło bezskutecznie wielu wpływowych ludzi we Francyi. Przecież z długiej listy petentów, starających się o pozwolenie na banicyę wraz z Napoleonem, nie uwzględniono nikogo.

Świta cesarska traktowała tedy intruza nieufnie, tem bardziej, gdy wkrótce wyszło na jaw, że Piątkowski rozumu ma niewiele, a prócz naiwnego zapału i sentymentu dla osoby cesarskiej, niczem szczególniejszem się nie odznacza. Tolerowano go zresztą. Był grzeczny i układny, mówił kilkoma językami, wyróżniał się ubiorem, co zresztą na wyspie nie było zbyt trudne, bo nikt nie miał tu wygórowanych ambicyi nawet w kierunku czystej bielizny. Piątkowski zaś, ujrzawszy się u celu marzeń, nie trapił się zbytnio lekceważącem traktowaniem, ale starał się przystosować do warunków Święto-Heleńskiego życia, choć ciężko było wytrzymać w rozpaczliwym klimacie i ociekającym wilgocią domku, a jeszcze ciężej opędzić od szczurów, zamieszkujących jego pokoik. Dumny był ze 110 fr. przyznanej renty rocznej (połowy tego, co mieli inni członkowie świty).

A cesarz? Napoleon, tak zresztą wyniosły i mało zwracający uwagi na ludzi z dalszego otoczenia, przyzwyczaił się z czasem do swego nowego wielbiciela, zaszczycał go nieraz rozmową, a nawet zapraszał go nieraz na obiady, gdy był w dobrym humorze. Z czasem dostało się Piątkowskiemu wielkie dostojeństwo. Mianowany został pomocnikiem koniuszego. Koniuszym był nie

kto inny, lecz sam Gourgaud. Zadanie miał Piątkowski srodze ważne. Musiał baczyć, by się chłopcy stajenni nie kłócili, bo tam taka sama niezgoda panowała, jak wśród świty Napoleona. Puste chłopaki powiesiły raz z figlów pieska Gourgauda. Pomocnik koniuszego złożył tedy co prędzej raport urzędowy cesarzowi Francuzów, który zwołał odrazu pełną konferencyę świty i sam obradom przewodniczył. I tak się stało, że ten, który milionami ludzi dysponował, bawił się teraz sądzeniem wybryków stajennych chłopców.

Zresztą każde dziś było beznadziejnie podobne do wczoraj. A Karol Piątkowski spostrzegł wkrótce, że wśród tylu dostojnych i lekceważących go ludzi nudzi mu się rozpaczliwie. Czuł się dyablo sam i szukał zajęcia. Rano po śniadaniu chadzał na polowanie na kurpatwy i dzikie gołębie, przyczem raz się postrzelił i z dumą przyjął od cesarza wyrazy współczucia. Po polowaniu drugie śniadanie. Poczem konna przejażdżka do miasta po zakupy i nowiny. I jedno i drugie załatwiało się w sklepiku p. Lewi Salamona, który nieraz, zawijając sadło do butów, opowiadał szeptem o tem, co się dzieje w Europie, lub powtarzał nowinki, zasłyszane od majtków, lądujących w James Town. U Lewi Salamona można było wszystkiego dostać. Karol Piątkowski lubił sztychy i starożytności. Lewi Salamon miał także sztychy i starożytności. Wieczorem wspólny obiad. W niedzielę zawsze, rzadziej zaś w ciągu tygodnia, Napoleon prosił wszystkich do siebie. Najnudniej było w niedzielę, bo po obiedzie czytano wspólnie „Atalię“

Racine'a, a to już oficerka naszego najmniej interesowało. Wolał uczyć konnej jazdy małego Bertranda, a już najbardziej był rad, gdy się mógł wymknąć do zagrody starego, dziwacznego tubylca, który słusznie zwał się Robinsonem, bo tak wyglądał, jak rodzony brat swego imiennika z romansu. Za to mr. Robinson miał śliczną i fertyczną córkę. Karol Piątkowski zrazu z nudów, potem zaś z nakazu serca parę razy dziennie zachodził do p. Robinsonówny. Wrażenie zrobił duże. Miał jasne włosy, błyszczące oczy i takie same epolety, a przytem parę doskonałych, jeszcze z Elby, lakierów szwoleżerskich. A pannie Robinson bardzo takie rzeczy imponowały. Wieczorami podróże. Na skrzydłach marzenia wędrował Piątkowski daleko poza skaliste brzegi wyspy i poprzez Ocean... Do Polski? Nie. Piątkowski mało wogóle zdradzał zainteresowania dla sprawy swojej ojczyzny, którą dzieckiem jeszcze opuścił, tęsknił natomiast do swojego szwadronu i do wojny. I plany snuł dziecięce. Za rok lub prędzej cała niedola się skończy, pobyt na św. Helenie będzie należał tylko do nieznośnych wspomnień, a mister Lowe otrzyma rolę straszaka niegrzecznych dzieci. Jak się to stanie, o tem on, Piątkowski, wie doskonale.

I widział w myśli wszystko, co będzie: wielka, zwycięska bitwa, długie szeregi wojsk, srebrzysty blask ułańskich lanc, radosny poszum czerwonych i białych pióropuszów. Rewia po zwycięstwie. A na czele szwadronów mały kapelusz i popielaty frak Napoleona.

Piątkowski ocknął się. Przez izbę przeleciał ogromny szczur i znikł nagle w czeluściach, ugodzony stołkiem do zdejmowania butów, który Piątkowski trzymał w pogotowiu. O przeklęta rzeczywistości!

Marzenie tymczasem mknie dalej.

Słychać donośny z tysiąca piersi krzyk, powtórzony rozgłośnem echem, jak wystrzał armatni:

— *Vive l'empereur!*

I gromką, jak chrzęst karabinów, odpowiedź cesarza:

— *Merci, mes enfants!*

A potem nastanie pokój tryumfalny i złoty, Odrodzone cesarstwo, nowa na skroniach cesarza korona. Cóż zaś on, Piątkowski? Hej któż dziś z nas odgadnie? Widzi mu się w nagrodę za wierność tytuł hrabiowski i generalskie lampasy, a może nawet zostanie marszałkiem, jak był ks. Józef...

Znowu skoczył szczur, znowu stołek do butów poleciał w jego kierunku i cisza zaległa izbę. Rozmarzony pogromca szczurów usnął wreszcie.

„Biedny mały żołnierzyk polski śni, a nie wie, że już sterczą paszcze dział, przygotowane do salw żałobnych".

III.

Stosunki na wyspie stawały się tymczasem coraz gorsze. Duszno i wilgotnie było w małych domkach Longwoodu. Lowe, głuchy na wszelkie prośby o poprawienie bytu, złośliwie szykanował garstkę Francuzów. Piątkowski zaś należał do

tych, którzy okazywali najwięcej niezadowolenia. Choć tak, jak każdy z wygnańców, podpisał deklaracyę, iż zgadza się zgóry na wszystkie niedogodności, mimo to zasypywał nieustannie Lowe'a zażaleniami. Pisał n. p.:

„Je n'ai rien trouvé de ce, que l'on disoit á Plymouth de la beauté de l' Isle, de la salubritė de son climat... L' Isle est affreuse; c'est proprement l' Isle de la Désolation. Son climat ne ressemble á aucun climat de la terre... Mais malgré cette triste perspective, je suis constant dans mon ardent désir de rester auprés de l' Empereur".

Zadużo było wreszcie Anglikom tego ckliwego polskiego sentymentalizmu. Jak długo jeszcze Piątkowski sprawował się spokojnie i nie przysparzał władzom angielskim kłopotu, tolerowano go. Z chwilą jednakże, gdy zaczął molestować gubernatora coraz nowemi pretensyami, postanowiono go usunąć. Szły tedy do Anglii raporty przeciw Piątkowskiemu. Lowe w słowach pełnych oburzenia wykazywał niewdzięczność człowieka, który, zamiast iść na rękę rządowi Wielkiej Brytanii, śmie jeszcze narzekać i buntuje wygnańców. I Piątkowski ujrzał się nagle sam. Stracił względy zarówno świty cesarskiej, jak i Anglików. Czekano tylko sposobności, by go z powrotem wysłać do Europy. Znalazła się wkrótce.

Najpierw, rzecz prosta, *cherchez la femme.* I to nie jednej, ale kilku. Na pierwszem miejscu wspomniana już p. Robinsonówna. Nasz egzaltowany żołnierzyk nie był odosobniony w swym afekcie dla córki starego wyspiarza, który spo-

strzegł pewnego popołudnia, że egzaltowana córeczka jego nie z samym tylko Piątkowskim przy furtce rozmawia, lecz zachodzi tu także dziwnie często jen. Gourgaud, a co więcej sam nawet cesarz często i po parę razy dziennie pojawia się w okolicy domku p. Robinsona.

Panna wybrała Polaka. Miał bowiem, jak już wiadomo, najładniejsze sztylpy, gdy cesarz Francuzów nosił tylko skromną, zieloną niegdyś kurtkę myśliwską. (Autorzy kryminalnych romansów i napoleońskich dramatów niechaj nad tem pomyślą. Bo cóż za wspaniały temat: Polski oficer odbija cesarzowi Francuzów córkę dzikiego człowieka!)

Wróćmy jednak do Gourgauda, który do swych niechętnych dla Piątkowskiego uczuć dołączył jeszcze jeden: nienawiść rywala. Tem więcej się tedy ucieszył na wieść, że Piątkowski popadł u Anglików w niełaskę i stoi pod zarzutem zbrodni stanu. A stało się to za sprawą innej kobiety, p. Naglowej, pięknej żony kapitana Nagla w James Town, która bywała często z mężem u dworu Napoleona, jako że była żądna przygód i fracuskiego flirtu bardzo ciekawa. Te wizyty p. Naglowej nie dawały jednak spokoju żonie innego angielskiego oficera Jounghusband, srodze znowu brzydkiej. Od słowa do słowa obie panie skoczyły sobie do oczu. Co jedna drugiej powiedziała, tego historya nie wie. Faktem jest wszakże, że cnota małżeńska p. Naglowej została podana w wątpliwość. Odbyła się rozprawa sądowa i państwo Jounghusband zostali skazani na 250 funtów

szterlingów grzywny. Cała wyspa mówiła długo o tym skandaliku, a skazany kapitan stał się od tego czasu przedmiotem kpin. Szczególniej Gourgaud oburzał się i wyśmiewał kapitanów, włóczących swój honor po sądach. Skompromitowani państwo Naglowie musieli opuścić wyspę. I wtedy to powstał zamiar, aby za pośrednictwem Nagla wysłać do Europy listy z opisem fatalnego położenia cesarza na wygnaniu i prośbą o pomoc. Uradowany Piątkowski na to tylko czekał. Od samego początku bowiem fantazował o jakiejś akcyi dyplomatycznej, zawsze dużo o niej rozpowiadał, próbując nawet bezskutecznie wszcząć ją przez poczciwego sklepikarza Salamona. Teraz zaś powierzono mu wybadanie gotującego się do wyjazdu Nagla.

Tymczasem Nagel odkrywa cały zamysł gubernatorowi. Lowe zarządza śledztwo. Otoczenie cesarza solidarnie wypiera się Piątkowskiego. Wszyscy zeznają, że nic o tem nie wiedzieli, a on działał na własną rękę. Podobno nawet — czemu Watson, nasz informator, nie wierzy — sam Napoleon, chcąc odwrócić od siebie podejrzenie, kazał Piątkowskiego aresztować. Widocznie że mu się już natrętny wielbiciel znudził i widocznie, że nawet na św. Helenie nie zapomniał dawnych swych metod w postępowaniu z Polakami.

Gubernator, wiedząc, że los Piątkowskiego już przesądzony, ukarał go bardzo łagodnie. Niemniej jednak dla epuzera boleśnie: zakazem udziału w jakiejś zabawie tanecznej, na którą nasz bohater wybierał się do James Town.



KAPITAN KAROL PIĄTKOWSKI.

Równocześnie zaś nadszedł z Londynu od ministra Backhursta rozkaz, wzywający Piątkowskiego i czterech innych członków świty do natychmiastowego powrotu do Anglii. O ile sądzić można, Piątkowski tak bardzo znowu tem się nie zmartwił, zbyt mu bowiem dokuczały niewygody pobytu i zdołał się już wyleczyć z entuzyazmu dla Napoleona. Protestował wprawdzie, ale odjeżdżał bez wielkiego żalu, pocieszając się wytrwale tem, że uda mu się w Europie wszcząć akcyę w wielkim stylu w celu wyzwolenia cesarza. Z tem marzeniem siadał na okręt, z tem marzeniem miał się odtąd przez całe smutne dalsze życie nie rozstać.

„A kiedy odjeżdżasz, bywaj zdrów". Wszyscy ucałowali go serdecznie i obsypali podarunkami. Panna Robinsonówna byłaby z chęcią także wyściskała, cóż kiedy dziki tato nie pozwolił na pożegnanie się.

Jedno wszakże było tragiczne.

Napoleon nie wyszedł wcale z pokoju na pożegnanie Piątkowskiego pod pretekstem niedyspozycyi. Kazał mu powiedzieć, że zbyt boleśnie odczułby tę chwilę, a choroba nie pozwala mu na wzruszenie. Monchenu twierdzi nawet, że cesarz był bardzo zadowolony z odjazdu człowieczka, który swoją osobą tyle niepokoju narobił na wyspie. Pocieszać się mógł Piątkowski chyba tylko dowodami zaufania. Wręczono mu bowiem własnoręczne pisma cesarskie do Fouchego, Carnota, a nadto pukle włosów Napoleona dla Orlątka i dla Maryi Luizy.

Po blizko całorocznym pobycie na wyspie wrócił Karol Piątkowski do Europy i odtąd rozpoczęła się druga, nierównie smutniejsza połowa jego życia. Po kilku miesiącach podróży (konwojowano go zaś jako bardzo niebezpiecznego człowieka) stanął w Londynie i pośpieszył najpierw do swej żony, o której go niemiłe dochodziły wieści. *Madame* Piątkowska bowiem, Francuzka z domu, zaraz po odjeździe męża świeżo poślubionego udała się na stały pobyt do niejakiego p. Loffta, adwokata angielskiego o wielkich wpływach. I to dało powód do złośliwych, a niesprawdzonych pogłosek, jakoby właśnie p. Lofft wyrobił Piątkowskiemu pozwolenie podróży na wyspę św. Heleny, chcąc go się pozbyć z Londynu. Państwo Piątkowscy doszli wszakże między sobą jakoś do porozumienia. Z żoną i bez żony zjeździł teraz biedny maniak pół świata, był we Włoszech, Niemczech, nawet w Ameryce. Szukał pieniędzy, zajęcia i przyjaciół Napoleona. A wszędzie nadaje sobie z przyjemnością tajemnicze *allures* polityczne. Wszędzie opowiada o swojej wielkiej misyi, danej mu jakoby przez cesarza. Jakiej, tego nie mówi, twierdząc, że nakazano mu surowo milczenie.

Z czasem nieopatrzny żołnierzyk polski dostał na tym punkcie manii wielkości i fatalnie na niej wyszedł. Święte przymierze, nie wiedząc, z kim ma do czynienia, postawiło go na liście niebezpiecznych i proskrybowanych. Śledzono każdy jego krok, konfiskowano pieniądze i papiery. Chciał wrócić do Polski, ale ambasady wzbraniały się wydać paszport człowiekowi, który pozostawał

w stosunkach z Napoleonem. Daremnie wspiera go król Hieronim westfalski i inni bonapartyści.

Nakoniec ciągłemi opowiadaniami o swem posłannictwie dopytał się kryminału. Aresztowano go we Włoszech. Odmawiał dalej uporczywie wszelkich wyjaśnień i otoczył się jeszcze większym nimbem tajemniczości. Stał się żelazną maską XIX stulecia. Konwojowano go od jednego więzienia do drugiego pod imieniem Jerzego Hornemana. Siedział w Padwie, Mantui i Josefstadzie. Potem krążyły tajemnicze pogłoski, że to jest skazany na zagładę bastard jednego z domów panujących. A on nie mówi nic — dumny i zawsze szczęśliwy, że cierpi za cesarza Francuzów.

Po długich latach kaźni skazano Piątkowskiego na pobyt przymusowy w Gracu. Dopiero w r. 1826. pozwolono mu wrócić do Francyi. Lecz i teraz nigdzie miejsca nie zagrzał. Chory i przygnębiony umarł wreszcie po długich latach tułaczki w Ratyzbonie w r. 1849.

Taka jest tajemnica Karola Piątkowskiego, który jak lunatyk biedny szedł życie całe za cieniem wielkiego cesarza i tak wielkiem uczuciem gorzał dlań w swojem ptasiem sercu, że rzucił wszystko: szlify, ojczyznę, rodzinę i wolność. Że to się podobało wówczas i zachwycało niejednego marzyciela, czy poetę romantycznego, w tem nic dziwnego. Lord Byron n. p. powięcił Piątkowskiemu ckliwy wiersz p. t. „Pożegnanie oficera polskiego“, gdzie taką strofę znajdujemy:

Żegnaj mi, wodzu, mistrzu, przyjacielu!
Nie giąłem kolan przed panami świata,

A teraz błagam wrogów twoich wielu,
Bym życie moje i me młode lata
Z Twoją wygnańczą połączył niedolą,
Do Twoich przykuł, bohaterze, stóp!
Niech mi do zgonu podzielić dozwolą
Los Twój nieszczęsny, wygnanie i grób!

Piątkowski był do śmierci dziwnym i smętnym satelitą gwiazdy Napoleońskiej. A może jeszcze czemś więcej. Był najmniejszym z polskich Don Kiszotów i trochę karykaturalnym symbolem niektórych stron natury polskiej i duszy polskiej.

* * *

Historycy epoki napoleońskiej długo poszukiwali, nie mogąc dojść, co zacz to za człowiek. Niewiele więcej umieli powiedzieć o Piątkowskim pamiętnikarze współcześni, Gourgaud lub Niemcewicz. Dopiero niedawno badacz angielski Watson odszukał papiery Piątkowskiego w British Museum i poświęcił mu książkę, na której oparliśmy opowiadanie.

NA KONGRESIE WIEDEŃSKIM

GOŚCIE Z POLSKI.

Zajeżdżała Polonia na kongres wiedeński roku 1815-tego z gracyą i szykiem. W rozłożystych danglowskich karocach, szóstkami „cugowców“ siedmnastej miary, lub czwórką gniadych ogierów, kocze zgrabne ciągnących. Wieczór był, więc korsuńscy kozacy, z kosmykiem włosów za uchem, ujęli na kozłach zapalone kagańce, z których wrąca smoła padała na ziemię ognistemi kroplami; stangreci w stosowanych kapeluszach, oraz długich, czerwonem suknem podbitych wilczurach potrzaskiwali z biczów radośnie. Wpół zgięty patrzył na to hotelarz wiedeński, węsząc złote w worach dukaty i srebrne talary, gapił się mieszczuch, przekupień wszelaki i zgodnie orzekali, że gdzieś opodal Chin musi Polska owa lokować się na karcie świata, skoro przywiozła sobie lokajów z warkoczami za uchem.

Gładkolice, niby z bajki, grafinie w salopach łabędziami podbijanych dostrzegłeś za szybami karoc, lśniły suto szamerowane sylwety dworskich dygnitarzy, dorodni zaś młodzieńcy, we frakach fiołkowych i w westach ze złotej lamy, towarzyszyli paniom konno. Jasnowłose były te grafinie

nie rzadko, a przeto legenda na bruku wiedeńskim mówiła, że dobry Pan Bóg dał dlatego Polakom dużo blondynek, aby im brak słońca wynagrodzić. Wkrótce wybito dywanami austerye na Leopoldstadzie i wnet *die edlen Polen* dali się widzieć na zabawach tańczącego kongresu, chcąc godnie wystąpić i nie powstydzić się na rewii światowego towarzystwa.

Wiedeń nie był im zresztą obcym. *Haute volée* z Polski stała od rozbiorów w wysokiej estymie na bruku wiedeńskim, gdy jeszcze szalał i cieszył się życiem we Wiedniu syn hr. Kińskiej — ks. Józef Poniatowski. A i później uważali karmazyni z pod zaboru austryackiego, że bezpieczniej jest burzę podziału Rzeczypospolitej przeczekać pod niefrasobliwem niebem Grabenu. Wichura napoleońska przecięła nagle wzorzystą wstęgę zabaw. Aż teraz dopiero rozeszły się wici po dworach i zamkach, że zjazd monarchów będzie ekspozycyą olśniewającą dobrego tonu, oraz nada prawa mody i życia na najbliższe lata, szczęśliwe, wolne od Uzurpatora. Więc i Polska błękitna nie chciała zostać w tyle. Minęły wprawdzie dawno czasy złotych podków końskich, któremi zasłynął, wjeżdżając do Rzymu, Jerzy Ossoliński, a wyczerpane przewrotem ekonomicznym rozbiorów trzosy nie zdołały się, niestety, zdobyć na gest szczególnie lekkomyślny.

Rząd karet jechał długi, nieprzeliczony. Więc cała Polska? Nie! Jeno ta skuzynowana z tronami Europy, nieposzlakowana w koligacyach, ta, która „narodów była pawiem i papugą“, gorliwa wkrótce

współpracownica tego kongresu, który — wedle znaczenia słów — *ne marchait pas, mais, qui dansait.* Teraz zaś chciała dać świadectwo, że żyje jeszcze nad Wisłą stary, pokornie trój-lojalny, więcej wersalski, niż polski *ancien regime.* Rozmaitego autoramentu byli polscy deputaci. Jedni z nich, Polacy tylko z nazwisk, jechali na kongres *ex offo* jako dygnitarze, nierzadko ministrowie dworów zaborczych: kamerjunkry z Petersburga, wiedeńscy c. k. szambelani i damy krzyża gwiaździstego, podkomorzowie i „Geheimraty". A nadto liczne grono pań i panów ze wszystkich stron dawnej Rzeczypospolitej.

Polonia militans, przybywająca na kongres, by wywalczyć narodowi prawo bytu przy nowem układaniu karty Europy, jechała nierównie skromniej, bez karoc pozłocistych, w ekstrapocztach i dyliżansach. Niewielu było tych z ekstrapoczty, ale wiódł ich najtęższy wówczas i zdawało się najmocniejszy wpływem człowiek, równie wielki ambicyą jak zasługą, ks. Adam Czartoryski. Niedawny rosyjski minister spraw zagranicznych i tyle zasłużony a światły kurator uniwersytetu wileńskiego, zdecydowany adwersarz napoleońskich ułudzeń, przybywał do Wiednia, by przypilnować spełnienia szumnych obietnic Aleksandra i w związku z Rosyą odbudować Rzeczpospolitą. Od Rosyi zależało i do Rosyi należało wówczas najwięcej. Całą bowiem niemal dawną Rzeczpospolitą zjednoczył w owej chwili czarny orzeł Romanowych, a cesarz Aleksander „jednocześnie rozkazywał jako władca w Poznaniu i Wilnie, w To-

runiu i Tarnopolu, w Krakowie i w Warszawie. Już tylko Gdańska i Lwowa brakowało". (Askenazy).

Polskę tańczącą przyjmował kongres oklaskiem i ukłonem głębokim w kontredansie witał nowego towarzysza zabaw i uciech. *Polonia militans* zaś, przyjęta była uśmiechem niechęci i zastała sztylety intryg na salonach obrad. „Nikt nam dobrego słowa nie da, ani za nami szczerze się wstawi", wyznawał z niepokojem zaraz po przybyciu do Wiednia ks. Adam. Nie dozwolono, by z księstwa Warszawskiego reprezentantów oficyalnych wysłano na kongres. Nieoficyalnym tedy i niedopuszczanym na posiedzenia ambasadorów reprezentantem sprawy był ks. Adam i wśród najopor- niejszych okoliczności pełnił swe *officium boni viri*. „Uprzykrzone widmo sprawy polskiej", mawiał patrząc na to, Metternich.

Pomocnym był nieraz ks. Adamowi w interwencyach i nieustannej bieganinie człowiek szlachetny i utalentowany, ks. Antoni Radziwiłł, blizki już namiestnik W. ks. Poznańskiego, bardzo niepopularny w Polsce przez swą berlińską oryentacyę i wpływy na dworze pruskim, zaś w Berlinie pomawiany o zdradę stanu. Za żonę wziął, jak wiadomo, Ludwikę ks. pruską, damę nadętą i etykietalną, w córce zaś jego kochał się później król Wilhelm I. Zatrudnień miał ks. Antoni w czasie obrad tak wiele, że mało mu tylko czasu pozostawało na ulubione dyskusye z Imć Panem Beethovenem o muzyce. Bo przecież niepoślednim był kompozytorem, twórcą muzyki do „Fausta", tyle głośnej za granicą, a przez samego Goethego

wysoce cenionej. Oszczędny w słowach Zeus Parnasu niemieckiego nazwał go, nie mniej nie więcej, tylko „pierwszym prawdziwym trubadurem, jakiego spotkał w życiu!“ Ks. Antoni Radziwiłł miał też i inne aspiracye artystyczne: brał nie tylko wybitny udział w przedstawieniach operowych, urządzanych przez cesarzowę Maryę Ludwikę, ale na wzór Isabeya i Lawrence'a bawił się portretowaniem kongresowych znakomitości, a prace jego cenił wysoko stary *arbiter elegantiarum* ks. de Ligne.

Sekretarzował ks. Adamowi jego zaufany Józef Kalasanty Szaniawski, filozof i znawca Kanta, ale człowiek zgoła niewyjątkowy, który, wedle słów Niemcewicza, „odmieniał zdania i sytuacye podług widoków korzyści“. Początkowy entuzyasta Napoleona, potem zapamiętały zwolennik Aleksandra, w czasie kongresu odstąpił był p. Szaniawski bez wahania swego protektora, spostrzegłszy, iż tenże wypadł z Aleksandrowej łaski. Rola jego później w Kongresówce była wcale niedwuznaczna. Płatny zausznik Konstantego i Nowosilcowa odegrał haniebną rolę jako cenzor. Już zresztą w Wiedniu nadużywał zaufania księcia, który używać zwykł był jego „węchu i pióra“ w skomplikowanych przedsięwzięciach dyplomatycznych.

Któż przybył jeszcze z pośród statystów i mężów stanu? Dość znacznie wyróżniał się dalej ks. Henryk Lubomirski, dzieckiem malowany jako Kupido przez Angelikę Kaufmann i p. Vige Le Brun, karmazyn o wysokiej kulturze i szczególnym

powabie zewnętrznym, ordynat przeworski, późniejszy założyciel Muzeum im. Lubomirskich. Zwano go w towarzystwie dla gładkości form i rysów *irresistible*, odznaczał się śmiałym i odważnym poglądem politycznym, dzięki czemu prześladowało go później św. Przymierze. Pomoc jego dyplomatyczna cenną była przez stosunki z dworem angielskim, w czem używał pomocy metresy ambasadora Griffitsa, wesołej pani Zielińskiej. Bawili dalej w Wiedniu obaj Skarbkowie, słynny z dziwactw Stanisław, oraz podkomorzy Ignacy, u którego w Nussdorfie odbywały się często zebrania Polaków. Marcin Badeni, blizki minister sprawiedliwości w Kongresówce, głośny był tem, iż rządną gospodarką wybawił ongi Stanisława Augusta z opresyi finansowej. Choć zabawny i bardzo dowcipny, udzielał się przecież Badeni mało, bo szlagon starej daty, poczciwy, jedną tylko mowę polską uważał za ludzką, a do nauki innych żadną miarą przekonać się nie dał. Przelotnie tylko odwiedził Wiedeń w czas kongresu przyszły minister skarbu w Królestwie, Tadeusz Matuszewicz. Z zawadyactwa, tuszy i pojedynków słynął Wojciech hr. Mier.

Literaturę reprezentowali Dyzma Bończa Tomaszewski, oraz Edward Lubomirski. Pan Dyzma, twórca beznadziejnie nudnego „Rolnictwa", ongi Targowiczanin i przyjaciel Woltera w Ferney, staruszek już siedmdziesięcioletni, uwijał się po Wiedniu gorączkowo, słodki w konwersacyi i obejściu, zawsze masą papieru zapisanego opchany, zawsze gotów do sklecenia poe-

matu o pięknościach parku w Schönbrunie lub o nadziejach, przywiązywanych do osoby Aleksandra. Zaś Lubomirski, młodziuchne, rwące się do lotu pisklę romantyzmu, zaprawiał się do służby dyplomatycznej w ambasadzie rosyjskiej i prozą opisywał dzieje kongresu. Zdawna mieszkał we Wiedniu J. M. Ossoliński, którego w bibliotece dworskiej z uszanowaniem odwiedzano. Z uszanowaniem, a także z interesem. Poszukiwany był bowiem przez szlachtę jako znawca tajemnic heraldycznych, a także niezawodny pomocnik w wyrabianiu tytułów hrabiowskich. Wpływy miał znaczne, a Stein i Laharpe bywali jego codziennymi gośćmi. Ubrany podle, jak się patrzy, w nadmiernie szerokich pantalonach i niezgrabnym bez litości fraku, lubił przecież staruszek bale i często się pojawiał na salonach. Na łaskawym chlebie swej własnej sławy żył w owym czasie w Wiedniu wiekowy już ks. generał ziem podolskich, ojciec ks. Adama, ks. Adam Czartoryski. Staruszek sędziwy stał już z dala od spraw bieżących i jedno mu tylko umiłowanie pozostało: kolekcyonerstwo. Tak o tem pisał do hr. Drohojowskiej w Krukienicach: „Po księgarzach *et les marchands d' estampes* łażę, ale Ichmoście kaducznie drodzy“.

Rozbawiła się tymczasem błękitna ciżba i szał ogarnął monarchów. Ludzie, co w imieniu polskiej racyi stanu przybyli — ks. Adam i jego najbliższi — źle się wybrali. Nieswojo i ciężko wydało się w Wiedniu tym kilku skromnym, do zabaw nieskorym pracownikom, z którymi Polska, przerażona upadkiem Boga wojny, wszystką swą

nadzieję na kongres przysłała i którym nieraz później zarzucano bezowocność wysiłku. „Tych tam kilku — napisze po latach z goryczą Mochnacki — pokazywał Aleksander kongresowi jako reprezentantów Polski i tłumaczów jej życzeń".

Wyjeżdżających na kongres żegnała ulica Warszawy dowcipem zawołanego facecyonisty i aktora znakomitego Żółkowskiego (ojca). On to, zapytany przez łysego jak kolano Szaniawskiego, co radzi czynić na kongresie, rzekł: „Gdy o nas będzie w Wiedniu mowa, radzę Ci, panie Szaniawski, abyś, wszedłszy na posiedzenie, zdjął perukę z głowy i powiedział:

— Panowie, oto jest stan mojego kraju!

„LE CONGRÉS DANSE".

Kongresu wiedeńskiego masz opis maleńki:
Za wszystkich Alexander całuje Wiedenki.
Za wszystkich pije ten, co berłem pruskiem włada,
Za wszystkich panujących wirtemberski zjada.
Za wszystkich król bawarski w pewne miejsce
[chodzi.
Za wszystkich... Nie masz więcej. A cesarz Ger-
[manów?
Za wszystkich koszta płaci najjaśniejszych panów.
A Napoleon, co też o tych głowach trzyma?
Bawią się karły — mówi — nie widząc olbrzyma!

Ta złośliwa fraszka, ułożona we Wiedniu, a w zręcznym przekładzie obiegająca Polskę, była groteskowem odbiciem rzeczywistości. Bezpieczni przed uwięzionym na Elbie Korsykańczykiem króle Europy czuli się od wielu lat po raz pierwszy — królami i z zachwytem zażywali tego szczęścia. Przez ćwierć wieku nie było na świecie karnawału i pokoju. Kongres przywrócił jedno i drugie. „Co tylko miał świat wspaniałego i wielkiego, wszystko zgromadziło się w naszych murach" — brzmiały słowa kantaty, którą król tonów Beethoven osobiście dyrygował na powitaniu kró-

lów ziemi. Inaczej, a z większą słusznością wyraził się natomiast Goethe: „O kongresie nie wiele da się powiedzieć, bo był bez treści“.

Lecz splendor i szych łyskotliwy brak treści pokrywał. Wieki całe nie widziano tylu głów koronowanych razem zgromadzonych, a historya zbytku dawno nie zapisała cyfr podobnych. Trzydzieści milionów guldenów wydał pono skarb austryacki na przyjęcie gości, koszta wieczoru jednego sięgały kroci tysięcy. Trzeba było ugościć blizko tuzin monarchów i suwerenów, ich siostry, matki, wdowy, małżonki i kochanice, około 90 pełnomocników i ministrów, z górą 50 przedstawicieli książąt medyatyzowanych. Przybyli ambasadorzy i bankierzy, księżniczki i kurtyzany, *globetrotterzy* przeróżni, niebieskie ptaki i rycerze szczęścia, artyści i dworacy, wielki świat polityczny i wesoły półświatek wszech stolic. Almanach gotajski w naturze, blizko tysiączna rzesza ludzi wzorowo urodzonych.

Przez pół roku z okładem od października 1814. do maja 1815. ciągnął się rząd prawie nieprzerwany przyjęć i konferencyi, balów dworskich i maskarad. Były szlichtady, turnieje, polowania na lisy i czaple, rewie wojskowe i reuniony, wzloty balonem, *thées dansants* i *thées soirées*, teatry amatorskie, koncerty. Iżby się nie nudziło pomazańcom królewskim.

Dwór austryacki podejmował przybyszów z renesansowym przepychem. Każdemu z gości dostojnych przydaną była świta i orszak bogaty. Trzysta jednakich ekwipaży rozkazał zrobić ces. Franciszek



ADAM KS. CZARTORYSKI.

dla swych gości, a szczerozłote sanki dla imperatora Aleksandra. Na szary plan zepchnięto zagadnienia wielkiej polityki. Imperatyw zabawy przerywał często posiedzenia, a wśród najbardziej poważnych pertraktacyi dyplomaci uczyli się ról do teatrów amatorskich. Gdy zmarło się w Wiedniu królowej Neapolu, która życie zakończyła ze zgryzoty, że nie odzyska swe królestwa, zatajono wiadomość o jej śmierci, aby przez żałobę dworską nie przerywać wiru niefrasobliwego.

Wiedeń owoczesny — jak zauważył ktoś z gości polskich — podobny był do Tulczyna Zofii Potockiej, bo i tu rok składał z 365 dni wesołych. Albo do monstrualnego transparentu: bo gorzał często w powodzi iluminacyi. I tonął w muzyce, słuchając najnowszych symfonii Beethovena, najnowszych pieśni Schuberta i najnowszych walców Straussa. Od Burgu aż po peryferye i dalej po Nussdorf i Laksenburg był Wiedeń lokalem kongresu. W pałacu cesarskim huczało od redut, Laksenburg był miejscem turniei i polowań, w Praterze spacerowali dyplomaci, gospoda „pod cesarzową Austryi" stanowiła miejsce zborne *crème'y*, w tumie św. Szczepana urządzono z przepychem *requiem* w rocznicę stracenia Ludwika XVI, na znak powrotu *ancien régime*'u, i miewał tam słynne z rubaszności kazania ksiądz-romantyk, Zacharyasz Werner.

Salwy armatnie huczały bez przerwy. Tysiącem strzałów witano przyjazd królów wielkich, setką zaś obwieszczano przyjazd królów mniejszych. Tym królem wielkim był właściwie tylko

jeden — Aleksander, wielki augur polityki kongresowej i nieznużony herszt jego zabaw, najbardziej kapryśna i nieuchwytna indywidualność, jaką kiedykolwiek wydał dom Romanowych. Dwie siosty przywiódł z sobą i W. Księcia Konstantego na swe utrapienie. Gospodarz kongresu, chłodny i flegmatyczny cesarz Franciszek I. zachowywał wielką rezerwę wobec gości, a tak dalece obawiał się wszelkich konstytucyi, że nawet leib-medykowi swemu zabronił mówić o „konstytucyi cielesnej“. Ogólnie lubiano żartownisia brygady suwerenów, „Hamleta z Tandelmarktu“ — króla Danii. Nad swym smętnym losem biadał nieszczęśliwy, bo ukarany za wierność Napoleonowi, król saski, wytworność zasię cechowała niesłusznie w wierszyku wyśmianego władcę Bawaryi. Za to równie nieznośnym, jak otyłym był król wirtemberski, dla którego musiano wyrzynać osobne wgłębienia, by mógł siąść przy stole. Fryderyk Wilhelm III. kochał się, jak student, w hr. Zichy i namiętnie odwiedzał teatry. On jeden ze wszystkich gości pruskich, inni bowiem nie czuli się dość pewnie wpośród tego wytwornego towarzystwa. „*Die Preussen*— wyznaje szczerze w swych wspomnieniach hrabina Bernstorff — *hatten Takt genug, sich wenig unter die eigentliche elegante Welt zu mischen*. Umiłowania pomazańców były tak rozliczne, jak ich usposobienia. Gdy król saski np. dni całe spędzał na modlitwie w kościołach, to król duński oddawał się przyjemnościom zgoła niedwuznacznym i wiele pieniędzy na miłość najemną rozrzucał.

Monarchinie błyszczały urodą i rozumem. Więc

energiczna i pełna kultury cesarzowa Austryi, inicyatorka rozrywek wszelakich, melancholijnym urokiem otulona carowa Elżbieta i Marya Luiza, która pomimo protestów nie zrezygnowała z godności małżonki cesarza Francuzów, z cyfr i herbów napoleońskich. A w Schönbrunnie więziono księcia Reichstadu. Sześcioletnie wówczas „Orlątko“, płacząc wyglądało, kiedy papa powróci z Elby.

Wszyscy wielcy mistrze dyplomacyi zasiedli przy jednym stole: ten, co do niedawna dyktatorem był Europy, a teraz sprytem niesłychanym zdołał utrzymać się na fali — Talleyrand, książę Beneventu, i ten, który wkrótce prawa dyktować będzie: *S. M. Staats-Konferenz- u. d. auswärtigen Angelegenheiten dirigierender Minister* — Metternich. Sztywnym i lodowatym był z natury plenipotent W. Brytanii lord Castlereagh, zaś żonę miał dziką i nadmiernie dekoltowaną. O Steinie zapomnieć nie można. „Specyalista do najbardziej ślizkich robót w rzeczach polskich“ z Polką ożeniony Bismark roku 1815, jeden z twórców idei państwowej, ważył mocno na szali. Z kolei czeladź Aleksandra, który sam sobie był ministrem spraw zagranicznych, Razumowsky, Nesselrode i adjutant Ożarowski, syn powieszonego w r. 1794 hetmana Targowicy, dalej Hardenberg i Pozzo di Borgo, w końcu arcymądry polityk i przewrotny degenerat, Gentz, protokolant kongresu. Zresztą falanga cała zastępców Watykanu, Grecyi, Hiszpanii, Skandynawii, Turcyi i Sardynii. Skłębione wężowisko interesów państw, które chciały odzyskać

utracone przeciw państwom, usiłującym powiększyć stan posiadania.

I tak się począł wielomiesięczny, równie bezpłodny jak zawikłany, w ogniu walki pod Waterloo skończony targ nad kwestyami spornemi, splątanemi węzłem gordyjskim: Polski i Saksonii Lecz opowiadać o polityce kongresu nie jest naszym celem.

Im gwałtowniejsze były zawady w polityce, im bardziej zjadliwe intrygi w pertraktacyach i wiwisekcyi dziedzictwa Napoleońskiego, tem większa na pozór idylla w zabawie. Gdy na salonach Burgu rozbłysły świeczniki, któżby o racyach stanu pamiętał? Nie było rozdwojenia na bankietach, ani w figurach poloneza, maska redutowa bratała suwerena ze śmiertelnikiem i miłowali się wszyscy, pijąc tokaj stuletni z piwnic dworu habsburskiego. Samych jeno wielbicieli miał też car Aleksander jako — danser najlepszy i niezmordowany. (Suwerenowie inni tańczyli źle i niechętnie). Grał wista w idealnej zgodzie Talleyrand z Castlereaghem, lady Castlereagh zaś wiodła dyskurs serdeczny z panią bankierową Arnstein, chociaż z domu zwała się owa pani — Itzig. Wszyscy zasię razem czuli się doskonale na przyjęciach u Metternicha i łzy krokodyle wylewali nad niedolą Polski, której przecież nie powinno się było nigdy pozbawiać niepodległości. Mówiono, że wówczas nawet szorstki i stalowy hr. Stein okraszał chmurną twarz uśmiechem. Menu najlepsze było u pana Gentza, który także w sprawach kulinarnych był bardzo pomysłowy. „Nic, tylko wizyty i wizyty —

narzeka jeden z arcyksiążąt austryackich w swym dzienniku w październiku 1814 — spacery, kolacye, iluminacye. Od dziesięciu dni wogóle nic nie zrobiłem! — A w wiele miesięcy później wyznaje rozbawiony br. Nostitz: „O kochany kongresie! Wogóle nie wiadomo, czy się już zacząłeś, czy jeszcze nie!“

Zabawy nic nie mąciło. Raz pożar wybuchł w noc sylwestrową w pałacu Razumowskiego i zniszczył go doszczętnie, to znowu Aleksander chciał wyzwać Metternicha na ubitą ziemię, kiedyindziej przekupki obrzuciły Imperatora wszech Rosyi zgniłymi jabłkami, jako reprezentanta przybyszów *von draussen*, którzy sprowadzają drożyznę na miasto Feaków. Talleyranda zwymyślał ktoś na reducie, potem zginął kosztowny sznur pereł, a jednego z dyplomatów przyłapano na fałszywej grze, wreszcie otyły pomazaniec wirtemberski, siny z irytacyi, trzasnął drzwiami i wrócił do Wirtembergii — ale wszystkie te zgrzyty humoru kongresowi nie popsuły.

I tylko jeden człowiek na ziemi mocen był przeciąć wstęgę uciech i założyć veto przeciw kongresowi. Mocen był i zrobił to więzień z wyspy Elby. Właśnie bawili się wesoło monarchowie na kolacyi, a w teatrze grano sztukę „Taniec przerwany“, właśnie stanął układ tajny w sprawie polskiej i saskiej, gdy brutalny zawsze Napoleon wylądował w Cannes. „Tego wieczoru — mówi pani Potocka w swych wspomnieniach — monarchowie położyli się do łóżek w kapeluszach i z szablą przy boku“.

„PAWIEM NARODÓW BYŁAŚ I PAPUGĄ“.

W „obrazku pełnym róż i kupidynów“ na kongresie tańczącym, jakże się Polska tańcząca wydała? Ostatni chevalier francuski, ks. marszałek de Ligne słynął z dawna w świecie surowości sądu, a przecież, wróciwszy raz z polskiego *soirée*, napisał w pamiętniku swej kuzynki: „Staraj się być taką, jak one, jak są Polki“. Ten doskonały wersalczyk z przymróżonymi zawsze oczyma nie miał słów uznania dla nadwiślańskiej *noblessy*. Że na żadnej z zabaw kongresu nie brakło jej, to pewna. Na ścieżaj otwarte były gościom dostojnym w Wiedniu domy: Skarbka, Stadnickiego, Lanckorońskiego, Siemieńskiego i ks. Lubomirskiej. Bawili dalej nad Dunajem i bywali w towarzystwie kongresu Sapiehowie, Jabłonowscy, Czetwertyńscy, Rzewuscy, Łubieńscy, Mniszkowie, Broniewscy. Wszystko nam zresztą jedno, jak się ci reprezentanci szlachty polskiej nazywali. Sprawa polska miała z nich, jako żywo, niewiele pożytku, natomiast *cour d' amour* kongresu serdecznie rada była grafiniom. Która z dam polskich wydała się najpiękniejszą — dziś trudno, a wówczas niebezpiecznie byłoby rozstrzygać. Czy zado-

mowiona nad Dunajem Ignacowa z Potockich Skarbkowa, czy może „piękna jak dzień i jak labuś pobożna“ hrabina Rzewuska-Lanckorońska, lub wreszcie najdzielniejsza wśród principess spiewaczka Teresa Jabłonowska, czy nareszcie pani z Wojnów Jabłonowska, w której kochał się Eugeniusz Beauharnais, czy też przedewszystkiem prezydentowa Zamojska, wspaniała w postawie i złotym warkoczu? Panią prezydentową Zamojską uważano z dawna za „bóstwo piękności i dobroci“. Cała Warszawa — jak chce panegiryk współczesny — przed nią klękała. Morawski, Mostowski, Fredro prześcigali się w rymowanych hołdach na cześć jej urody. Lecz z drugiej strony były na kongresie także i te ze Słowackiego „ruiny kobiet, resztki Karlisbadu, wód stalaktyty, zgasłe Wezuwiusze“.

Rozmaitość sposobów, jakimi błyszczały panie z Polski, była znaczna. Więc jedna wzięła nagrodę piękności na szlichtadzie, inna najlepiej pojęła tajemnice modnego styryjskiego walca, owa znowu fandanga lub manueta, trzecia celowała na scenie amatorskiej, ta wreszcie pyszniła się kolią, Jagiellonów pamiętającą lub równie drogim, jak modnym szalem kaszmirowym. Jabłko Parysowe z napisem „najdumniejszej“ można by śmiało wręczyć pani Rozalii Rzewuskiej. Wszem wobec głosiła bowiem dama ta, że mało ją martwi oziębłość cesarza Aleksandra (robił jej afronty, jako „zwolenniczce Austryi“) — ma bowiem drzewo rodowe o 32 herbach, w którem odnaleźć można wszelakie rody, nacye i koligacye od Stuartów

i Hamiltonów po Radziwiłły i Bourbony. Nierównie łatwiejsze były zresztą sukcesy danserek polskich, jak polskich mężów stanu.

W turnieju, który sumptem milionowym wkrzesił kolorową bajkę wieków średnich, jedną z 4 grup kadrylowych była grupa polska, jedną z „24 księżniczek miłości" przedstawiała p. Rzewuska, kilku Paladynów (Wojna, Radziwiłł) nosiło też polskie nazwiska. W słynnej szlichtadzie, którą znowu dwór wiedeński olśnił uczestników, wysadzając się na wspaniałe uprzęże, kosztowne i wymyślne sanki i futrzane kostyumy, prym wiodły księżna Mniszek Lubomirska z Leopoldem sycylijskim i wspomniana już Rozalia Rzewuska, słynna piękność swego czasu z ks. Sasko-Koburskim. Na atłasowych afiszach przedstawień amatorskich znaleźć można było nazwiska polskie. Do trupy stałych amatorów scenicznych należeli bowiem: Ożarowski, Stanisław Potocki i Wojna, w operze śpiewali: T. Jabłonowska, p. Wojnowa, oraz ks. Antoni Radziwiłł, który ponadto przewodniczył marzycielskiemu towarzystwu literackiemu: *société des troubadours*. Anna Potocka i Ludwika Radziwiłłowa pisały po francusku głośne pamiętniki. Uczestników polskich spotkałeś ponadto w żywych obrazach, w śpiewach solowych i choralnych, oraz innych dostojnych zbiegowiskach.

Panie polskie wyróżniały się nieśmiałością. Choć do niejednej zastosowaćby można hasło naczelne kongresu: *die Moral liegt nicht auf der Tagesordnung*, to przecież wśród niefrasobliwej roz-

pusty kongresu były one niczem mniszki białe. *Societa* polska nie wydała ze siebie takich okazów, jako owa kochanica Aleksandra, Metternicha, Gentza i w. i. księżna Bagration, wobec której rumienią się hetery renesansu, lub tak skombinowanych talentów erotyczno-dyplomatycznych, jakie roztaczała ks. Glocester, czy koronowane kurtyzanny kurlandzkie. „W Polsce niema poetów ni artystów — mówi gdzieś naiwnie de Ségur — lecz są kobiety, którym snują się po głowie piękne sztuki, które nucą melodyjnym tonem strofy Tassa i powtarzają rymy Delille'a". Czasem marząca z Osyaoem w ręku nad „riważem strumyka", to znowu swobodna niczem markiza de Merteuil Laclosa — błękitna kobieta polska owego czasu stała na rozstaju dwóch epok. Córka aż nazbyt niemoralnej i rozwiązłej matki z wieku oświecenia ustatkowała się wprawdzie trochę, ale zawsze jeszcze wychowaniem tkwiła w epoce *Louis quinze*, lubiła sztyszki swawolne, czytała książki niecnotliwe w pyszny safian oprawne i na złoty kluczyk zamknięte, zaś czas nowy wciągnął ją w wiry życia nowego, któremu ton nada wkrótce epoka Restauracyi. Spaczone do niedawna kosmopolityzmem, zaczynały się teraz zwolna uczyć abecadła polskiego i — czucia polskiego. Ks. Józef zdobył je, rzec można, przebojem dla ojczystego sentymentu i gestu, epoka napoleońska uczyła patryotyzmu, przypominającego co chwila, że sprawa polska jest *en vogue* i wcale się wstydzić nie potrzeba rozdzielonej Rzeczypospolitej, listu po polsku napisanego i konwersacyi polskiej w salonie.

Wolno i opornie szła nauka owa, a kongres wspierał ją potrosze. Fakt, że sprawa polska stanowiła jedną z tych osi, dokoła której toczyły się obrady wiedeńskie, była tym punktem ciężkości, którego nie mógł kongres odnaleźć, choć go niby szukał -- fakt ten uczył także grafinie polskie patryotyzmu. Będą go zaś miały nieco więcej za lat dziesiątek, gdy, „romantyczne entuzyastki", marzyć pójdą z wieszczami na ruinach Colloseum lub wojażować poetycznie po emigracyi paryskiej.

Choć może liczniejsze okazały się wpływy ujemne. Kongres wiedeński był jeszcze jednym przypływem fali cudzoziemskiej na obyczaj polskiej arystokracyi. Upojony urokiem wiedeńskiej wspaniałości zacznie *high-life* niedługo emigrować tem liczniej nad Dunaj i Sekwanę i świecić tem większą nieobecnością w ojczyźnie. Lecz wróćmy do opowiadania.

Zawołaniom mody nowej w stroju i obyczaju były damy z Polski w mig posłuszne. Tedy przystroiły się wszystkie, jak nakazywał *genre* kongresu: zniknęły z gotowalń peruki i fryzury tapirowe, pudrowane, przywdziano suknie powiewne, „ostindyjską gazą, niby mgłą przysłonięte". Tuniki greckie i złote we włosach przypaski zmieniły sylwetę kobiecą. Z gorsów, wysoko podwiązanych, wychylał się biust bujny. Błękitny szal zdobił ramiona, „zawój z trzęsieniami" główkę, a uśmiech zalotny buzię. Były „wianki z róż na rzymskich kwefach", gruszki dyamentowe i pióra czaple we fryzurach. Rewią drogich materyi stawał się każdy wieczór kongresu i ostatnim przed-

śmiertnym popisem sztuki krawieckiej, tej, co z płonących Tuilleryi uniosła swe tajemnice.

I moda męska odmieniła się z gruntu. Krótko obcięte włosy *à la Brutus* zajęty miejsce „harcopfów“, w których chyba bardzo starzy i *demoées* ludzie pokazywać się mogli. Zarzucono *toupety* i wszystkie inne *habits brodés* i *talons rouges*. Obcisłe mocno białe pantalony, kunsztownie wiązane halsztuchy i fontazie, bajecznie kolorowe kamizelki, fraki ponsowe w czarne centki, to znowu tabaczkowe i niebieskie — składały się na jaskrawą polichromię kongresowej mody.

Goście z Polski mieli zresztą oko baczne na wszelką nowalię, chcąc ją potem zaszczepić w zabitej deskami Sarmacyi. Tedy pilnie patrzą grafiątka, jak kunsztownie wiązać fontazie i konie do sanek czy karoc zaprzęgać, jak kolor czapraka dobrać do maści ogiera. A pani znowu uczą się tajemnic przyrządzania hiszpańskiego tortu, lub wkoło stanąwszy, patrzą skwapliwie, bo fraucymer w. ks. Katarzyny w dziwny sposób naparza rosyjską herbatę.

Wszystkiemu temu najsnadniej napatrzyć się można było w ambasadzie elegancyi polskiej i senatorskich splendorów, w pałacu ks. marszałkowej „na Bastajach“, gdzie króle i cesarze codziennymi bywali gośćmi.

„Nikt inny, — mówi historyk kongresu de la Garde — nie potrafił dać lepszego wyobrażenia o sposobie życia polskiego, graniczącym prawie z bajką, o czasach największej świetności i elegancyi Rzeczypospolitej“. W całej zresztą błęki-

tnej Europie miał salon ks. marszałkowej firmę głośną, jako doskonały w surowem strzeżeniu etykiety. Możnaby ją nazwać polską panią Geoffrin lub Lespinasse, gdyby nie to, że duch wersalski wymiótł był z salonu tego doszczętnie wszelką polskość, a pani domu szczerzej bolała nad losem Bourbonów, niż nad tragedyą rozbiorów Polski. Niemniej wszakże Izabella z Czartoryskich Lubomirska (┼ 1816), siostra generała ziem podolskich, wybitną rolę odegrała w intrygach dziejów rozbiorowych i do niej to stosował podobno Fryderyk Wielki swe ironiczne *bon mot* o kądzieli, która w Polsce z rozumem idzie w parze. Kuzynka Stanisława Augusta i śmiertelna jego nieprzyjaciółka, ongiś bardzo czynna w wielkiej polityce, admirowana przez samego Marmontela, utrzymującego, że ona mówi lepiej po francusku, niż cała Akademia razem wzięta, rozpoczęła w chwili kongresu dziewiąty krzyżyk. Kongres cały prześcigał się więc w oddawaniu hołdów westalce dobrego tonu, wiedząc zresztą, że ma z dawna duże wpływy i poparcie w całym świecie koronowanym. Księżna marszałkowa miała też dużo popularności na bruku wiedeńskim od chwili, gdy w r. 1810. wyprosiła u generała Zajączka, komendanta placu, po zajęciu Wiednia przez wojska Napoleona względy w nakładaniu kontrybucyi. Bujne i smętne dzieje jej życia należały właściwie do epoki poprzedniej, do okresu rozbiorów, kiedy to umiała wodzić na pasku ambasadorów rosyjskich i zawiązywać węzły kun-

sztownych intryg dworskich. Węgierski w „Portretach pięciu Elżbiet“ tak ją wtedy określał:

Przy znacznych jej przymiotach
chytrość jeszcze wini,
Dla tych przyczyn u wielu
wzgardzoną się czyni.

Dostojna, sztywna matrona była babcią całego prawie polskiego *haute votèe*. Jedną z córek wydała za Ignacego, drugą za głośnego podróżnika, myśliciela i autora Jana Potockiego. Alfred i Artur Potocki byli jej wnukami, ks. Adam Czartoryski siostrzeńcem, a Henryk Lubomirski ukochanym wychowankiem. U księżnej marszałkowej na balu i komedyi zebrani suwerenowie dowiedzieli się o ucieczce Napoleona z Elby i „nigdy widok Meduzy okropniejszego nie uczynił wrażenia“. Parę doskonałą z księżną marszałkową stanowił równy niemal jej wiekiem zmarły w czasie obrad ks. Karol de Ligne, głośny wódz, pisarz i prawodawca dobrego tonu. Ks. de Ligne, któremu historyografia polska zbyt mało dotąd poświęcała uwagi, był jedną z piękniejszych postaci epoki oświecenia. Najszczerszy chyba i najmądrzejszy z naszych przyjaciół za granicą, pisarz, dowcipniś, żołnierz, gentleman, druh serdeczny ks. Józefa. Opracował on w r. 1788, słynny memoryał w sprawie polskiej, jak bardzo przewidujący i bystry, niech zaświadczy cytat zeń następujący: „Umiejcie być Polakami, jedyna to łaska, o którą błagam! Nie trzeba wam biegać ani do Wiednia, ani do Petersburga, ani do Berlina!“

Tak, jak dla całego kongresu wyrocznią był ks. de Ligne, tak dla Polonii tańczącej stał się nią wkrótce jego „Alcybiades“ i młody przyjaciel Artur Potocki. Niedawno jeszcze równie dzielny jak wesoły adjutant ks. Józefa, rozbawiający dowcipami całą główną kwaterę, który w jednych z księciem saniach wracał ranny z pod Berezyny, wsławił się szeroko ostremi słowy, które miał odwagę powiedzieć w Warszawie Napoleonowi. Portretowany pędzlem Isabeya, a piórem ks. wirtemberskiej w „Malwinie“, przemienił się szybko w wytwornego dowcipnisia i nielitościwego donżuana, któremu zdawało się, że jest najpiękniejszym mężczyzną w całym almanachu gotatajskim. Piękny *comte Arthur* przypominał trochę ks. Lubora z „Beniowskiego“. Na równi z bratem Stanisławem, zamordowanym tragicznie w r. 1831, był on na salonach wiedeńskich

...brylantem najpiękniejszej mody
U pań. W dowcipie nakształt żupy solnej
Niewyczerpany, pełny zawsze szeptów,
Bo tyle miał par butów, co konceptów.

Artur Potocki, tyle popularna i zasłużona postać w dziejach Krakowa, zwracał na się uwagę, jak świadczy pamiętnikarz kongresu de la Garde, „wyszukaną grzecznością, rozumnym sądem i rozległemi wiadomościami“. Nie o wszystkich innych uczestnikach kongresu możnaby to samo powiedzieć. Natomiast byli oni bez wyjątku dobrze i wysoko urodzeni.

ROMANS CAROWEJ.

...Ks. Adam Czartoryski jechał na kongres w niepokoju i udręce tęsknoty. Do tylu ciężkich zadań, czekających zabiegliwego prokonsula sprawy polskiej, przyłączała się jeszcze boleśnie trudna sytuacya osobista. Przytłoczył go nagle rój wspomnień dawnych i krwawić poczęły na nowo zabliźnione rany młodzieńczych uczuć. Od lat 20 nie widział ks. Adam ces. Elżbiety, a właściwie nie widział jej wogóle, bo ta, którą kochał, była jeszcze — wielką księżną i żoną następcy tronu.

W pałacu Taurydzkim w r. 1795, gdy ogród strzyżony rozkwitł bujnym przepychem wiosny, poznali się. Wiosna przeglądała się we wszystkiem: w zwierciedle stawu, po którym wiosłowali z Aleksandrem, w kwiatach i w słowach przyszłego imperatora, snującego wielkie rewolucyjne plany i różowe zamysły wobec polskiej *ta pospolite.* Z głęboką wiarą słuchał tych wynurzeń rówieśnika i przyjaciela ks. Adam. Słuchał, a czasem nie słuchał. Bo po wysypanych kolorowym piaskiem alejach parku, przechadzała się w. księżna w złotej krasie swych długich *cendré-blond* warkoczy, które bujnie rozbiegły się po rannej

toalecie i słońce złote wyzywają na turniej. Niekochana i od początku przez męża zaniedbywana, piękna i smutna księżniczka badeńska przylgnęła sercem do adjutanta z Polski. Uczucie, w pałacu Taurydzkim rozbłysłe, nie miało w sobie nic z pustej amoureusy i jasno odbijało od rozpasanej erotamii. której dwór petersburski zawsze tradycyjnie pełen był od przysieni aż po kamerdynerskie facyaty. Przerwany nagle z chwilą wyjazdu ks. Adama z Petersburga romans, o którym tajemnie szeptało zrazu dworactwo, rozniósł się wkrótce w antyszambrach dworów Europy. Zdradziła potem tajemnicę hr. Gołowin w swych pamiętnikach, opowiadał o tem nawet Napoleon na wyspie św. Heleny. Długich lat dwadzieścia minęło tymczasem od petersburskiej sielanki. Małżonka Imperatora wszech Rosyi i jej dawny kochanek mieli się po raz pierwszy spotkać na salonach kongresu.

Tuż po przyjeździe ks. Adama do Wiednia odbyła carowa Elżbieta uroczysty wjazd do stolicy, z przepychem niezwykłym zaaranżowany. Wystąpił w całej krasie dwór wiedeński, kapały od złota powitalne orszaki i szamerowane mundury kompanii honorowych. A samotny ks. Adam pisał tymczasem w dzienniczku swoim, w którym przez cały ciąg kongresu notował, w krótkich, twardych słowach rejestr swej mądrej i nieznużonej, choć tak często Syzyfowanej pracy dyplomatycznej:

„Tu ja widzę zmienioną mocno, ale dla mnie zawsze tę samą ze strony jej i mych uczuć. Utra-

ciły swego żaru, dosyć jednak siły zachowały, aby było wielką męczarnią nie widzieć jej wcale. Raz tylko ją dotąd widziałem...“

A w parę dni później dodaje:

„Długa niepewność, przeciwności i ujmy nieustanne i czekanie 20-letnie i jej od tylu lat obsłonione uczucie rozruszyły prawy porządek serca“.

Niemal codziennie mieli odtąd sposobność widywania się na reunionach i wieczorach tanecznych. Miał lat 45 ks. Adam, cesarzowa niedawno przekroczyła 40 i tem gwałtowniej ożył w obojgu dawny sentyment. Wiele wprawdzie z dawnych powabów utraciła złotowłosa marzycielka, lecz zawsze jeszcze przypadały jej na kongresie nagrody dla najpiękniejszych. Te same popielate-blond włosy wiły się bujnym splotem po ramionach, a wdzięk melancholii błyskał z lazurowych, wypłakanych oczu. Ubierała się nad wyraz skromnie i chyba tylko bezcenne sznury pereł odróżniały ją od tłumu. W pusty rozgwar kongresu wnosiła czystą pieśń tęsknoty: — od wszystkich królowych i władczyń zgoła inna.

Societa kongresowa spostrzegła odrazu, że Aleksander zaniedbuje swą żonę i czyni to nawet demonstracyjnie. Wysoko urodzone plotkarki wywiedziały się skwapliwie o wszystkiem: że nigdy imperatorstwo nie jadają razem w domu, że cesarzowa najchętniej bawi u swej siostry królowej bawarskiej, że przesadny dla wszystkich w uprzejmości tancerz elastyczny, Aleksander, nie zdobędzie się dla swej żony choćby na

tyle uprzejmości, ile jej miał dla każdej *süsses Mäderl* w Praterze, czy innej pani pocztmistrzowej na Węgrzech. A cóż dopiero, gdy o Naryszkinę chodzi, dawną faworytkę, lub nową carską kochanicę ks. Bagration! *C'est épatant!* opowiadały damy oburzone i policya tajna coś o tem wiedziała. Doszło bowiem do tego, że na jakiemś wieczorze Aleksander jął strofować głośno Elżbietę, że nie poszła z nim do ks. Bagration, niedopuszczanej na dwór z powodu złego prowadzenia się. A gdy później ktoś pochwalił przedziwną piękność jej cesarskiej mości, syn Greczynki oświadczył bez ogródek, że tego zgoła nie znajduje.

Oni tymczasem widywali się często. Na wieczorach kongresu i poza nimi. Zaś ks. Adam ze wszystkiem zwierzał się swemu dziennikowi:

„Ona do tańca bierze mnie do Stackelberga, on wraz do ucha mi gada, aby to zatrzeć...

„Drugie widzenie się: „Ona zawsze aniołem prawdziwym“...

„Trzecie widzenie się przez Naryszkina: Smutek i własna z siebie niedowolność. Jej wizyta u mojej ciotki. Gorączka, sny, zgryzota, wyrzucająca winę... Pasyami kocham“...

I tak ciągle pomiędzy najważniejsze notatki polityczne i wzmianki o przebiegu narad kongresowych mieszają się w dzienniku ks. Adama sceny smutne z dramatu jego serca. Świadom w pełni swego przykrego i trudnego stanowiska wobec cara, który zdawał się wiedzieć o wszystkiem, zabijał w sobie ks. Adam najgorętszą pa-

syę życia, walcząc i męcząc się nieustannie. A proste słowa wiły się w bolu bezradnym: „Kochania znać już nie mogę. Smutek wielki mnie przyciska i niesmak świata... Smutek, aż chorym się czuję“...

Niewielu było świadomych tajemnicy i tylko czasem w buduarach Burgu lub Laxenburskiego pałacu szeptem czyniono jadowite aluzye do dziwnych amorów cesarzowej rosyjskiej, która serce swe ofiarowała polskiemu arystokracie, i tak mu po mieszczańsku pozostała wierna!

„Zabawa bez ustanku — narzekał w owym czasie w liście do rodziny — *grands et petits bals*, maski. Szemrają na to. *Pour moi le sejour de Vienne a peu de charmes, car je rencontre peu des visages bienveillants...*“

Już się pod koniec miało kongresowi, gdy w połowie marca r. 1815 cesarzowa Elżbieta opuszczała Wiedeń, ucieszona szczerze wiadomością o ucieczce Napoleona. Niezbyt wprawdzie wypadało cieszyć się z tego — imperatorowej rosyjskiej, ale u niej górowało nad wszystkiem zadowolenie, że nie musi, na razie przynajmniej, wracać nad obmierzłą Newę. Czartoryski pozostał w Wiedniu do końca lipca i miarę niepowodzeń dopełnił. Mężowi stanu przyszło jeszcze ponieść najcięższą klęskę życia i obaczyć w „akcie finalnym“ kongresu rozwiane zamysły o zjednoczonej Polsce. Dokonał się nowy podział ziem polskich bez wiedzy i poza plecyma jej anioła stróża. Już z początkiem stycznia 1815 „zawarte zostało w Wiedniu tajne przymierze pomiędzy Austryą, Fran-

cyą a Anglią, przeciw Rosyi przedewszystkiem, a ewentualnie i przeciw Prusom, o ileby w sprawie sasko-polskiej zdecydowały się ostatecznie sekundować cesarzowi Aleksandrowi. Ucieczka Napoleona z Elby rozwiała te plany i przyspieszyła utworzenie Kongresówki. „Widzę się w niemożności nic pomódz — pisał na wieść o tem ks. Adam. — Zdaje się, że moja rzecz skończona. Postawienie Polski na nogach jakkolwiek niedołężnych było moją pensą“. Opuszczał Wiedeń z sercem podwójnie rozdartem. Już odtąd nigdy nie miał ujrzeć carowej, która do końca zachowała dlań „gorące, od tylu lat obsłonione uczucie“. Lata miną, gdy w. ks. Konstanty po śmierci Aleksandra wpadnie na ślad korespondencyi obojga i wytknie Czartoryskiemu zjadliwie jego stosunek: *J'ai toutes vos lettres* — powie — *j'en ai de petites.* „Znam również Pańskie małe liściki“...

FARYS NA KONGRESIE.

Sędziwa księżna marszałkowa wsprost przerażoną się czuła życzeniem, objawionem raz wśród wieczoru tanecznego przez cesarza Aleksandra. *C'est impossible!* A mury jej pałacu zadygotały z oburzenia. Oto zabłąkał się do Wiednia wnuk wyrodny księżnej marszałkowej, zwaryowany szałaput, ród i nazwisko do cna kalający. Nieszczęśnik, który przecież surowe mięso bez żenady jada i ryby wprost ze stawu połyka. Ks. marszałkowej „wapory“ do głowy uderzały, gdy kto ryby nożem krajać próbował, a cóż dopiero palcami żywe ze stawu! Mało tego! Wnuczek ów latami się nie rozbiera, na końskiej sypia skórze, znak kabalistyczny △ *L* za jedyną świętość uważa i bóstwo, a wyśmiewając haniebnie wszelkie sprawy świata dobrze urodzonego w zuchwałej trzyma je pogardzie.

I tego to właśnie wyrodka widzieć nagle zapragnął imperator Wszech Rosyi, oraz inni za nim suwerenowie, gdy tylko wieść poszła po salonach o jego przyjeździe. Przerażenie ks. marszałkowej, która mimo lat 80-ciu żywą zachowała dla wszelkich spraw świata ciekawość, łatwe było do po-

jęcia. Bo stało się tak, jak gdyby w gładko strzyżone aleje i piaskiem kolorowym wysypane ścieżki wirydarza wpadł nagle koń dziki, ze stepu; na salonach nienagannych arbitrów elegancyi i wychuchanych książątek w cynamonowych kamizelkach — pojawił się rozczochrany entuzyasta pustyni, co karawany rabował w Arabii. O czem mówić z nim będą obleśne, perfumowane dyplomaty, co tańcząc kontredansa, wpychali Europę do klatki św. przymierza, o czem mówić z człowiekiem, któremu „całe powietrze w Arabistanie ledwie za oddech stanie“? A był nim półbóg dzikiego Wschodu, żywy Farys Mickiewiczowski, Korsarz i René, frazesy romantyzmu wcielający w prawdę życia – Wacław Rzewuski. Ten właśnie, przed którym strofa Słowackiego korzy się w podziwie:

„Po morzach wędrował, był kiedyś Farysem,
Pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem,
Miał drogę gwiazdami znaczoną po stepie
I życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie“.

Dziwne właściwości zbiegły się w jego osobie i życiu: trzynaście pokoleń Beduinów ślubowało mu wierność poddańczą za to, że najlepiej pod słońcem na koniu jeździ, że duszę ma dziecka i jedno tylko w sercu uczucie: nienawiść do wszystkiego, co europejskie. Przy tem wszystkiem był zaś Wacław Rzewuski także *sztabs-oficerem* armii austryackiej i wychowankiem wiedeńskiego instytutu wojskowego, oraz odbył kampanię napoleońską.

Cóż jeszcze? Emir Rzewuski produkował *en masse* utwory poetyckie, mało udatne, za to mocno byronizmem przesiąknięte, rysował namiętnie, mówił wieloma językami, miał dalej aspiracye muzyczne i wiele komponował, sam sobie przy klawikordzie do romanz akompaniując. Nad wszystkiem innem — jak na prawego Farysa przystało — dominowała poza i zarozumiałość, do śmieszności posunięta. I tak w chwili wybuchu wojny turecko-rosyjskiej przypuszczał święcie, że car powoła go na naczelnego wodza armii rosyjskiej.

Na kongresie powinien był czuć się jak w domu, tem więcej, że z połową towarzystwa polskiego skoligacony. Syn Konstancyi z Lubomirskich, brat błyszczącej na salonach Izy de Waldstein, mąż wreszcie Rozalii Lubomirskiej. Ale wyrodny mąż, syn i wnuk, tak dalece odbiegł od szyku zabaw kongresu, jak pałace wiedeńskie od pustyni Nedżu, na którą właśnie wyjeżdżał. Daremnie więc rozsyła ks. marszałkowa sztafety i szybkobiegaczów po całym Wiedniu.

Złotywłosy emir nie dał się namówić. Unikał starannie kolegów z pułku i wszelakich kuzynów, odrzucał ze wzgardą myśl o zetknięciu się z ludźmi Europy, choć gwałtownie o to zabiegali. Nietyle może gwoli bujnej egzotyczności Tadż-ul-Fachra, ile że w swej przybranej ojczyźnie miał Rzewuski łatwy dostęp do arabskich *vollblutów*. A przytem chodziło o pozyskanie świetnego jeźdzca dla zabaw i polowań *par-force*. Pierwszy zapalił się do ogierów arabskich car Aleksander, zaczem

poszła jego siostra, łasa na każdą nowość i pełna temperamentu w. ks. Katarzyna.

Ku rozpaczy, a może i tajonej uciesze swej babci, Rzewuski po kilku dniach znikł doszczętnie z Wiednia, by wkrótce zresztą wypłynąć i dać o sobie słyszeć w Aleppo. Zabiegi zaś cara Aleksandra spełniły się później dopiero. Błędny rycerz romantyzmu polskiego przywiózł mu w r. 1817, trzy klacze arabskie i pięć ogierów. Szczęśliwszą była w. ks. Katarzyna, późniejsza królowa wirtemberska. „Kupiłem dla Jej Król. Mości — pisał wkrótce potem Rzewuski — czternaście klaczy arabskich i trzynaście ogierów w pustyni Nedżu. Narażałem się na niebezpieczeństwa, ale udało mi się zrobić wyborny nabytek“. Mimo to na reunionach kongresu opowiadano sobie dalej dziwy niestworzone o Wacławie Rzewuskim. Wonne hrabiątka w pantofelkach ze złotymi klamrami nijak pojąć nie mogły romantyka, który dziki namiot beduiński przeniósł nad błyszczące parkiety salonów.



PREZYDENTOWA STANISŁAWA ZAMOJSKA.

W HOTELU „ZUM GOLDENEN OCHSEN".

Dajmy na chwilę spokój karmazynom i wymieńmy na koniec choć jednego — szaraczka. Skromny staruszek w czarnym fraku, w którymby go może nawet lokaje na salę obrad kongresu nie wpuścili. Mało go widywano na bankietach i promenadzie. Jeno legenda szeptała cicho, wędrowała z ust do ust: że przybył wreszcie do Wiednia, że działa i chwili stanowczej czeka. Może szarfę namiestnikowską weźmie w przyszłem Królestwie Polskiem, może buławę wodza naczelnego. Na dźwięk tego imienia chyliły się pokornie fraki kolorowe i głowy ufryzowane, a wśród bezmyślnych i obojętnych nawet dam powstawał szmer uwielbienia. Do Więdnia przybył już ku końcowi obrad *incognito*. Stanął w drugorzędnym hotelu *„zum goldenen Ochsen"*, a w księdze przyjezdnych zapisał się jako hr. Tadeusz Polski. I tylko szef policyi tajnej w tym okręgu wiedział, że na sędziwego pana szczególniejszą zwracać należy uwagę, bo to jest — *ein gewisser Herr von Kościuszko.*

A konfidenci donosili dalej skrzętnie p. ministrowi policyi, że „Kościuszko bywa tylko u Czar-

toryskich, Lanckorońskich i Lubomirskiej. Jest już bardzo stary, nie nosi odznak wojskowych, ani stroju polskiego. Na obiady chadza do starej ks. Lubomirskiej. Zostaje dwa lub trzy tygodnie, poczem wyjechać ma do Aachen". Były i plotki bezsensowne. W najlepszej wierze donoszono tedy, że „Kościuszko bierze pokaźną pensyę od Aleksandra", że „Aleksander i Czartoryski kazali (!) Kościuszce pojechać do Polski, aby tam głosił ewangielię Aleksandra". Tu wszakże dodano ostrożnie: „Pokaże się, gdy przybędzie do Warszawy, jaką wyznaje ewangielię".

Istotnie okazać się miało, aż nazbyt rychło. Bohater z pod Racławic od początku nie ufał neurastenicznym obietnicom Aleksandra. Kompromisów nie znał, w *nuance'ach* polityki nigdy się zbytnio nie wyznawał. Dla wszystkich, co z nim chcieli pertraktować, miał te same warunki: „Odbudujcie Polskę konstytucyjną od Bałtyku, do morza Czarnego". Napoleon nazwał go za to *imbècile*, pan minister de Fouché, który daremnie trudził się do Berville, groził mu aresztowaniem. A zresztą cóż miał na kongresie do czynienia? Tajemnicę o siedmiu pieczęciach przedstawiały intrygi i komeraże wiedeńskie dla tego gołębiego człowieka, co brzydził się krytymi sztychami podstępu i uważał wbrew wszystkim Talleyrandom, że mowa służy do wyrażania myśli. Do Wiednia przybył tedy *contre coeur* i bez wszelkiej wiary w skuteczność podróży, po to jedynie, by niczego nie zaniedbać. Za złe brano nawet czcigodnemu Naczelnikowi, że twardy jest i nieugięty, skoro

Aleksander po odniesionem nad Napoleonem zwycięstwie w r. 1814. na wieczorze u ks. Jabłonowskiej w Paryżu przyobiecał wskrzesić *„la pospolite“* po Dźwinę i Dniepr. A zastrzegł w niej najwyższe dla Kościuszki godności. Przypominano, że wówczas, na tym samym wieczorze cesarz pod ramię wiódł go poprzez tłum gości, wołając: *„place! place!“* oto wielki człowiek!“ Wymieniono też liczne, pełne najżywszego uwielbienia słowa, w których król danserów i cesarz Wszech Rosyi wychwalał przyjaciela swego ojca. A świeżo opowiadał ktoś, dopiero co na kongres przybyły, że idąc wczoraj z Kościuszką na przechadzkę alejami Prateru, spotkali Aleksandra, który biegł ku nim zdaleka i pierwszy kłaniał się Naczelnikowi. Lecz hołdy takie zwyczajne były Kościuszce. Ani był ich ciekaw, ani łasy. „Niech inni biorą urzędy, ordery, aby mi tylko pozwolili być zdatnym mojej ojczyźnie“.

Tak przyjazd Kościuszki na kongres pobudził na nowo zgasłe nadzieje i umocnił wątpiących. Kościuszko czasu nie tracił. Już w drodze do Wiednia spotkał Aleksandra na stacyi pocztowej w Braunau. Car odesłał go do ks. Adama. Natychmiast po przyjeździe udał się do Czartoryskiego i bez ogródek wyraził mu swój maksymalistyczny program, potem odwiedził Razumowskiego i po obu tych wizytach świadom był rychło, że kwestya polska jest już definitywnie załatwiona i — pogrzebana. Przybity i zgnębiony napisał zaraz list do Aleksandra i czekał odpowiedzi. Ani się domyślał, że przybył o pięć miesięcy za pó-

żno! Sprawa polska już w styczniu 1815 była zapieczętowana.

Tymczasem — zwiedzał osobliwości *der Haupt- und Residenzstadt Wien* i przyjmował wizyty. Stary Ossoliński, tyle serdeczny i blizki przyjaciel z lat dawnych, zachodził czasem pod „Złotego wołu“, bywał też Ludwik Jabłonowski, poseł przy dworze neapolitańskim, hr. Komar, a zresztą mało kto więcej. Z wyjątkiem dworu ks. Lubomirskiej, gdzie „obiady dostateczne“ jadał, nie bywał nigdzie. Raz tylko jeden wybrał się na oficyalną *thée-soirée* do Stackelberga.

Tymczasem wyczekiwana odpowiedź Aleksandra nie nadchodziła i nigdy nadejść nie miała, a coraz głośniej mówiono, że nowy rozbiór Polski otrzymał sankcyę monarchów Europy. Wtedy Kościuszko napisał swój pamiętny list do ks. Adama: „Poświęciłem życie całej Polsce — powiadał tam — ale nie najmniejszej, którą nazwano pompatycznie Królestwem Polskiem. Mamyż zamilczeć o pozostałej braci naszej? Serce nasze wzdryga się i ubolewa, że nie jest z drugiemi połączona“. Do Szwajcaryi pojechał, nie mogąc wydatnie służyć Ojczyźnie.

A niektórzy mówili, że zdziwaczał i postarzał się do reszty. Szczególnie bystro zauważył to w. ks. Konstanty i chwalebną szczerością podał oczywiste dowody starczej demencyi bohatera w sukmanie: *Gaspadin* Kościuszko plecie głupstwa na starość. *Wot szto:* marzy mu się jakaś cała i niepodległa *Polsza*...

Do pasyi doprowadzała ich wszystkich owa,

tyle mądra i przewidująca nieufność Naczelnika, której wkrótce dał wyraz, pisząc wkrótce po ogłoszeniu Kongresówki w liście do przyjaciela: „Obawa jest wielka, aby królestwo astrahańskie, które rozpłynęło się na prowincye russkie, a jeno korona widzialna jest w ceremoniach rosyjskich". Posłannictwo swoje uważał za skończone i nie o czynach myślał. Jasnem się mu stało w Wiedniu, że jest człowiekiem wczorajszym. Rozglądał się i pertraktował o kupno fermy w Szwajcaryi, gdzie na zagonie własnym mógłby miecz na pług przemienić. Dla namiętnego entuzyasty wolności, który życie ofiarował „principiom" i „notom" republikańskim, nie byłoby miejsca pod komendą w. ks. Konstantego, ani też w klatce św. przymierza. Czuł blizki przypływ fali reakcyi rosyjskiej i wiedział, że mu już chyba być — Cyncynatem, „coby tylko użył w domku małym spokojności aż do śmierci i bawił się ogródkiem".

Jeja Wieliczestwo

NIEDOSZŁA KRÓLOWA POLSKA.

W niebieskim płaszczu, obszywanym gronostajami, w kryzie otwartej *a la Van Dyck* było jej bardzo do twarzy. Miała nosek nieco zadarty, gruszkę dyamentową we włosach i naiwne oczy pensyonarki, któremi w kozi róg zapędzała nieraz suwerenów. Bujne, ciemne loki okalały buzię czupurną chłopaka raczej niż kobiety, której spryt dyplomatyczny podziwiał nieraz Metternich z Harderbergiem. „Biały gołąbek“ i „genialna kokietka“ zarazem. Za najszczytniejszy przecież komplement uznać trzeba porównanie inne: Mówiono, że ona jedna z całego społeczeństwa jest nieodrodną, podobną z rysów, pokrewną temperamentem siostrą swego brata Aleksandra — uwielbiająca go i wzajem przez niego uwielbiana: *Jeja Wieliczestwo Wielikaja kniaginia Jakatierina Pawłowna.*

Najpoważniejsza na kongresie panna na wydaniu, kapryśna jak Kleopatra, wybredna, niczem księżniczka medycejska. Uprzejmy dla wszystkich kronikarz kongresu, hr. de la Garde, porównuje jej rezydencyę w Twerze do Ferrary i Florencyi.

Ponoś nie zabrakło jej w tym kierunku — dobrych chęci. Na jej salonach gromadzili się literaci i artyści, przez jej panieński buduar i alkowę małżeńską przepływał nieraz nurt historyi. Pierwszego kosza dostał od młodziutkiej wielkiej księżnej bawarski następca tronu, późniejszy Ludwik I. Potem zachwyci się małą rączką z ametystowymi żyłkami Napoleon I. i czynić będzie usilne zabiegi około maryażu, rozwianego wskutek sprzeciwu carowej-matki. Aleksander miał wogóle ze siostrzyczką twardy orzech do zgryzienia. „Niech to cesarz pamięta — rzekła raz w zapale — że wszystko dla niego uczynię, tylko męża sobie nie dam dać, któryby mi nie był przyjemnym". Powiedziała tak, nauczona doświadczeniem pierwszego małżeństwa, które ani było szczęśliwe, ani polityczne. Pierwszy mąż w. ks. Oldenburski, niemiłosiernie brzydki mężczyzna, a i potentat zgoła malutki, odumarł swą żonę w r. 1812, a przed 28-letnią wdówką otworzyły się teraz perspektywy ponętne: mogła zostać albo cesarzową austryacką, albo królową wirtemberską, albo wielką księżną litewską, albo wreszcie — królową polską.

W tuzinie coraz innych gorączkowych pomysłów, za pomocą których Aleksander chciał rozwikłać węzeł gordyjski sprawy polskiej — był także i ten, by na wskrzeszonym tronie polskim osadzić swą siostrę jako regentkę i utworzyć sekundogeniturę Romanowych. Jeszcze przed wyprawą na Moskwę snuły się te plany. Aleksander obiecywał tron polski mężowi, potem znowu rozważał sprawę tej regencyi w świeżo zajętem księ-

stwie Warszawskiem. Ona tymczasem chętniej myślała o dwu Habsburgach. Jednym był arcyksiążę Karol, zwycięzca z pod Aspern, ale szpetnie brzydkich rysów, drugim Jan. Łatwo dostrzedz, że te kombinacye pozostawały w związku ze sprawą polską. Przecież już w epoce rozbiorów istnał plan ofiarowania korony Jagiellonów Habsburgom, plan, który wypłynie znów w początkach insurekcyi listopadowej.

Nie można żadną miarą powiedzieć, aby w. ks. Katarzyna sprzyjała sprawie polskiej. Przeciwnie raczej. Patrzyła na nią przez pryzmat Repnina i Stackelberga, a Karamzin, głośny polakożerca, był jej przyjacielem i doradcą. Ale w ostateczności, gdyby wszystko inne zawiodło, gdyby Aleksander stanowczo tego zażądał, zdecydowałaby się *at czystawo sierdca* na koronacyę w katedrze św. Jana.

W Polsce kiełkowała myśl ta od lat kilku. Prof. Askenazy stwierdził, że zdaje się, tuż po odwrocie Napoleona z Moskwy wysłano do w. ks. Katarzyny konkretne propozycye regencyjne. Teraz zaś sprawa nabierała znowu widoków urzeczywistnienia. Zaczem ks. Adam, nigdy żadnej sposobności nie omijający i do każdej interwencyi ochoczy, wybrał się osobiście do Franzensbrunn, gdzie kniahini bawiła przed udaniem się na kongres. Przebieg audyencyi i treść rozmowy z pretendentką do korony polskiej zapisał ks. Adam w swym dzienniczku podróżnym:

„Przyznaję — pisze Czartoryski — życzenia współziomków, aby ona (Katarzyna) mogła być

naszą rządczynią. Odkrzykuje się naprzód: że niesposobna, że nie chce. Jednak dopytuje się, czy cesarz o tem nie nadmieniał. Że ona przez delikatność słowa nigdy nie wyrzekła. Że w życiu męża dwa razy to przekładał już; że nieboszczyk nie zdał się dla narodu; że jednak trzecią razą byłby uległ rozkazowi, ale że w tem umarł". Widzimy tedy, że *Jeja Wieliczestwo* wymawia się dość niezręcznie, niemniej jednak stara się zachować wolną rączkę. Ks. Adam notuje dalej: „Że gotowa uczynić wszystko, co cesarz rozkaże, że jej bracia mają przedewszystkiem prawo, że... najpierw męża potrzebuje! Mówi, że arcyksięcia Karola nie jest pewna, a arcyksiążę Jan jest słaby *et plein de morgue,* a przedewszystkiem nie będzie chciał służyć Moskwie".

To ostatnie wyznanie jest nieocenione; zdradza bowiem, że Katarzyna wyobrażała sobie owo królowanie w Polsce, jako — wierną służbę interesom państwowym Rosyi. Drugą jeszcze wizytę złożył niestrudzony Czartoryski w. księżnej. Był u niej na obiedzie. Gdy pierwszym razem wydała mu się stosunkowo dość uprzejmą, teraz przyjęła go zimno i powściągliwie — i dyplomata polski opuścił Franzensbrunn z przekonaniem, że w. księżna Katarzyna nie tylko z imienia przypomina swą babcię „Semiramidę północy". Musiała snać wyczuwać, że cały plan jest mało realny, że Aleksander nie myśli na seryo o samodzielności państwowej Polski, a gdyby nawet tak się stało, to przedewszystkiem zechce

8

w Warszawie ulokować Konstantego, by się go pozbyć — z Petersburga.

W każdym razie problem „przyjemnego męża“ domagał się najpierw rozwiązania. Na kongresie okazało się wkrótce, że arcyksiążę Karol nie ma do tego kwalifikacyi. Choć był bardzo zajęty i owładnięty wdziękami carskiej siostrzycy, a romans obojga datował się już od lat trzech, (gdy w. księżna w roku 1812 bawiła z swą przyjaciółką, hetmanową Ksawerową Branicką w Wiedniu) — to przecież plany małżeńskie pogmatwały się rychło. Arc. Jan, brat odpalonego konkurenta, tak o tem nadmienia w swym dzienniczku, prowadzonym przez czas kongresu: „Karol zawiadomił mię, że stosunki z w. księżną zerwane. Cesarz Aleksander powiedział mu krótko, że siostra nie może go opuścić, bo jest mu niezbędnie potrzebną“. W parę dni później dodaje: „Szkoda, że nie wejdzie w nasz dom! Wiem z pewnością, że gdybym był tylko chciał, byłaby za mnie wyszła“.

Wesoła wdówka z Petersburga rozwijała tymczasem na kongresie całą finezyę swej kobiecości i kunsztu dyplomatycznego, aby zrobić wielką partyę polityczną — cóż kiedy „Amor zgubił Troję“. W jej przestronnem serduszku usadowił się bowiem na stałe następca tronu, a blizki już król wirtemberski, Wilhelm I. Uczucie było na pozór wzajemne, a w każdym razie tak gwałtowne, że kronprinz rozwodzi się bez namysłu ze swą żoną i odtąd niema na kongresie drugiej bardziej zakochanej pary. W. księżna coraz rzadziej pokazuje

się na salonach, a coraz częściej spotkać ich można *en deux* w alejach Prateru, czy na Kahlenbergu. Romans zakończy się wkrótce małżeństwem i znajdzie finał tragiczny. Już w ciągu kongresu przekonała się Katarzyna, że jej przyszły małżonek ma serce dość obszerne, że ją zdradza ze słynną awanturnicą ks. Bagration, że właściwie nigdy jej nie kochał, a żeni się tylko dla ambicyi. Maryaż okazał się bardzo nieszczęśliwy. Niedoszła królowa polska wkrótce potem zakończyła życie, które ani w części nie zadowoliło jej wysokich aspiracyi. Hr. Lulu Thürheim opowiada w swych pamiętnikach, że chora już królowa wirtemberska zaziębiła się śmiertelnie w ogrodzie, gdzie podsłuchiwała męża, odbywającego schadzkę z jej damą dworu. Zimne *désinteresement* Katarzyny wobec Polski było jednym dowodem więcej, jak mało zrozumienia miano w r. 1815 dla międzynarodowego znaczenia sprawy polskiej.

PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA.

Wszechwiedza historyi jest nielitościwa i wścibska. Bo zważmy tylko: Zamknięto oto wybite „rossharem“ drzwi sekretnego gabinetu, w którym ambasador pruski Hardenberg ma właśnie bardzo dyskretną, a wcale dlań drażliwą rozmowę z ks. Antonim Radziwiłłem. Decyzya nie jest lekką, idzie bowiem o dwa... ciężkie wory dukatów, które panu ministrowi króla pruskiego przysyła za pośrednictwem Radziwiłła car Aleksander, prosząc, by *malgré tout* zachował dlań swą — przyjaźń. Skąd, mimo szczelnie zamknięte drzwi, wiemy o przekupstwie pana ministra pruskiego? Oto w drzwiach pałacu stał na czatach ajent tajnej policyi, a w kominku gabinetu ukrył się konfident i pilnie słucha. Raport obu otrzyma nazajutrz pan minister policyi, a dziś, po stu latach, ma go przed sobą historyk, korzystający z archiwum tajnych aktów kongresu wiedeńskiego. Albo inna afera pekuniarna: obliczenie sytuacyi finansowej Metternicha, który „zarabia 100.000 reńskich w. a. rocznie w srebrze, pół miliona winien Rotszyldom, a podarunki, jakie otrzymał od różnych monarchów za różne usługi, przekraczają wartość

miliona!" Jest w tych obliczeniach także i malutkie *polonicum:* w jednym z aktów policyi wiedeńskiej zapisano, że Nowosilcow pobiera od ks. A. Czartoryskiego 200 dukatów miesięcznej gaży!

Ale przejdźmy do innych informacyi tajnej policyi, która we wszystkich sferach i kołach miała swych usłużnych reprezentantów. Oto n. p. u hr. Skarbka w Nussdorfie zebrało się grono Polaków na poufną konferencyę polityczną: Konwentykiel był w najściślejszem kółku, mimo to nazajutrz wiedziano tam, gdzie trzeba, kto z przybyszów polskich wyznaje jaką „oryentacyę" polityczną, kto jest za Austryą, a nawet, jakie dowcipy padały, kiedy *le vin eut echauffé les têtes des patriotes.* „Skarbek — są słowa tajnej relacyi — atakował zwolenników Rosyi i wykazywał naiwność tych, którzy wierzą w jej dobre intencye. Baworowski złościł się na fałszywe słówka Aleksandra. Broniewski, który zrobił wielki majątek na sprzedanych rządowi salinach za cenę 280.000 fr., przenoszącą dziesięćkrotnie ich wartość — stawał również po stronie Austryi". Gdzie źródło tych relacyi? Oto wśród uczestników zebrania był również jakiś ciemnej konduity pan Otocki, figura bliżej nieznana, a pozostająca na usługach policyi tajnej. Zadaniem tego Otockiego było śledzenie wszystkich polskich przybyszów we Wiedniu. Ale nie wiele zdołał wypatrzeć. W raportach swych, składanych ministrowi policyi, narzeka biedaczek, że politycy polscy są małomowni i podejrzliwi, a od księcia Czartoryskiego, mimo starań i podstawianych służących, nie można ani

słowa wydobyć. Snać poznano się na panu Otockim. Sfora płatnych ajentów była bardzo liczna. Niektórzy z nich należeli do wysokich kół towarzyskich, tak, że ledwie cesarz i minister br. Hager znali ich nazwiska. Choć byli też lokaje i kamerdynerzy, kurtyzany wszelakiego rodzaju, a i zwykli żydkowie galicyjscy, którzy nieraz cenne oddawali usługi. Aby wiedzieć o wszystkiem, używano rozmaitych sposobów, przedewszystkiem szyfonów i interceptów. Szyfony — to kunsztownie sklejane resztki listów i korespondencyi, wydobytych z koszów i kominków. Interceptami zaś zwano kopie korespondencyi, otwieranych na pocztach przez ajentów policyjnych. Z takiego wydobytego z kosza szyfonu dowiedziano się n. p., że Napoleon zamierza uciec z Elby, w interceptach znachodziły się arcyciekawe dokumenty intymne głów koronowanych, listy miłosne imperatorowych itd. Z interceptu powzięto również ciekawą wiadomość o pewnym Angliku, co wprost z Elby z audyencyi u Napoleona przybył do Wiednia. Napoleon miał mu powiedzieć: „Panowie w Wiedniu chcą mnie ulokować na wyspie św. Heleny, ale z tego nic nie będzie!“ Nie tylko rząd austryacki miał swych tajnych wywiadowców. Służbę wywiadowczą zorganizowały sobie we Wiedniu również inne państwa, a nawet osoby prywatne. Rząd rosyjski z powodzeniem używał półświatka do robót szpiegowskich, a na czele rosyjskiej policyi tajnej stał gen. Witt, syn Zofii Potockiej z pierwszego małżeństwa.

Dokumenty tajnej policyi w czasie kongresu,

wydane niedawno we Wiedniu przez A. Fournier'a, stanowią tom spory, nie zawsze jednak świadczą o bystrości i talencie konfidentów. Mało informacyi istotnie cennych, dużo pustej gadaniny. Ulubionym tematem raportów jest rzecz prosta — osoba Aleksandra. Tu dopiero poznać można, jak bardzo nielubianym, mimo wszelkie pozory popularności, był samodzierżca rosyjski. Oto epitety, któremi darzono Aleksandra, pozbierane przez podsłuchujących konfidentów: oszczerczy dureń, kapryśny i nieobliczalny intrygant, maniak religijny, cynik słodki w języku a fałszywy w sercu; grozi mu obłęd tak jak Pawłowi, ma delikatną płeć, ale źle słyszy, gwizda pięknie przy fortepianie, gra z pasyą w loteryjkę, zakłada się z paniami, kto się prędzej przebierze. Pod względem fizycznym jest nieznużony: O trzeciej nad ranem przybył z Oksfordu wprost na zabawę taneczną, gdzie bawił się do upadłego, poczem przez cały dzień następny chodził z wizytami. Czasem zmusza swe tancerki do czterdziestu ukłonów w jednym tańcu. Dba ogromnie o wygląd zewnętrzny i stara się zawsze aby białe spodnie generalskie, przypominały na nim — statuę marmurową. Mówią, że przy toalecie czterech lokai podnosi jego ces. mość do góry, aby mógł wskoczyć w swe obcisłe *culots de peau*. Zaufanie do imperatora — raportują dalej tajni konfidenci — mają chyba tylko — niektórzy Polacy. Podobno istnieją ukryte schody w Burgu, którymi komunikują się z Aleksandrem. Dyplomaci rosyjscy, Nesselrode i Razumowskij, boją się bardzo wpływu Czartory-

skiego na Aleksandra. — Na swoje utrapienie przywiózł car z sobą na kongres w. ks. Konstantego. Był on postrachem *society*. Bez wszelakich skrupułów zachowywał się we Wiedniu, niczem na warszawskim Belwederze: *po siemu*. Płata naokół złośliwe, kałmuckie figle i dzikie awantury, alarmuje po nocach wartę Burgu, najwięcej przecież przesiaduje na „hofie“ kasarnianym, namiętnie studyując zasady mustry austryackiej. Pewnego pięknego poranku po jakiejś awanturze spoliczkował, jak zrazu mówiono, Metternicha, a jak się później okazało — jednego z Windischgrätzów. Wówczas, na stanowcze żądanie Franciszka I., musiał opuścić Wiedeń i uszczęśliwił sobą Warszawę, gdzie już w kilka dni później krążył nowy dowcip Żółkowskiego: „Konstanty jest zawołanym skulptorem, doskonale bowiem — trafił Metternicha!“

Przez dziurkę od klucza patrzyli nie tylko tajni ajenci, umiały to czynić także rozmaite — damy gwiaździste, spragnione plotek i łakome skandalu. Cóżby bowiem innego stanowiło temat dyskursów wdzięcznych na wieczorach i balach?

Były osoby i sprawy, któremi się plotka szczególnie opiekowała i coraz nowe a złośliwe kuła na ich temat dowcipy. *Par exemple* romas p. Tyszkiewiczowej. Głośną od lat synowicę króla Stanisława Augusta, a siostrę ks. Józefa, którą w swoim czasie Bacciarelli sportretował jako rozpustną nałożnicę Salomona, oddawna łączyło głębokie uczucie z Talleyrandem, i z nim też razem przybyła na kongres. Ks. Benewentu miał jedną kulawą

nogę, p. Tyszkiewiczowa zasię jedno szklane oko. A przeto kongres śmiał się do rozpuku z mocno leciwej, a tak dziwnie dobranej pary. *C'est un bas de soie rempli de boue* mówiono o wszechwładnym do niedawna ministrze Napoleońskim, niewiele lepiej oceniając bogdankę jego serca. „Bywałem u niej — opowiada jeden z uczestników — kiedy niekiedy na herbacie i często tam zastawałem Talleyranda. Nic śmieszniejszego nie widziałem, jak jej mizdrzenie się do księcia, a znowu, jak ten się do niej wdzięczył. Tyszkiewiczowa czyni też honory gospodyni na przyjęciach, dawanych przez Talleyranda i pomaga mu w intrygach, w których ten chytry dyplomyta jest zawsze niewyczerpany". Romans obojga przetrwał długie lata, a zakończył się zgoła romantycznie: Ostatnią wolą p. T. było, by ją pochować w grobowcu Talleyranda, co też uczyniono.

Z gestem niekłamanego oburzenia komentowano natomiast wśród society polskiej inną, a bardzo brzydką aferę. Bohaterką jej była, nieobecna zresztą na kongresie, pani N a r y s z k i n a. Polka ze świetnego rodu książęcego, zmoskwiczyła się do cna i stała się równie liberalną zarówno w zasadach patryotyzmu jak i moralności. Kobieta niezwykłej piękności, była od szeregu lat faworytą Aleksandra i miała z nim syna. Zły i intrygancki charakter renegatki szkodził nieraz sprawom polskim, wobec których szczególnie wrogo była usposobiona. Powiadają, że nieraz tłumaczyła Aleksandrowi, iż zbyt ceremonialnie postępuje z Polakami. Na kongresie Aleksander zdradził swą kochanicę

i uległ wdziękom słynnej pani Bagration. Naryszkina, chcąc okazać, że i jej sprzykrzyły się amory carskie, zajęła się adjutantem Aleksandra, gen. Ożarowskim. — Podobno później cesarz przyłapał oboje in flagranti i — wspaniałomyślnie im przebaczył.

Inne namiętności były też niezgorzej reprezentowane. Do najgorliwszych karciarzy zaliczała fama ks. Ludwika Jabłonowskiego, który najpierw u ks. Lichtensteina, a potem „w grze hazardowej po kątach trzymanej“ zdołał w krótkim czasie przegrać 500.000 zł. Mimo ledwie skończonych lat 30 był ów Jabłonowski postacią, o której wiele mówiono. Epuzer i dandys lwowski, zdobiący lwowskie salony namiestnika Goessa tryumfował i w Wiedniu. Brakowało mu wprawdzie „zasadów (!) gruntownej nauki, ale miał za sobą wszystkie powierzchowne zalety, oraz łatwość tłumaczenia się w pięciu celniejszych językach“. We Lwowie kochała się w nim na zabój hr. Lulu Thürheim, we Wiedniu przez ks. Dino — Sagan potrafił zręcznie wkręcić się w łaski Metternicha, którego humorem i tanimi dowcipami rozśmieszał. Dzięki temu mimo braku wszelkich kwalifikacyi został wkrótce Jabłonowski posłem austryackim w Neapolu, ale i tu wysokie apanaże nie tylko nie umożliwiły mu spłaty długów, lecz jeszcze popchnęły go do wcale znacznych defraudacyi.

KSIĄŻKA POLSKA NA SALONACH OBRAD.

Odjeżdżających w popłochu z Wiednia suwerenów żegnała — książka polska. Właśnie goście kongresowi łagodzili się śpiesznie do podróży, gdy w salonach monarchów i na gotowalniach dam błękitnych ukazało się jako *souvenir du congrés de Vienne*, wydawnictwo będące ostatniem słowem ówczesnej sztuki typograficznej — francuski przekład „Zofiówki“ Trembeckiego, z tekstem polskim i objaśnieniami. Jako protektorowie wydawnictwa i zarazem... literatury polskiej widnieli na wstępie listy przedpłacicieli pierwsi dostojnicy kongresu: *S. M. Impèriale l' Empèreur de Russie* złożył przedpłatę na dwa egzemplarze, tyleż carowa i obie siostry, inni suwerenowie wzięli po jednym egzemplarzu, wśród prenumeratorów polskich widniał też na liście *Son Excèllence Monsieur le Géneral Kościuszko.* Umyślnie lano we Wiedniu czcionki polskie na użytek tego wydawnictwa, głośny pejzażysta angielski, dyrektor Akademii w Edynburgu, Wiliam Allan, namalował pięć widoków ogrodu w „Zofiówce“, Schotterbeck wykonał sztychy, a Dawid Weiss zajął się ich reprodukcyą. Inicyatorem, wydawcą i tłumaczem był — Scipio Karol August hr. de Lagarde Chambonas.

Co zacz to człowiek i skąd pomysł wydania Trembeckiego w czasie obrad kongresu? Nazwisko tłumacza nie jest nam obce, słyszeliśmy je w ciągu opowiadania. Hr. de Lagarde może ubiegać się słusznie o tytuł „Plutarcha kongresu“. Tańczącego kongresu tańczący dziejopis, który wiele lat później wydał swe obszerne wspomnienia o ludziach i zabawach w Wiedniu: *Fêtes et souvenirs du Congrès de Vienne* (Paryż, 1843). Plutarch kongresu zdołał się doskonale w jego stylu utrzymać. Tedy jest książka owa przedewszystkiem — dobrze wychowaną. Wytworny autor unika starannie wszelkich cieniów i zgrzytów, nikogo nie dotyka, ani, broń Boże, nie obmawia. Słodki i cukierkowy, czasem do znudzenia, wszystkich obdziela uprzejmymi komplimentami. Z jego różowego opowiadania wynika niemal, iż odbywające się we Wiedniu targi były rozkosznym symposionem i toczyły się w olimpijskiej, budującej zgodliwości. Niemniej jednak żywa i barwna narracya hr. de Lagarde, z której tu nieraz korzystaliśmy, ma dużą wartość jako dokument obyczajowy. Otóż ten autor „Wspomnień o kongresie“ zbiegł z pod gilotyny Wielkiej Rewolucyi, wychowany razem z głośną panią Recamier, który pozatem wszerz i wzdłuż przemierzył całą Europę, a swe beztroskliwe wojaże opisywał w pięknie wydawanych książkach — był entuzyastycznym wielbicielem Polaków i Polski. Jako „ostatni trubadur francuski“ wylał łzę rymowaną *sur la tombe du Prince Joseph Poniatowski.* Poszukiwany później przez reakcyjną policyę austryacką jako „nie-

bezpieczny awanturnik", określany był hr. de Lagarde w listach gończych: *der Sprache nach ein Pole*. Z gorącego polonofilizmu słynął na salonach, ujawnił go też we wszystkiem, co pisał. Ma ten sentyment wszelkie cechy ducha czasu. Pan de Lagarde uwielbia wytworność „Francuzów północy", bije czołem przed kobietą polską, kocha polski gest i lekkomyślność, roztkliwia się czule nad niedolą polityczną Rzeczypospolitej, wpada w zachwyt nad smętkiem pejzażu nadwiślańskiego i luksusem senatorskich splendorów.

W swojej życiowej wędrówce zawadził raz około r. 1811, o Tulczyn Szczęsnego Potockiego, oglądnął wszystkie wytwory bujnego gestu magnata i — oniemiał z podziwu. „Gdyby można — czytamy w pamiętnikach — stokrotnie chwilę szczęścia pomnożyć, to rok, przezemnie w Tulczynie przeżyty, równa się całemu życiu człowieka". Twierdzi, że nie zdarzyło mu się potem nic piękniejszego widzieć na świecie. By móc przeczytać „Zofiówkę" Trembeckiego, uczy się zapalony Francuz po polsku, studyuje przeszłość Rzeczypospolitej i pomnaża legion owych tkliwych i platonicznych przyjaciół, których nam nigdy nie brakło. Przybywszy na kongres, był jeszcze hr. de Lagarde pod urokiem Tulczyna i Polski, a wtórował mu w tym afekcie sędziwy ks. de Ligne, również zdawna sentymentem polskim owładnięty. „Postanowiłem — wyznaje w swych wspomnieniach — zrobić wszystko, co do mnie należało, abym Polsce złożył trybut mej wdzięczności". Trybutem owym to właśnie przekład „Zofiówki". Chodziło o to, aby książka

choć w części dorównała wspaniałości ogrodu Potockiej i dosięgała pod względem typograficznym tej miary przepychu, jaką błyszczał Tulczyn. Już w Paryżu nosił się Lagarde z zamiarem przekładu. Przybywszy na kongres, spostrzegł, że tu sposobność najlepsza. Wystarczyło bowiem kilka nazwisk monarszych na czele listy odbiorców, aby koszta były pokryte, wszyscy bowiem uważali za święty obowiązek złożyć dukata i nazwisko. „Nie zaniedbałem niczego, by dziecię Muzy 70-letniego Trembeckiego jak najozdobniej wyprawić w świat“.

Odnajdźcie w którejś z naszych bibliotek egzemplarz tłumaczenia, a obaczycie, że w słowach tych niema przesady: „*SOPHIOWKA, poème polonais par Stanislas TREMBECKI, traduit en vers français par le comte de LAGARDE* — zdumiewa nas wytwornością. Drogi, czerpany papier, artystyczny krój czcionek, starannie wykonane i kosztowne reprodukcye, wreszcie smak całości, ozdobnie w skórę oprawionej — słowem edycya, jakich nie wiele zna bibliografia polska w pierwszej połowie XIX. stulecia. Znakomity pisarz, Jan Potocki, napisał do książki przedmowę o Szczęsnym Potockim, tłumacz zaś przerobił jego rozprawę o historyi narodów ukraińskich. Sam przekład, jakkolwiek miejscami dość dowolny, ujmuje gładkością i wiernością. „*Une foule de beautés* — wyznaje tłmacz — *étaient perdues pour Vous, je Vous en ai transmis quelques unes*“. Rzecz stała się wkrótce rzadkością bibliograficzną, tak że dziś niektórzy zagraniczni, a nawet i nasi historycy przypuszczają, że wogóle nie wyszła z druku. *(Es ist freilich fraglich, ob es*

je zustande gekommen). Może to stąd poszło, że ukazała się w czasie zgoła nieodpowiednim: właśnie introligatorzy ukończyli oprawę pierwszych egzemplarzy, gdy — Napoleon wylądował w Cannes. Dostojni przedpłaciciele nie zdążyli nawet odebrać wszystkich zamówionych egzemplarzy. Tłumaczy wszakże nie minęło uznanie. Za przekład i staranną edycyę mianowano go członkiem Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, Tow. naukowego w Krakowie, a także w Londynie, Monachium i Neapolu. Nie ustał on i dalej w swym polskim sentymencie: w r. 1819, wydał po francusku poemat pt.: „Pogrzeb Kościuszki w grobach królów polskich w Krakowie" i nieraz jeszcze później da się słyszeć jako wielbiciel Polski.

Tak gładkim rymom Trembeckiego przypadło w udziale pożegnać rozjeżdżających się uczestników kongresu. Car Aleksander był — jak widzieliśmy — pierwszym przedpłacicielem i orędownikiem przekładu „Zofiówki". Kaprys dziejów sprawił, że wkrótce, bo w lat piętnaście potem, drugi raz pojawiło się imię imperatora na akcie, dotyczącym „Zofiówki". W r. 1831. Mikołaj I. wydał ukaz, konfiskujący ogród Potockiej na rzecz skarbu rosyjskiego. „Lecz jest coś potężniejszego — pociesza się na wieść o tem sentymentalnie de Lagarde — od oręża łupiezkiego i monarszych dekretów: to kraj wspomnień i poezyi".

ANNO 1815 W WARSZAWIE.

Strudzona srodze odpoczywała ostatnia wojewodzina wileńska na szeslongu w swych warszawskich apartamentach, które zresztą ani się umyły do arcywymyślnych zbytków pałacu w Nieborowie. Przymierzyła już była kolejno trzy nowe toalety: jedną morelową w ciapki, drugą w tym samym kolorze, ale z bzami białymi i kapeluszem aksamitnym białym i trzecią *„à la congrès de Vienne“:* srebrną gazową z garnirowaniami i szalem na to kaszmirowym. Umęczyła się przytem tak bardzo, że już chciała odwołać swą dzisiejszą bytność na soirée u p. Gutakowskiej, gdy w tem wbiegł do pokoju pan Poliwczyński, plenipotent dóbr księcia wojewody i — przepomniawszy całkiem o należnej Jaśnie Pani atencyi — wołał głośno już od drzwi:

— Wszystko dobrze, Mościa księżno! Polskę na ulicach głoszą! Sałdaty z kwater się wyprowadzają. Królem polskim ogłosił się Aleksander. Kongres...

Lecz umilkł zdziwiony, że księżna mało jakoś się dziwi.

— Mówiłam wszakże dawno, panie Poliwczyński. *L'ange-roi* dotrzymuje obietnic. Gdy jechał na kongres, obiecał mi. Jak najmilszą siurpryzę zapisałam sobie w sztambuchu słowa cesarza: „*Je Vous jure, Madame...* Przysięgam Pani, że cały wasz kraj będzie polskim, a jedynym w nim Rosyaninem będę — ja sam!"

Zaczem, odzyskawszy siły zwątlone, jęła wojewodzina przymierzać czwartą z kolei toaletę.

Pan plenipotent Poliwczyński nie zmyślał. Na ulicach Warszawy w maju roku 1815. huczało od nowin, Polskę głoszących. Niecierpliwe od chwili otwarcia kongresu oczekiwanie zmieniło się nagle w radość, pełną równie głębokiej, jak bezpodstawnej ufności. Nieznośne zaś i męczące były miesiące, w których rozstrzygały się losy księstwa i Polski. Bez żadnych pewnych wiadomości o sprawie, pośród zamętu sprzecznych pogłosek i plotek. Zrzadka tylko nadchodziły listy z kongresu. To przybył kuryer z Wiednia z tajną od ks. Adama depeszą, której treści nie znano nawet na pokojach Rady Najwyższej, to znowu pan Szaniawski pchnął do Warszawy wieść jakąś, ale tak niejasną, że ją i tak i owak tłumaczyć można było, nie znajdując nigdy pewnej odpowiedzi na pytanie: Będzie Polska, czy nie będzie?

A równocześnie rozsyłano po świecie wiersz znanego gramatyka, ks. Onufrego Kopczyńskiego, napisany ciężką, napuszoną łaciną: „Do kongresu wiedeńskiego". Na język francuski przełożył tę odę J. Baudoin de Courtenay, zaś w Warszawie w druku ulotnym krążył przekład T. Stawiarskiego:

Słuchajcie, o mocarze, coście tu stanęli:
Czyliż Muza łacińska słusznej broni strony,
Kiedy się zwrotu Polskiej domaga Korony?
Toż-to nikt się nie znajdzie, coby Polski prawa
Dźwignął, nikt w jej obronie przynajmniej
[nie stawa?

Ze wzruszeniem, a ze łzą w oku, deklamowały dalej sawantki:

„Nie tyle dzielny Alcyd ziem obszernych zbieżał,
Gdy do zniszczenia zgubnych potworów należał,
Nietyle śniada Ceres niw zbiegła jałowych,
By czuła matka siewów dopadła gotowych,
Ile troskliwy Polak zbiegł świata zakątków
Dla złączenia Ojczyzny rozszarpanych
[szczątków“.

Societa warszawska mówiła o odbywającym się w Wiedniu kongresie z bolesnem westchnieniem. Takie reuniony wystawne, takie szlichtady, jakich w Polsce nawet za króla Stasia nie bywało, takie szaleństwa wzruszające, jakie się nie marzyły nawet księciu Pepi. Posłyszawszy, że kongres tańczy, Warszawa tańczyła także. A tymczasem co raz to inne wieści biją falą w mury stolicy:

— Napoleon opuścił Elbę i wylądował w Cannes! Więc wrócić nam do złudzeń niedawnych i zacząć wierzyć na nowo w gwiazdę cesarza Francuzów?

— Europa naciska na Aleksandra. Castlereagh i Metternich żądają, by zrzekł się ziem polskich, a kongres zagwarantuje ich niepodległość.

— Książę Konstanty — opowiadano kiedy indziej — wniósł na bankiecie toast jakiś dziwny na cześć armii polskiej, a to już chyba gwarancya nieodwołalna niepodległości.

— Lecz cóż będzie z Litwą, co z kresami?

Snuły się jeszcze dalej marzenia: — Przyjedzie ze Szwajcaryi Tadeusz Kościuszko, bo on jeden tylko potrafi zająć kirem okryty fotel ks. Józefa. Katarzyna Oldenburska zostać powinna wicekrólem Polski. Chcemy sekundogenitury, a nie dualistycznego związku z Rosyą!

Spełnić miał te wszystkie nadzieje ks. Adam. On tam przecież we Wiedniu zabiega i czuwa, przyjaciel Aleksandra od lat chłopięcych, przyszły namiestnik, wielkorządca, a może i regent nawet.

Lecz ta ostatnia kombinacya nie była popularną, książę miał wielu przeciwników, którzy docinali z przekąsem, że nie „polskie“, lecz „puławskie“ powstałoby z tego królestwo.

Chyba tylko za błogosławionych dni ustawy majowej podobnie silnie biły serca stolicy. Wyczerpane kampanią napoleońską, zbiedzone bezwzględnemi rekwizycyami Francuzów i Rosyan społeczeństwo roiło też o lepszych formach bytu materyalnego, o poprawie fatalnych stosunków kredytowych, myśląc, że nie wrócą już chyba czasy, w których Stanisław Małachowski biegał po całej Warszawie, by parę dukatów pożyczyć.

W potrzebie zaś był istotnej, skoro miał wieczorem ugościć — Napoleona.

Jakąż zaś wiadomość przyniósł ks. wojewodzinie p. Poliwczyński i z czego cieszono się na ulicach?

Oto nadszedł właśnie do prezydenta senatu, Tomasza Ostrowskiego, list radosny, powtarzany dni parę przez wszystkich z pamięci z takiem uniesieniem, jak gdyby chodziło o erotyk Trembeckiego, lub werset z Racina. List Aleksandra, temi słowy zaczęty:

„Panie prezydencie Senatu, hrabio Ostrowski!

Z zadowoleniem nadzwyczajnem donoszę Panu, że na koniec los waszej ojczyzny został zdecydowany zgodnie przez mocarstwa na kongresie zebrane. Przyjmując tytuł króla polskiego, chciałem się zastosować do pragnień narodu“...

W ślad za tem pismem przysłano dyspozycye szczegółowe. W katedrze św. Jana odbyła się tajemnicza uroczystość wskrzeszenia Królestwa Polskiego, o którem zresztą jeszcze nikt nie wiedział, jakie będzie. Rozpoczęły się prace organizacyjne, zniesiono władzę Księstwa Warszawskiego, zastępując ją jakowąś Radą Stanu. A Warszawa patrzyła na te niejasne a dziwne początki bez niepokoju. Wierzyła w najśmielsze nadzieje i czekała. Przyjedzie książę Adam z kongresu i przywiezie wiadomości dalsze, przywiezie nam Polskę z pewnością.

I przybył książę. Lecz go nie oglądano na ulicach stolicy. Chory był na żółtaczkę, „ze zgryzot“, dodaje kronikarz współczesny... Chory był, bo wiedział już wszystką prawdę o Kongresówce, bo teraz dopiero przestał się łudzić co do imperatora, któremu nawet ces. tajna policya na kongresie wiedeńskim takie wystawiła świadectwo: Cesarz rosyjski uznany jest przez wszystkich, nawet przez Rosyę i Polskę, jako *mauvaise tête, mauvais coeur, méchant homme, qui fait le mal, pour le plaisir de le faire*“. Był jeszcze i inny powód oziębienia się stosunku ks. Adama do Aleksandra. Oto rząd rosyjski, przekupiwszy sekretarza ks. Adama, przychwycił korespondencyę jego z dyplomatami angielskimi. Odtąd był ks. Adam w trwałej niełasce u imperatora.

* * *

„Trudno jest więcej biegać — pisała do przyjaciółki pani Nakwaska — więcej się trudzić, więcej frasować, jak my w tej chwili. To, co tu się kupuje, jest przerażającem. Ciężkie czasy wychodzą z pamięci. Chcemy godnie przyjąć Aleksandra, skoro ma się ogłosić królem polskim“.

Zdawało się, że to kongres wiedeński, lukullusowy szał monarchów, przeniósł swe obrady do Warszawy. Kuryery pośpieszne wiozły beczkami ostrygi, dwa razy dziennie zmieniały panie toalety, z pałaców Podola i Wołynia sprowadzono wszystką resztę dawnego, saskiego przepychu: malachity, bronzy, wazony, żyrandole, srebra, porcelanę. „Goły

żąda przepychu, bogacz skromność radzi, dowodząc, że Warszawa Wiednia nie przesadzi“ — pisał bezimienny satyryk.

Na siwym koniu, przepasany wstęgą błękitną białego Orła, wjechał imperator Wszech Rosyi do stolicy Polski. Trzy dni trwały iluminacye, dwa tygodnie bale i cercle, postanowił sobie bowiem solennie car z każdą z pań polskich przynajmniej jedną turę walca styryjskiego przetańczyć, jako że żadna z nich uciech kongresu nie zaznala. *Il a fait mille folies* — „popełnił tysiące szaleństw“. — Był w tańcu niesłychanie miły i każdej danserce Polskę obiecywał. Tańczył w Warszawie i w Puławach, tańczył w Wilnie i w Kaliszu. Miał Aleksander doskonale skrojony frak, kamizelkę nieznanego dotąd koloru, a ogromną słodycz w głosie. Łaskaw był i wyrozumiały na wszystko. Warszawie przyrzekł zbudować bulwary, tak, aby Wisła zaćmiła Sekwanę. U księżnej Dominikowej jadł z apetytem czerwoną kapustę i wprost raczył powiedzieć, że kapusta polska zdrowsza i lepsza od faszerowanej. Odznaczeniami sypał na prawo i lewo. Jenerałowi Krasińskiemu dał brylantową gwiazdę orderu św. Stanisława, wartości 15.000 rb. „Bal jenerała jest, jak widzisz, zapłacony“ pisała z ironią pani Nakwaska.

Raz tylko uroczystości odbiegły od programu. Na balu dziecinnym u księżnej jenerałowej raczył cesarz rozkazać czteroletniemu chłopakowi o bujnych kędziorach, by deklamował. Niezbite z tropu dziecko zaczęło mówić: „Ty śpisz Brutusie, a Rzym w niewoli“. Dreszcz przeszedł zebranych i zmie-

szał się car, ani przypuszczając, jakiego kaprysu dopuszcza się historya. Bo ten chłopaczek, gdy wyrósł, napisał „Irydyona“ i „Nieboską“, a zwał się — Zygmuntem Krasińskim!

Nagle opadła maska z twarzy najzręczniejszego wśród królów dansera. Wstrzymały oddech wszystkie Colombiny, patrząc z przerażeniem na obłudnego Pierrota. W antyszambrach balowych sal poczęły krążyć uparcie wieści posępne i złe. Pochmurny dotąd Nowosilców zaczął się nagle znacząco uśmiechać, a radca Łanskoj z jeszcze uniżeńszą atencyą zginał się w pół przed w. ks. Konstantym.

Właściwie nic się nie stało. Drobiazg. Plotka. Na jednym z balów cesarz, gdy mu przedstawiono czcigodną postać słownikarza Lindego — zapytał:

— *Dites moi, mon cher,* jakże się w waszym języku eksplikuje słowo: Zajączek?

Linde wyjaśnił. Aleksander podziękował i rozmowa się ukończyła. Ale w Warszawie wiedziano już, że rola ks. Adama skończona, że listy jego do dyplomatów angielskich przychwycone, że nie dotrzyma car przysięgi, danej ks. Radziwiłłowej; daremnie się trudził pan plenipotent Poliwczyński i próżno szalała z uciechy Warszawa. Nie będzie „całej Polski“, jeno pan Zajączek rządzić będzie w jakiejś tam... Kongresówce, zaś w. ks. Konstanty z Nowosilcowem czuwać będą, iżby się zadość stało intencyom i zasadom babci Katarzyny.

I wkrótce krążyła po Warszawie trawestacya ironiczna znanej maksymy: *Parturiunt montes, nascitur ridiculus...* Zajączek.

„Znasz ty efekt pioruna, gdy spadnie nagle i niespodzianie, znasz wrażenie bomby, pękajacej tuż przy nas, iskry elektrycznej, która całą istotą naszą wstrząsa?“ pisała na wieść o tem wspomniana właśnie wyżej, jedna z najgorliwszych tanecznic styryjskiego walca, a słowa te powtarzała cała, odarta z marzeń Polska.

Tak prysło jedno z największych, choć nieostatnich złudzeń Warszawy.

* * *

Stanęliśmy u kresu opowieści o ludziach, rzeczach i obyczajach polskich na kongresie wiedeńskim. Życie towarzyskie i kultura obyczajowa były przedmiotem opowiadania, w którem anekdota ciekawiła nas czasem więcej, niż dokument z pieczęcią. Dokumentów do polityki kongresu, wydanych i ukrytych, jest obfitość wielka, a dzieje sprawy polskiej na kongresie czekają dotąd na swego historyka, jako jeden z trudniejszych do uchwycenia problemów historyi porozbiorowej. Miał kongres odbudować Polskę, a sankcyonował tylko nowy jej rozbiór. Poniekąd urzeczywistniło się ironiczne *bon mot* Metternicha, który proponował, aby utworzyć trzy „królestwa polskie“: zachodnie przy Niemczech, południowe przy Austryi, północne przy Rosyi. Rosyi przyznano znaczną część Księstwa Warszawskiego pod nazwą Królestwa Polskiego, Prusy otrzymały Poznań i Bydgoszcz, Austryi wrócono obwód Tarnopolski, Kraków z okręgiem utworzył miniaturową rzeczpospolitą pod opieką trzech mocarstw.



EDWARD LUBOMIRSKI.

W uchwałach roku 1815-tego tkwiła obecna wojna światowa *in nuce*. W setną z okładem rocznicę kongresu jakże gruntownej żądają rewizyi niespełnione i podeptane wobec nas zobowiązania! I o ileż potężniejszy, „niezawstydzony, niczem nieśmiertelny“ będzie krzyk życia, który sprawa polska podniesie na przyszłym kongresie pokojowym.

JAŚNIE OŚWIECONY ROMANTYK

Historya naszej poezyi romantycznej, rojna tylu nazwiskami i skrupulatnie przechowująca daty i tytuły, nie zna zupełnie Edwarda Lubomirskiego. Co najwyżej można się dowiedzieć z Encyklopedyi Orgelbranda, że zmarły w r. 1823. Edward ks. Lubomirski wsławił się milionowym zapisem na cele dobroczynne i założeniem instytutu oftalmicznego w Warszawie, że mając zamiar poświęcić się karyerze dyplomatycznej, spędził kilka lat swego niedługiego życia w Niemczech i w Anglii. W bibliografii zaś zanotowano pod jego nazwiskiem kilka utworów oryginalnych i tłumaczonych, bliżej wszakże nikomu nie znanych. Stoją wprawdzie wszystkie na półkach książnic, ale od stu lat nierozcięte...

Lektura i bliższe przypatrzenie się postaci zapomnianego poety upewniły mnie w przekonaniu, że zapomniano o nim niesłusznie. W historyi początków romantyzmu zasłużył sobie na wspomnienie. Był jednym z najpierwszych rycerzy wczesnego, przed Mickiewiczem romantyzmu, a jego odważne plany poetyckie zyskują mu dziś nieoczekiwane miano — poprzednika Wyspiańskiego. Skromną i niebogatą miał zbroję, a tarczę maluchną, ale jeden z pierwszych wjechał na tur-

niej romantyków, nim jeszcze przybyli suwerenowie, nim ostrą kopię podniósł do ataku twórca „Ballad i romansów“.

I.

Miał lat dwadzieścia ośm, gdy zginął w pojedynku. Krociowy magnat, dziecko świetnego rodu, z widokami pysznej karyery dyplomatycznej. Rzucił je wszakże do stóp swym bujnym ambicyom literackim i oddał na usługi śmiałym, trochę naiwnym, a do końca samotnym zamierzeniom artystycznym. Urodzony w Dubnie, na Wołyniu, w r. 1796, syn Michała Lubomirskiego, generała wojsk polskich. Uczył się w Warszawie, w liceum, potem w Wiedniu, poczem wiele podróżował, sposobiąc się do dyplomacyi w Berlinie i Londynie. Na kongresie wiedeńskim rozwierał szeroko rozmarzone oczy, patrząc na haute volée koronowanego świata, w Anglii i w Niemczech chłonął wrażliwy chłopak przejawy budzącej się do życia po wojnach napoleońskich literatury. I gwałtownie pisać począł, planując wielotomowe publikacye. W r. 1821. wraca do kraju, osiada w majątku swym Radzyminie pod Warszawą. Dyplomacya przestała go dawno bawić, zato tem bezwzględniej wzięła w jasyr literatura. Odurzył go Byron i Walter Scott, zachwycił Ossyan i romantycy niemieccy. Pisać jeszcze dobrze po polsku nie umie i wierszem niewprawnie włada, ale zamierzenia kreśli sobie śmiałe, najśmielsze: reformować chce pseudoklasyczną literaturę polską i marzy o romantyzmie polskim, ani się spodzie-

wając, że lada chwila zażąda w Wilnie głosu wielki twórca romantyzmu, a jego nieśmiałe pierwiosnki pogrzebie zły los w otchłani zapomnienia.

II.

Dziewiętnastoletni karmazyn jął się pracy literackiej z tak wielkim zapałem, że już wkrótce chował wstydliwie w biurku opus wielkie o 500 str. druku. Był to „Opis historyczno-statystyczny Wiednia“ (1815), szczegółowy, pierwszy tak obszerny po polsku *guide du voyageur*. Elaborat ten, pisany jeszcze niezgrabnym i rażącym nawet językiem, nie miałby dziś żadnej zgoła wartości, gdyby nie kilka ustępów, nadających „Opisowi“ pewne znaczenie w historyi krytyki literackiej XIX. stulecia. Są w dziele Lubomirskiego trzy rozdziały o literaturze niemieckiej, pomyślane i napisane z tych samych pobudek, z jakich przedtem napisała swą książkę „De l'Allemagne“ pani Staël-Holstein, tylko bez talentu autorki „Corynny“. Tą częścią swej pracy wyprzedza Lubomirski — jak to gdzieindziej wykazaliśmy („Pamiętnik literacki“ 1910) — naszych najwcześniejszych teoretyków romantyzmu. Gdyby owa praca ukazała się w druku tuż po jej napisaniu, młody jej autor zbierałby laury Kazimierza Brodzińskiego i byłby pierwszym, który wybił okno w chińskim murze pseudoklasycyzmu. W uwagach Lubomirskiego o „osobliwościach wieku średniego“, o poezyi rycerskiej, objawiającej „skłonności do romantycznych dziwów“ i stanowiącej „niewyczerpane źródło pięknych czynów, bohaterskich dzieł“, w jego wreszcie zrozumieniu

tragedyi greckiej i wykazaniu jej wyższości nad preudoklasyczną francuską — mieści się już prawie to wszystko, co w latach następnych stanowić będzie pacierz romantyków i co powtórzy każdy kombatant mody romantycznej. Ale gdy w r. 1821. wyszedł „Opis Wiednia“ — rozdziały owe o literaturze nie mówiły niczego nowego; każde ich niemal zdanie było własnością ogółu, liczmanem, powtarzanym przez całe młode pokolenie.

III.

Reforma teatru i dramatu polskiego była drugiem marzeniem Lubomirskiego. Teatr niemiecki rozbrzmiewał wtedy hasłem reformy dramatu i przystosowania go do potrzeb i wymagań sceny (Iffland, Schröder, Holbein, Klingemann). Jednem z najważniejszych wydarzeń w dziedzinie dramatu wydawał się współczesnym utwór ongi płodnego romantyka Klingemanna p. t. Faust (1816), podziwiany zrazu przez całe Niemcy.

Widziano w nim świt nowej sztuki dramatycznej, a dla zręcznych efektów scenicznych stawiano wyżej nad Fausta Goethego, któremu Klingemann zamknął na długi czas wstęp na scenę niemiecką. Jeszcze w latach 1860—1870 słynnym był afisz Fausta, na którym widniało: *„Faust von Goethe, nach Klingemann“*. I dlatego się o Klingemannie dziś wspomina, bo zresztą Faust jego, ułaskawiony i zbanalizowany Faust Goethego, szukający ciągle sposobności do popełnienia czterech zbrodni, przewidzianych w kontrakcie z pie-

kłem, nie wiele się różni od tuzinkowych bohaterów „dram“ rycerskich z epoki „burzy i pędu“. Lubomirski uległ fałszywemu entuzyazmowi krytyków niemieckich. Święcie przekonany, że zaznajamia Polskę z dziełem niespożytem, które może przecież zwróci dramat polski z drogi naśladownictwa Francuzów, a skieruje go ku nowym gwiazdom — rozpoczął pracę nad przekładem.

Tłumaczenie, ukończone w r. 1818, ukazało się w roku następnym, bezimiennie z obszerną przedmową Lubomirskiego. I znowu, biorąc pożółkłą książkę do rąk, wydajemy zrazu sąd surowy o tej pracy. Rozwlekły i pełen rażących błędów przekład Klingemanna obniżył i tak już lichą jego wartość. Natomiast zaciekawia nas odrazu i pozwala rozgrzeszyć autora — rozumna przedmowa Lubomirskiego. Rozumiał on dobrze swe trudne stanowisko, jako tłumacz utworu, prowokującego wszelakich zwolenników „dobrego gustu“. Koźmianom i Osińskim włosy stawały dęba na widok śmiertelnych przewin Klingemanna. To też Lubomirski broni autora przed możliwymi atakami, że taki dramat napisał i usprawiedliwia siebie, że ośmielił się go przetłumaczyć. Cała zaś apologia owa, dowodząca zarówno dużego oczytania autora, jak i bystrego odczucia haseł romantyzmu — ma swe znaczenie w rozwoju krytyki literackiej XIX stulecia. Tu po raz pierwszy, na długo przed pojawieniem się „Dziadów“ Mickiewiczowskich, wyłożono zasady dramatu fantastycznego i odważnie wykazano braki teatru fran-

cuskiego. Lubomirski pierwszy u nas powtórzył teoryę Lessinga o niezrozumieniu Arystotelesa przez Francuzów i wraz rzucił hasło, które wkrótce podejmą inni z większem powodzeniem: apel do literatury polskiej, aby przestała być „kopią kopii“, a zaznajomiła się raczej z dramatem romantycznym.

Ostrożnie i dyplomatycznie stara się młody krytyk wytłumaczyć, że pisarz, który, jak Klingemann np., daje dramat z czasów średniowiecza — niekoniecznie winien jest śmierci w oczach „dobrego gustu“, gdy — o zgrozo! — wprowadzi dyabła na scenę. Zapewnia, że ten autor sam z pewnością w dyabły nie wierzy i „oświeconemu“ czytelnikowi wierzyć nie każe — lecz czyni to, a nawet musi czynić dlatego, by zachować koloryt epoki, którą w dramacie odtwarza. Tendencya dramatu fantastycznego może być równie mimo dyabłów moralną, jak w najbardziej uroczystej i prawidłowo zbudowanej tragedyi Racine'a.

Daremnie jednak wysilał się bezimienny, nieznany nikomu tłumacz na obronę; pracę jego pominięto milczeniem. Dopiero w trzy lata później przyznał F. S. Dmochowski, że ten właśnie „Faust“ wraz z wystawioną w r. 1821. w Warszawie „Dziewicą orleańską“ Schillera — to były „dwie pierwsze tragedye romantyczne w Polsce“. Sam zaś Lubomirski już wkrótce potem krytycznie patrzył na swą robotę tak dalece, że w wydanym w dwa lata później „Opisie Wiednia“ wystąpił ostro przeciw tłumaczowi „Fausta“, zarzucając mu „uchybienia

przeciw polskiej składni", oraz „brak smaku i zdatności".

A w ciągu tego czasu postąpił już bardzo w pracy nad nieustannem udoskonaleniem stylu i języka, i od prozy, ciężkiej a nieskładnej, przeszedł do poezyi, dla której, zdaje się, porzucił zawód dyplomaty. W Radzyminie wykończył Lubomirski obszerny poemat, w którym zarysowała się ciekawie jego indywidualność poetycka. Teraz wreszcie, u schyłku młodego życia, zwrócił, choć u nielicznych, na siebie uwagę. Owem dziełem były: Groby w dniu śmierci Tadeusza Kościuszki. Dumy rycerskie oryginalnym wierszem napisane przez tłumacza Tragedyi Faust. Część pierwsza. W Warszawie, 1821.

IV.

Dziwnie podniecony i gorączkowy prawie był nastrój tych ostatnich, przedmickiewiczowskich lat literatury polskiej (1820—1821), w których kiełkowały idee romantyzmu. Pseudoklasycy strwożeni, że już nawet we Francyi „liczyć się poczynał w poezyi nowej ery początek", widzieli się osaczonymi przez coraz liczniejsze koło wyznawców szalonej, romantycznej wiary, strącającej odwieczne świętości z ołtarzy i klątwa im na oburzonych ustach zamierała. Bo szalonymi zdali im się „obskuranci", co pogrążyć chcieli Francyę Północy, Polskę oświeconą, w mrokach „nocy gotyckiej".

A młoda, rozmarzona krytyka romantyczna

szukała daremnie w Schleglach i Sismondich, by sobie i przeciwnikom powiedzieć, jakim powinien być w teoryi, jakim będzie kiedyś w praktyce romantyzm polski, ten „z ducha i wewnętrznej, narodowej treści poczęty“. Modlono się o cud poetycki, czekano niecierpliwie, żali się zjawi utęskniona wizya — polskiej romantyczności. Nie wiedziano, skąd nadejdzie, czy zrodzi się z ducha pieśni ludowej, czy odszuka i do życia powoła polskie średniowiecze, wywiedzie na światło polskich trubadurów, czy się odnajdzie „w dziejach niezliczonych plemion słowiańskich“, zstąpi do „mogił rycerzów, które po niwach naszych wszędzie napotykamy“, a może, nie odszukawszy rodzimej, własnej tradycyi romantycznej, uderzy czołem przed Byronem i Walter Scottem?

A głos Brodzińskiego spory łagodził i ostrzegał: „Te spory na tę drogę naprowadzić nas powinny, że porównanie literatury różnego smaku do naszego własnego nas wróci... Daj Boże! abyśmy przez zgłębienie dziejów naszych i poznanie istoty poezyi do dawnym Grekom podobnej prostoty i smaku wrócili... Jest to moje marzenie i niejako przeczucie o naszej literaturze, którego skutku nie tak rychło się spodziewam“.

W takiej chwili wyszły z druku „Groby“ Lubomirskiego. I zdało się nielicznym, co je przeczytali, że oto tam właśnie polski romantyzm świta i że się spełniają „niejakie przeczucia“ Brodzińskiego. On sam oddał nieznanemu autorowi słowa tak wielkiej pochwały, jakiej się nigdy z ust jego

młody Mickiewicz nie doczekał. Oto, co pisał Brodziński pod pierwszem wrażeniem lektury:

„Dzieło to obiecuje narodowej literaturze znakomitego poetę. Zbyt rzadko oddychamy na Parnasie naszym tem świeżem powietrzem, które nam się czuć daje, kiedy nas poeta wprowadzi w kraje imaginacyi... Malowanie poetyczne szczegółów, miejscowości, nadają jego poezyi życie, cechę narodową i pewną nam właściwą oryginalność, o którą woła literatura nasza".

Z ciekawością otwieramy rzadki dziś tomik „Dum rycerskich", aby sprawdzić sąd Brodzińskiego. Może śpiewak „Wiesława" dał się unieść pierwszemu wrażeniu i pomylił się, jak mu się to nieraz zdarzało. Wszakże niedawno jeszcze porównywał Karpińskiego z Goethem, a bezdusznego twórcę „Rolnictwa" — z Szekspirem!

Słowa przedmowy odsłaniają treść utworu: „Poeta w osobie Barda, przeniósłszy się w dzień śmierci Kościuszki do katedry krakowskiej, spotyka tam czterech rycerzy dawnych i przysłuchuje się ich powieściom, z których najgłówniejsza powieść o Kościuszce". Ów bard kaledoński rozpoczyna pieśnią uroczystą poemat. Boleje, że wieki wyziębiły żar czarownej *chanson de geste* prowansalskiej, osamotnionym i niezrozumianym czuje się w epoce oschłego racyonalizmu. „Miej serce i patrzaj w serce" ma już prawie na ustach...

Ten wiek ciemności piętnuje nas znakiem.
Zimno, rozsądek czucia dziś rozbiera.

Miłość jest słowem, prostota niesmakiem.
Rozum się zdobi, lecz czułość umiera.

Teraźniejszość ciąży bardowi, więc modnym wówczas w Anglii (Young, Hervey) i Niemczech (Creuz, Zachariae) zwyczajem — zstępuje między grobowce, gdzie Polska królewska uśpiona. Przestąpił progi kaplicy Zygmuntowskiej, rozpamiętuje dzieje Piastów i Jagiellonów i staje wreszcie u sarkofagu dla ks. Józefa, bo tutaj zasiada zawsze u wezgłowia czterech białych rycerzy-starców: Zawisza, Sieciech, Giedymin i Zbigniew.

Słowa Barda kończą dumę pierwszą:

Kto za mną wstąpił do progów poświętnych,
Znajdzie przytułek w królów grobach smętnych,
Aż się wysili nocna zawierucha,
Niech siędzie, rozmów niech rycerzy słucha.

Burza, wicher i pioruny wtórzą rozmowie rycerzy, która jest przedmiotem dumy drugiej. Gedymin obwinia Polskę: brak karności i źle pojęta wolność wpędziły ją do grobu. Zbigniew go karci: „Naród oskarżasz? Raczej oskarż losy!" Historya Rzeczypospolitej to skarbiec uczuć męstwa, miłości i cnót obywatelskich. Sieciech słucha rozmów w milczeniu; dokuczają mu myśli ponure i złe przeczucia. Pierwszy raz w życiu ulega pancerny towarzysz uczuciu strachu. Rozpętane burzą żywioły, jęk żałosny wawelskich dzwonów, migotliwe światło kaganka napawa go jakąś nieokreśloną trwogą:

Z dziesiątkiem wrogów wręcz się będę ścinał,
Dotrzymam pola, jak kiedym był młody
I w karacenę piersi nie zapinał.
Przysiądz na kędzior mogę srebrnej brody.

Na czole ostrze nakreśliło cudze,
Że wrogom tyłu w walce nie podałem.
Powiem-li? Może do śmiechu pobudzę?
Walczyć z duchami serce nie jest śmiałem.

I oto, jak opisuje swe wizye:

Przy drobnem świetle, które lampa sieje,
Widma okropne spostrzegam w około:
Tu pod obłąkiem zjawisko się chwieje,
Zawój z obłoków zdobi jego czoło,
Tułub chmurzysty mgliste wleką nogi;
Czyście słyszeli, jak boleśnie ryknął?
Tam... przy filarze potwór stoi srogi...
Idzie... zbliża się... stanął... gdzie jest?... zniknął.

By uspokoić i podnieść na duchu przestraszonych rycerzy, Zawisza opowiadać im poczyna życie i chwałę Naczelnika Kościuszki

Z słowem *Kościuszki* jedna z lamp się tlących
Nagle zagasła, wzruszywszy mówiących.
Czasem ciemności rozjaśnia w Świątnicy
Promień księżyca, czasem błyskawicy.

A równocześnie burza wstrząsa posadami katedry i kłonią się od grzmotów arkady wawelskich podziemi. W tej samej chwili bowiem w Solurze ułożył się do snu wiecznego Tadeusz Kościuszko.

Przy całym ogromie naiwności, jaka nas tu na każdym kroku uderza, podziwiamy równocześnie odwagę równie wielką i śmiałość wielkich pomysłów, które rozogniają fantazyę młodego poety. Był to zaiste duży dowód odwagi: w epoce ckliwych Boileau'owskich szablonów posługiwać się tak oficie dekoracyami *par excellence* romantycznemi i próbować formy, która dopiero po wielu latach zdobędzie sobie prawo obywatelstwa: formy wizyi i przeczuć poetyckich!

„Przybrałem ten lekki płód poezyi w postać dotąd nieznaną jeszcze w rodowitej poezyi“ pisał dlatego nieśmiało w przedmowie. Dekoracye i tło, na którem się pomysł Grobów rozwija, są istotnie, jak na r. 1821. zastanawiające, chwilami użyłby ich z ochotą nawet późniejszy „rozczochrany epigon romantyzmu“. Owi czterej rycerze mają w sobie dużo jakiejś piastowskiej, twardej dostojności, jakiej im nigdy nie potrafił nadać koturn pseudoklasycznej tragedyi. W dumie drugiej romantyk odsłania się już w całej pełni. Bezradny, jak oddać w wierszu polskim rzeczy, których tyle spotykał u Niemców, próbuje Lubomirski nieśmiało ucieleśnić przywidzenia Sieciecha. Przy spowitem chmurami świetle księżyca, przy dreszcz budzącym krzyku puhacza, każe chmurom niecić ogień, grzmotom warczeć, a chwiejącemu się zjawisku daje „tułub chmurzysty“, zawój z obłoków, mgliste nogi, a że ten cały eteryczny kostyum mało zwraca uwagę, więc każe mu przytem „boleśnie ryczeć“!

Biedny, pierwszy polski romantyk! Godzien

jest także podkreślenia związek śmierci Kościuszki w Solurze z akcyą Grobów, jako pierwszy wybitny ślad romantycznego przeczucia w naszej poezyi. Nie dziw, że chcąc takie pomysły urzeczywistnić, musi Lubomirski w każdej niemal oktawie staczać walkę z językiem poetyckim swej epoki; z tej walki niezbyt często wychodzi zwycięzcą, nie zawsze zdoła się oprzeć pseudoklasycznemu frazesowi, który Groby przytłacza. Duma trzecia jest dlatego najsłabsza. W opowiadaniu, które sam Zawisza snuje dalej o życiu Kościuszki, jego walce o wolność w Ameryce i powrocie do Polski, prysł nastrój i zbladł romantyczny koloryt strof poprzednich.

Czwarta „duma rycerska“, niby zapowiedź „Szwajcaryi“ Słowackiego, jest poematem miłosnym. Poznaliśmy ją już poprzednio. (zob. str. 34 i n.) Opowieść o miłości „polskiego Rolanda“ snuje Zawisza, ale ją wkrótce przerywa, bo rozjęczały się na nowo dzwony, a ponury śpiew orszaku pogrzebowego ozwał się głośnem *memento* w podziemiu. Poeta, zupełnie świadom siły kontrastu, przywraca odrazu strofom następnym koloryt dumy pierwszej.

Burza, niezwykłą siłą szturmująca,
Gromem roznośne szczęki dzwonów głuszy,
Wicher gniewliwie podwoje roztrąca,
Ledwie Świątyni z posad nie wyruszy.
Silne dmą miechy w ołowiane flety
Ponure, drżące i przeciągłe tony,

Z niemi się łączy czuły głos kobiety,
Z kapłanów śpiewem i chóru złączony.

Dreszcz przebiegł znowu zakutych w kolczugę rycerzy — w milczeniu słuchają pogrzebowego hymnu. A gdy ucichły ostatnie, zbłąkane wśród sarkofagów, słowa hymnu — Zawisza mówi dalej. „Siedząc na wschodach, ukryty za ściany, Powieści jego słucham niewidziany“ dodaje bard-poeta i w tem miejscu kończy „Dum rycerskich część pierwszą“.

Ogólne wrażenie, jakie się z nich odnosi, usprawiedliwia w części chociaż słowa Brodzińskiego. Istotnie w dziele Lubomirskiego, które, jak każdy utwór chwili przełomu, łączy w jedno upodobania i gusty dwu epok, malując jasną, pasterską sielankę w romantycznym półcieniu, jest „świeżość, życie i pewna oryginalność“, która jego twórcę każe dziś przypomnieć i wliczyć między poprzedników wielkiej poezyi romantycznej.

Podkreślić trzeba przedewszystkiem usilną pracę Lubomirskiego nad wyswobodzeniem polskiego stylu poetyckiego z oków maniery, nad stworzeniem własnego języka, władającego świadomie barwą i tonem. Ale jak w treści Grobów są obok scen w podziemiach wawelskich momenty nawskróś pseudoklasyczne, tak i w stylu autora kryje się ta dążność wpośród liczmanów i frazesów epoki.

Język Lubomirskiego kryje w sobie pierwiastki nowe i twórcze, pęcze, które kiedyś możeby się bujnie rozkwitły. One nadają dużo uroku sielance

Kościuszkowskiej. Choć jej tło i dekoracye zrobione są ściśle według przepisów poetyki francuskiej, zapomina się, że to motywy wytarte i melodye ograne, któremi śpiewał miłość każdy pseudoklasyczny poeta, jest bowiem coś, co je ożywia i wdziękiem ocienia: szczera, niewymuskana subtelność uczucia i oryginalna, miejscami niezwykła, plastyka w opisach przyrody; dzięki niej nawet pseudoklasyczne zdobnictwo nabiera wyrazu życia. Ktoby się szczegółowiej zajął charakterystyką języka Grobów, odkryłby w nich ciekawe, choć jeszcze bardzo nieśmiałe dążności kolorystyczne. Bo u Lubomirskiego: noc „zaciera kwitnących kolory płodów“, zorza rozpuszcza „złoty warkocz“, a „ostatni jej rumieniec niknie nieznacznie na modrym poziomie“, dęby „podają sobie zielone ramiona“, świetliki „cichym polotem bujając po łące, złocą listki, gałęzie i kłosy“, „śnieżny szczyt Etny w ogniu się rumieni“, Zofia stąpając po rosie, strzeże się strącać „drżące perły z świeżych kwiatów“.

* * *

„Dumy rycerskie“ Edwarda Lubomirskiego, które oddawał do druku nieśmiało i bez wiary w powodzenie swych poetyckich prymicyi — przeszły prawie bez wrażenia. Minął bez echa gorący poklask Brodzińskiego, nie wiele też pomógł autorowi pochlebny, acz z zastrzeżeniami fejletonik A. Chłędowskiego w „Gazecie literackiej“ z r. 1822. Prośbę autora, który błagał o sąd choćby najsurowszy, tylko w części spełniono. Recenzye Bro-

dzińskiego i Chłędowskiego może były dlań taką zachętą, może zaczął pisać część drugą, ale na dokończenie życia nie stało. Nagle rozstał się Edward Lubomirski z życiem. Nie doczekał rozbłysku wielkich słońc romantyzmu. Pod ich działaniem byłby pewnie dojrzał, otrząsnał się z naleciałości epoki, rozwinął w pełni swą, tak silnie zarysowaną indywidualność poetycką, a głos jego usłyszelibyśmy pewnie w chórze wielkiej pieśni romantycznej. „Czuję — pisał przed śmiercią do przyjaciela — wzniecającą się we mnie chętkę autorstwa i proszę Cię, abyś się starał zrobić edycyę moich trzech dzieł. Jeżeli rozumiesz, że możesz imię moje położyć, połóż je, przynajmniej kilka dni dłużej żyć będę“. Lecz żyć zaczął na nowo dopiero po stu latach.

FUNDATOR SCENY LWOWSKIEJ

1. HISTORYA O DZIWNYM POGANIACZU WOŁÓW.

„Całe życie szachrował, a po śmierci, chcąc wykpić sławę od potomnych, poświęcił na ten cel milionowy majątek“... Tyle tylko miał do powiedzenia biograf współczesny o człowieku, którego posąg gipsowy stoi dziś w przedsionku lwowskiej Filharmonii, z tak krzywdzącym nekrologiem zeszedł ze świata jeden z najbardziej wyjątkowych ludzi, jacy kiedykolwiek chodzili po bruku lwowskim.

Trudno wszakże winić biografa współczesnego. Naogół nie inaczej sądzono za życia Stanisława hr. Skarbka. Dopiero z perspektywy lat dojrzeć można w czynach jego blask jakiejś renesansowej, zawadyackiej niezwyczajności, uznać siłę mocnej woli, a z pośród steku dziwactw i kaprysów wyłuskać ziarna rzetelnej zasługi!

Metody życia fundatora sceny wszędzie indziej raczej prowadziły, niż w stronę — Panteonu, a o nieśmiertelność swoją zaprawdę mało się starał. I niezbyt byłby go chyba za życia dotknął ten jaskrawy ustęp nekrologu. Jego Ces. Mości tajny radca i podkomorzy był przytem — zawołanym

„rzeźnikiem“, urząd „Wielkiego Sokolnika Koronnego“ Królestwa Galicyi i Lodomeryi łączył z nierównie bardziej korzystną funkcyą — ekonoma, który swoje własne woły osobiście gnał do Wiednia. A czynił to z pośpiechem, aby się nie spóźnić — na *soirée* u ks. Metternicha. Pozatem szutrował gościńce w Galicyi i był dyrektorem teatru we Lwowie, ufundował instytucyę dobroczynną dla sierót w Drohowyżu i otoczył się legendą — jednego z najniepopularniejszych ludzi w Polsce.

Z przebujną rozmaitością potrafił sobie urządzić tych 68 lat, które żył na świecie. W dziwną trylogię się ułożyły. Pierwsza część — zwyczajna. Faraon i bakarat w klubach wiedeńskich, profuzya Sect'a, kąpiele w Burgundzie i radość życia epikurejska. Stanisław Habdank hr. Skarbek niczego nowego w tej mierze nie wymyślił, żył jeno wedle odwiecznej i wypróbowanej recepty. Przed pałacem, który wybudował sobie w Nussdorfie pod Wiedniem, trzymali straż nieodstępną zgięci w pałąk lichwiarze z Praterstern, za posiadanie klucza od niejednej garderoby — teatralnej — kluczem wsi polskich płacił. Pozatem nic go nie obchodziło. Rozbiory Polski ignorował. Napoleona nie uznawał, ks. Józefa lekceważył, Polska go nudziła. Był natomiast w tym człowieku gorejący temperament, nienaganne maniery światowca i zwycięski tupet we wszystkiem, czego się jął. Więc co było do przegrania, zostało przegrane: galicyjskie włości Habdanków, fortuna mamusi Bielskiej i spadek po cioci Rzewuskiej, która daremnie chować go chciała po bożemu w Burszty-



TEATR LWOWSKI W R. 1818 (DAWNIEJ KOŚCIÓŁ OO. FRANCISZKANÓW).

nie. Wreszcie za jednem posiedzeniem przegrał Skarbek do Kalinowskiego klucz obertyński i została mu tylko obdłużona po szczyty świerków Rożniatowszczyzna.

I tu się pierwsza część trylogii urywa: Opamiętał się. Tak gwałtownie, jak chyba żaden z plejady polskich utracyuszy. Nagle w ciągu wieczora: List przyszedł do Wiednia od dzierżawcy, że w Rożniatowie odkryto bogate pokłady rudy żelaznej. Pomysł wziął Skarbka. Ostatni trzos dukatów terezyańskich powędrował na instalacyę pieców hutniczych i wkrótce — wrócił pomnożony w czwórnasób. A w Skarbku urodził się wtedy nagle typ człowieka, wyklętego ongi przez Rzeczpospolitą i jej pałace. Milioner o błędnej miłości złota, jaką miał chyba Samuel Wolf z „Tunelu" Kellermanna, finansista o tak imperatorskiej władzy nad pieniądzem, że Vanderbildt z Pierpontem Morganem mogliby doń posłusznie chodzić na naukę. W najprzekorniejszy i najdziwaczniejszy sposób poczęła się teraz realizować stara legenda herbowa Habdanków: „Złoto szło do złota". Obraziwszy śmiertelnie wszystkie błękitne dogmaty, kpiąc na prawo i lewo ze swych życiowych stosunków, zaczął teraz Stanisław hr. Skarbek odbudowywać zmarnowaną fortunę. A oburzona błękitna krew Lwowa wyklęła wyrodnego syna i zawyrokowała w poprawnej francuzczyźnie: „*C'est du grec pour nous*".

Ten drugi okres życia Skarbka możnaby, jako przykład efektowny, wpisać do podręcznika popularnego p. t.: „Sztuka zdobycia majątku". Od rodziny, która utracyusza w inny sposób ratować

nie chciała, wydzierżawia najpierw Skarbek szereg folwarków i forsownie na nich gospodaruje, potem od skarbu austryackiego nabywa na ogromnie korzystnych warunkach spłaty dominium żydaczowskie i wszczyna spekulacyę rolną, w której zazwyczaj chodziło o to, by za małą gotówkę kupić wielkie dobra i zrobić na tem wielki interes.

Głód złota poddawał Habdankowi pomysły zgoła awanturnicze: więc czas jakiś czterdziestu furmankami wozi tani opał do Lwowa, potem buduje gościńce, dzierżawi prawo propinacyi i rąbie lasy. A wreszcie tajny radca i podkomorzy otworzył jatki we Wiedniu. Zaczął był bowiem już dawniej na łąkach naddniestrzańskich wypasać woły, które jesienią z batogiem w ręku ganiał nad Dunaj tą samą właśnie drogą, którą przedtem odbywać zwykł na pluszowych poduszkach wytwornej „extrapoczty". Gdy zaś hurtownicy wiedeńscy poczęli robić trudności tym dziwnym fantazyom galicyjskiego szlagona i zorganizowali bojkot jego wołów, Skarbek — stara się o koncesyę i już na drugi dzień na *Naschmarkcie* mięso rąbie we własnym zarządzie! Jego szczęście i spryt w operacyach finansowych przeszły w legendę. W ciągu lat kilkunastu ujrzał się nagle panem 37 wsi i 3 miasteczek, które mu nieraz jeszcze tracić i napowrót odzyskiwać przyszło.

W pośród tego ożenił się z jedną z najpiękniejszych kobiet ówczesnej society polskiej — Zofią Jabłonowską. Ale za młodą i za ładną była pani Zofia, zaś zbyt narwanym i niespokojnym jej małżonek i jego obyczaje. Opowiada o tem

wiele w swych pamiętnikach szwagier Skarbka, Ludwik Jabłonowski:

„Skarbek wypełniał i odgadywał wszystkie życzenia młodziutkiej żony, ale w zamian za tę uległość znosić musiała wszelkie kaprysy trawiącej go gorączki złota i — potrzeby gwałtownego ruchu. W ręku Skarbka pieniądz żył i pracować musiał w tysiącznych przedsiębiorstwach. Nakupił n. p. ogromną masę dóbr i pogrążył się w długi, wtedy perły, tyftyki, klejnoty żony, a czasem srebra i powozy szły w zastaw, a on tymczasem w najlepszym humorze zabawiał się w pustych apartamentach lub kładł się do łóżka i tygodniami leżał, twarzą obrócony do ściany. Nagle wynajdował jakiś sposób wyjścia z kłopotów, płacił długi i wykupywał zastawy, przyjmował gości, dawał obiady i wieczory. Wychodząc z domu, ubijał rękami w kapeluszu zwitki pomiętych „bankozetlów“ i wracał obładowany wszystkiem, co znalazł dla żony po składach i złotnikach. Potem puszczał się znowu na złamanie karku w pogoń za mamoną“. Że zaś w trakcie tego odbiegła go żona i wyszła powtórnie za mąż za Aleksandra hr. Fredrę — nie martwił się zbytnio. Już więcej frasowały go — wysokie koszta rozwodu.

Nieraz wpośród złotej gonitwy opadały Harpagonowi ramiona ze znużenia, na wozie był często i pod wozem, lecz wola dzika, zacięta i pracowitość nieumęczona towarzyszyły mu zawsze. Aż wreszcie odpocząć postanowił wśród milionów. I zaczęła się trzecia część Skarbkowej trylogii: Zginął spekulant — urodził się filantrop. A dziwna

rzecz: ten przekorny odludek jakby wstydził się swego wielkiego gestu filantropijnego. „Jeśli chcecie — mawiał do otoczenia — umieścić jaki napis na Zakładzie drohowyzkim, to dajcie ten, który jest na kościele w Brzozdowcach“. Zaś napis na tym kościele był krótki i ponury: „*Culpae non pietatis opus*“. Jakąś winę chciał okupić. A może i to powiedzenie było kaprysem. Bo dzieła filantropijne Skarbka płynęły także z tej niespokojnej potrzeby czynu, trochę zaś z przekory, na złość — sukcesorom testamentu.

Pomysły snuły mu się dwa uparte: Jeden tak fantastyczny, jak fantastycznym był cały ten człowiek: Oto Skarbek chciał nie mniej nie więcej, a Lwowu zrobić prezent z — Dniestru. Planował drobnostkę: Przenieść koryto rzeki z Mikołajowa pod Lwów... Gdy mu wytłumaczono jakoś niewykonalność tej idei, chwycił się myśli innej, wspaniałej i świetnej, która blaskiem jasnym pamięć Skarbka oświeci: Sumptem milionowym zdecydował się zbudować stolicy gmach teatralny. Rozpierała go piękna, renesansowej miary tęsknota. Chciał módz o sobie powiedzieć: *Exegi monumentum.*

Wiosną roku 1839 wyniesiono na plac Castrum we Lwowie wielkie poręczowe, dobrze wyścielone krzesło, zaczem ku uciesze gawiedzi usiadł na niem pan hrabia i jął dyrygować legionem fur i armią robotników, którzy cegłę zwozili i kopali fundamenty pod gmach nowego teatru we Lwowie. W cztery lata później, 29. marca 1843. Aleksander Fredro, ten sam, który ożenił się z rozwiedzioną

żoną Skarbka, przemówił ze sceny nowego teatru „Ślubami panieńskiemi“. We Lwowie zaś mówiono, że ta cała impreza — to nowy złośliwy kawał starego Harpagona.

A on tymczasem w cichości głębokiej nowy, drugi z rzędu pomnik budować sobie zaczął. W księgi lwowskiego sądu szlacheckiego wpisany został dnia 20. marca 1843. dokument następujący: „Ja, niżej podpisany Stanisław hr. Skarbek, ożywiony chęcią rozrządzenia majątkiem moim, którym dowolnie władać mogę, a który częścią odziedziczyłem, częścią własnem staraniem nabyłem — w ten sposób, aby współziomkom moim po wieczne czasy być użytecznym, postanowiłem w dobrach moich Drohowyżu w obwodzie stryjskim Instytut dla ubogich i sierót założyć i wybudowaniu, zaprowadzeniu i utrzymaniu tego Zakładu mój majątek poświęcić“...

2. W KANCELARYI PANA DYREKTORA.

Pan dyrektor „c. k. uprzywilejowanego teatru we Lwowie" przyjmował gości i interesentów przeważnie — w łóżku, w którem wogóle spędził dość znaczną część ruchliwego żywota. Ten obyczaj pana hrabiego znali równie dobrze hotelarze wiedeńscy. Z chwilą bowiem, gdy popędzanie wołów wydało mu się zajęciem zbyt nużącem, kazał sobie przerobić powóz na łóżko i w takim domorosłym *sleepingu* odbywał zwykle podróż pięciodniową do Wiednia. Stanąwszy przed hotelem Wildemanna, zarzucał na się płaszcz i w pantoflach coprędzej szedł do hotelu, aby wypocząć po nużącej podróży. Pan hrabia lubiał bowiem zmieniać fasony życiowe: po zawadyackich gonitwach tarzał się w gnuśnym sybarytyźmie.

Do łóżka tedy w gmachu skarbkowskim odbywał pielgrzymki cały teatralny i nieteatralny Lwów. „Z zadziwieniem widywałem — mówi wspomniany już Jabłonowski — zarozumiałych, napuszonych mecenasów, uwijających się podczas tych audyencyi z fascykułami w pośród diw i ballerin. Skarbek bowiem jednem uchem słuchał sprawozdania o sprawach finansowych, drugiem

łowił zwierzenia z za kulis. W najzawikłańszych choćby sprawach nic nie pisał. „Moja kancelarya tu!“ — mawiał, uderzając się w czoło. Otaczających łóżko aktorów płci obojej spowiadał, godził, waśnił, beształ, wypędzał, słowem rządził nimi, jakby stadem czarnych niewolników. Tajemnic nie znosił, może nadto dobrze roztrząsał sumienia, nie nadużywając przecież praw spowiednika, a zakłopotanym dopomagał nieraz radą, czasem workiem“.

Skąd zaś przyszło Skarbkowi do dyrektury teatru? Znał wprawdzie za młodu ...garderoby teatrów wiedeńskich i paru krociami scyencyę ową opłacił, nie mniej wszelako przy całem obyciu towarzyskiem kultury książkowej miał mało. Ale to raczej było Skarbkowi zachętą, niż przeszkodą. Tak, jak się ongi zapalił do dzierżawienia stadniny ogierów rządowych, mało co wiedząc o stanowieniu klaczy, jak rąbał wołowinę we Wiedniu i topił żelazo w Rożniatowie, tak się z kolei podobało panu hrabiemu ze sztuką polską spróbować. Dziwny był przecież człowiek i niktby w nim wtedy wielkich zamysłów nie odgadł.

Ugoda została zawarta na lat 50 między Skarbkiem a gminą lwowską, która od Józefa II. jeszcze miała przywilej budowy teatru na placu Castrum. Warunkiem umowy koniecznym, a niezwykle uciążliwym, był obowiązek dawania w tygodniu czterech przedstawień niemieckich. Resztę dni wolno było Skarbkowi poświęcać widowiskom „polskim, włoskim lub francuskim“. Nie trzeba się tym warunkom zbytnio dziwić: albowiem był to dopiero

rok pański 1843. Osobnym przywilejem cesarskim przyznano Skarbkowi prawo wyłączności w dawaniu przedstawień teatralnych, oraz stałą dotacyę rządową w kwocie 4.000 zł. w. a. Ciężar utrzymywania teatru niemieckiego sprawiał wszakże, że scena lwowska była stale przedsiębiorstwem deficytowem, nadszarpnęła nieraz kapitałem fundacyi i przez lat trzydzieści uniemożliwiała otwarcie Zakładu w Drohowyżu.

Skarbek wziął się do nowej dla siebie pracy z pasyą. Najpierw, choć sknera straszliwy, sypnął milionem na budowę gmachu naówczas wspaniałego. Ścięto tedy co niemiara dębów drohowyzkich, wypalono w Brzozdowcach potrzebną cegłę, zamęczeni i zmaltretowani wszyscy we Lwowie majstrowie i cieśle; architekta, maszynistę i dekoratora wysłano na studya fachowe do Belgii, Francyi, Holandyi — zaczem sam Skarbek za nimi podążył za granicę, wziąwszy Bąkowskiego i Stadnickiego za towarzyszy. Pilno bowiem było panu hrabiemu dowiedzieć się, jak wygląda prowadzenie teatru i czem się różni od rzeźni, młockarni i gorzelni. Aż trzęsło starym Fredrą ze śmiechu, a wszelaka literatura była srodze zgorszona.

Przez pięć lat zaledwie (1843—1848) danem było Skarbkowi prowadzić scenę lwowską. Po zupełnym upadku sceny lwowskiej za ostatnich lat czcigodnego już staruszka Kamińskiego, przed skandalicznem *regime* Pfeifra i Chełchowskiego był to zaprawdę okres renesansu, który zasługuje i czeka ciągle na swego historyka. Ale Skarbek swych metod życiowych nie odmienił bynajmniej. Choć do-

konał całego szeregu doniosłych reform, choć odlał w marmurze glinany dotąd posąg Melpomeny lwowskiej, nie lubiła go zarówno publiczność, jak aktorzy i autorzy. Prasa go nienawidziła. W każdym kroku fundatora Lwów węszył jakieś zamaskowane... szelmostwo. „Nie uwodźcie się rozgłaszanem poświęceniem“ — przestrzegał „Tygodnik literacki“ — wszystko to jest oszukaństwo“, „Oszukaństwa“ owe były przecież arcydziwnego autoramentu! Jeżeli dziś artyści sceny lwowskiej posiadają tak zasobny fundusz emerytalny, to jest właśnie jedno z „oszukaństw“ Skarbka, który w samym początku swej działalności, uzyskawszy subwencyę roczną Stanów w kwocie 4.000 fl. w. a., przeznaczył ją odrazu na całe dziesięciolecie (1845 do 1855) na rzecz funduszu emerytalnego artystów.

Ale zawsze był u Skarbka w zanadrzu gest drugi, opaczny i kapryśny. Tedy równocześnie wszczyna wojnę *à outrance* z aktorami, zabraniając im bezpłatnego wstępu do teatru, o co się słuszny gwałt robi nawet w prasie wiedeńskiej. Zraża też sobie aktorów słusznem dążeniem do zniesienia prowincyonalnej mody benefisowej. Choć z drugiej strony podziwiać trzeba znowu sumpt dyrektora, gdy wysyła za granicę Smochowskiego czy Dawisona, wspiera schorzałego Kamińskiego, pozostawiając mu honorowe i tytularne tylko miejsce kierownika artystycznego. Awantur z aktorami, prasą i publicznością było co niemiara, może w dwójnasób tyle, ile ich zapisał historyk teatru St. Schnür-Pepłowski. To wadził się ze Skarbkiem Nowakowski, buntując dzienniki i Wydział Sta-

nów, to znowu miał nerwowy dyrektor przejścia z Pfeifrem i jakowymś Zenepolskim, który „mimiczne przedstawienie uczuć i namiętności dawał w 40 rozmaitych zmianach“. W niezbyt często prześcielane łóżko pana dyrektora na pierwszem piętrze Skarbkowskiego gmachu nieustannie biły gromy.

Najwięcej wszakże oburzenia za kulisami Skarbkowskiego gmachu, w prasie i w całym Lwowie wywołała afera, która dziś — zaszczyt przynosi pamięci fundatora sceny lwowskiej: afera Dawisona. Wiadomo albo i niewiadomo, kto był Dawison. Jeden z najbardziej nielubianych aktorów we Lwowie — a wkrótce potem jeden z największych tragików w XIX. stuleciu w Niemczech. Usterkę miał wszakże dla ówczesnego Lwowa wielką: pochodził z warszawskich Nalewek. Przytem był mało taktowny, a dosyć nerwowy i porywczy. Skarbek odrazu się zoryentował w wielkim talencie Dawisona. Na przekór tedy wszystkim począł go — i słusznie — popierać. Łożył na jego edukacyę i wyjazdy zagranicę, a potem role bohaterskie starego, często już aż nadto starego Benzy oddawał Dawisonowi.

Trzeba zważyć, jak stary Lwów gorąco kochał i tkliwie pieścił swoich starych artystów, aby pojąć ogrom oburzenia, które znalazło wyraz w całej osobnej literaturze polemicznej. Przekorny dyrektor tylko na to czekał, zaczem w niedługi czas potem wyszedł nowy rozkaz z łóżka: Czcigodny Jan Nepomucyn Kamiński dowiedział się z ust dyrektora, że jest wprawdzie czcigodnym, ale

i nieco niedołężnym i otrzymał — Dawisona do pomocy jako reżysera. W odpowiedzi na to Lwów — przestał chodzić do teatru. Afera Dawisona była jednym z powodów, dla których krótkie *régime* fundatora nie cieszyło się i później frekwencyą, zaś artyści grywali przed pustemi ławkami, w brudnym i zakopconym gmachu. Dawison po dalszych nietaktach uniemożliwił się nad Pełtwią i opuścił Lwów, by w wieńcach tryumfu jako aktor niemiecki objeżdżać sceny świata. Skarbek przeczuł w nim wielkiego artystę i to mu winno być uznane za dowód bystrej intuicyi artystycznej, o którąby nikt starego odludka nie podejrzywał. Dziwne i różne zdolności kojarzyły się w tym człowieku. Pozatem ma Skarbek drugą zasługę artystyczną: na scenie lwowskiej ukazały się po raz pierwszy utwory dramatyczne Korzeniowskiego, stąd dopiero rozniosła się wieść o nadzwyczajnej do dziś jeszcze ich scenicznej wartości. Sam autor „Kollokacyi" był lwowską wystawą swych dzieł zachwycony i nieraz dawał temu wyraz. Zresztą w pięcioletniej imprezie Skarbka orlich lotów nie było, bo nie mogła sobie na nie pozwolić scena lwowska, mająca przed sobą wówczas ogrom popularnych zadań pedagogicznych w budzącem się napowrót do życia narodowego mieście. Naogół przecież stwierdzić trzeba, że repertuar „c. k. uprzywilejowanego teatru" miał dużo żywości i urozmaicenia, że dyrektor ambicyonował w kierunku ulepszeń technicznych, a i sam nie szczędził też wkładów w tej dziedzinie. Zespół aktorów — mimo wszelkie przesilenia —

błyszczał przez długi czas nazwiskami świetnemi. Grał Smochowski i Aszpergerowa, Dawison i Rutkowska, Nowakowski i Benza, artyści, których Lwowu zazdrościł nieraz Kraków i Warszawa. Ale sprawca tej świetności pozostał nadal, czem był: niedocenionym i krzywdzonym przez ogół filantropem, nie umiejącym żyć i postępować z ludźmi samotnikiem!

Ostry i czerwony nos krogulczy dokrzywił się tymczasem Skarbkowi do reszty, coraz twardszych i brzydszych słów dobierał w rozmowach z aktorami. Zawsze był dziwakiem odludnym, ale do cna zdziwaczał i ludzi znienawidził w ufundowanej przez się świątyni sztuki.

Kończyła się właśnie „wiosna ludów" i miały nazajutrz armaty Hammersteina Lwów zbombardować, 27. października 1848, gdy w łóżku swojem umierał fundator sceny lwowskiej, który „współziomkom swoim po wieczne czasy chciał być użytecznym", a pod włosienicą dziwactwa krył ofiarną myśl obywatelską. „Na cichym pogrzebie — powiada Jabłonowski — nie było nikogo. Jan, stary lokaj mojej matki, twierdził, wróciwszy z pogrzebu, że ludzie nie przyszli, bo śp. pan hrabia bywał pono — farmazonem"...

ZUZANNA STRZEMBOSZÓWNA

Jak drzewo ginące wydaje owoce robaczywe, tak u schyłku Rzeczypospolitej rodzili się często w dworach i pałacach ludzie skarleli i w człowieczeństwie kalecy. Z próchniejącego pnia szlachetczyzny nierzadko wykwitał grzyb i szalej trujący, a nigdy przedtem nie było w Polsce tylu zdziwaczałych, często aż do obłędu zdegenerowanych panków, co pod koniec XVIII stulecia. Mimo smutne czasy podziału i twarde jarzmo zaborów szaleli ci straceńcy na tonącym okręcie. Cóż mówić o bezsilności polskich władz i praw, skoro nawet austryacki *krajshauptmann*, zawładnąwszy Galicyą, umykał w strachu przed szaleńcami i rosyjski sałdat nie znajdował na nich rady. Za cóż to n. p. odmawiano ognia i wody panu Ignacemu Kalinowskiemu? Ten-ci zakopał bowiem księdza żywcem w ziemi, gdy mu małpy ukochanej na cmentarzu pogrzebać nie chciał; głośne też były w ziemi lwowskiej dzikie figle pana Gozdzkiego, tak samo naśmiewano się na wiecu, że pan Uniatycki pod kloszem szklanym mieszka, w obawie, by go oddech ludzki nie zaraził. Stanisław Pieniążek zwykł kochanki niewierne wtykać w mrowiska, a sąsiad jego dla odmiany zamykał chłopstwo w lochach, pełnych ropuch i wężów jado-

witych. A Marcin Lubomirski? Łupieżca i oszust, rozbójnik i bandyta w książęcej mitrze, za morderstwo na śmierć skazany. Że wszystkie te dzikie okrucieństwa były jeszcze niczem wobec przyzwyczajeń pana starosty Kaniowskiego, o tem tak dobrze wiadomo, jak wiekopomną jest jego niesława. Mówiono słowami klątwy: od Trójcy św. będzie oddzielony i na miejsce Judasza powołany. On zasię twierdził, że go ludzie nie rozumieją. Taki n. p. wojewoda Żaba ośmiela się wymawiać majestatowi pana na Kaniowie, iż w jego oczach dopiero-co żyda buzdyganem uśmiercił. Cóż za *nequam* i arcypies?! Nazajutrz rano trzy fury żydowinów, skrupulatnie tymże samym pana — starościńskim buzdyganem pozabijanych, odesłane mu do domu zostały. Wspominamy tu o rzeczach tak smutnych dlatego, iżby się w odpowiedniem towarzystwie sprezentował Tomasz Strzembosz, również pasyą zwierza dzikiego opętany. Podobno Pan Bóg o nim zapomniał, zły duch zaś obdarował siłą tak straszliwą i taką budową ciała, że samo z nim zetknięcie w chwili szaleństwa śmiertelnem być musiało. Postaci był otyłej i szpetnej. „Ukłuj Strzembosza w kark — opowiadali sobie ludziska — a beczka tranu wycieknie“.

Tomasz Strzembosz miał dwóch synów, dwie córki, oraz wsi szesnaście, z których Olszanica Lackie w złoczowskim, Sroki zaś, Laszki i Prusy w powiecie lwowskim najznaczniejsze. Człowiek może nawet niezły, kapitan 12 pułku ułanów ks. Józefa, waleczny i członek Stanów galicyjskich, lecz gdy w furyę swoją popadnie, to niech ręka



ZUZANNA STRZĘBOSZÓWNA.

Boska broni! Ginęła służba dworska i czeladź, łamana rękoma pana dziedzicowemi, a nawet tych, co tylko świadkami byli zbrodni, obłęd nieraz ogarniał. Złotem, sągami drzewa, czy korcem żyta łagodził potem pan na Olszanicy ofiary swej siły, lecz były także przewiny nie do opłacenia. Żona pierwsza opuszcza Strzembosza w niedługi czas po ślubie, daremnie chcąc uchronić dzieci przed czekającym je losem. Dwóch synów uśmiercił wkrótce potem własną ręką, córka zaś, szarpnięta za warkocz, skończyła w ataku przerażenia, guwerner nawet popadł w obłęd. I tak pustoszał powoli dom niepoczytalnego furyata.

Zuzanna Strzemboszówna liczyła lat czternaście w chwili ucieczki z domu. Była noc ciemna i dobrych mil ośm do Lwowa, więc przestrach ogarniał dziewczątko, gdy samopas biegła gościńcem złoczowskim, drogi i życia nieświadoma, ale czyż nie straszniej jej było w domu pod władzą sprzymierzonego z szatanem rodzica?

Ostała się aż na ulicach Lwowa. Sąd opiekuńczy za sprawą matki wdał się w sprawę i umieścił Zuzannę w konwikcie PP. Sakramentek. Urosło tu dziewczę w pannę szczególnej urody, a wieść o jej gładkich licach przedostała się wkrótce po za rozmownicę konwiktu. Przybył był właśnie podówczas do Lwowa cesarz Franciszek I. i zwiedzał między innymi zakład PP. Sakramentek. Zwraca odrazu uwagę na wyjątkową urodę Zuzanny, pyta o ród, nazwisko i stosunki rodzinne. Świta cesarska wydziwić się nie może bystrości odpowiedzi, płynących z koralowych ust Strzem-

boszówny. Dziwi się również pan generał Fresnel i po raz pierwszy w życiu wzięty jest w niewolę. Najniepotrzebniej w świecie, bo kończy mu się wkrótce 55-ty rok życia. Uszczęśliwiona komplimentami Zuzanna ani przypuszcza, że ta wizyta cesarska w klasztorze pieczęć bezlitosną wyciska na jej przyszłych kolejach życia.

W dystyngowanej osobie Ferdynanda *Henequin de Fresnel et Curel,* tego samego, po którym dzisiejsza ulica Kościuszki nosiła miano Frenelowskiej, niktby nie poznał generała austryackiej kawaleryi dawnego typu. Kuzyn wygnanych Burbonów, Pikardyjczyk nie umiał nawet dobrze mówić po niemiecku, a był jednym z tych członków starej arystokracyi francuskiej, którzy po wybuchu Wielkiej Rewolucyi zaciągnęli się pod sztandary austryackie, by służyć dynastyi, której dzieckiem była Marya Antonina. Fresnel, najznakomitszy chyba wśród oficerów przez Francyę burbońską Austryi przekazanych , bierze udział we wszystkich kampaniach od roku 1793. aż do wzięcia Paryża w r. 1815. Proskrybowany i ścigany przez Napoleona, dowodzi po zranieniu Wredego pod Hanau armią sprzymierzoną, strojny w sławę żołnierza równie wytwornego, jak nieustraszonego. Odrazu po zawarciu pokoju zjeżdża do Lwowa, jako oficer sztabowy *a latere* komendanta miasta. Towarzystwo lwowskie wkrótce mile zdziwione przybyszem, jego manierami światowemi, znawstwem koni i ułożeniem takiem, jak gdyby wczoraj opuścił dwór Ludwika XIV. A Strzemboszówna ? Ani słyszeć nie chce i dąsa się nie na żarty, gdy kareta

pana generała coraz częściej zajeżdża przed konwikt Sakramentek. Gdyby nawet był młodszym m-r le general Fresnel o lat trzydzieści, to i tak nie szukać mu łaski w oczach jasnej panienki z Olszanicy. Wszakże ordery swe złociste zdobył w walkach przeciw Napoleonowi, a z Napoleonem był Bóg i ks. Józef.

I stary Strzembosz, huknąwszy pięścią olbrzyma w stół, pokaleczył na wieść o tem trzech kamerdynerów i założył *veto*. Niedość, że mu córkę do klasztoru zabrali, jeszcze teraz chcą wydać za cudzoziemskiego wojownika. Tomasz Strzembosz myślał o generałach austryackich tak samo, jak wuj Rafusia Olbromskiego z „Popiołów“ i jak pan Gozdzki, co to sto bizunów wyliczył reprezentantowi władzy. Pan Strzembosz wyobrażał sobie, że każdy *distriksdirektor* przysłany jest z Wiednia po to właśnie, iżby go do chlewa zamknąć na noc, a jeśli obwieś ośmieli się i rzeknie np.: „*du polnischer Waćpan*“ — to trzeba uczynić tak, jak pan Bobowski: wyprawić śmiałka na łono Abrahama.

Widząc, że sprawa niełatwa, a Strzembosz grozi najazdem i wyprawą na Lwów, zasięgnął rozkochany generał pomocy tego, który poniekąd był sprawcą sentymentu: udał się do cesarza. Jakim sposobem ułagodził rząd wiedeński dzikiego pana Olszanicy z przyległościami — niewiadomo, dość, że w parę lat potem Zuzanna Strzemboszówna stanęła na ślubnym kobiercu i zajęła obszerne apartamenty w kasynie Hechta, a pan ge-

nerał rozmyślał z przyjemnością o 16 wioskach, które mu wniosła w posagu.

„Krzywiliśmy się jeszcze wtedy — opowiada świadek współczesny — na Francuzów, służących w cesarskiem wojsku, niemniej jednak uroczym był dom państwa Fresnelów. Generał nie zażywał dotąd miru, dopiero, gdy zaślubił pannę Strzembosz, aby ją przed ojcem uchronić, świat polski zbliżył się do niego. Pełen jeszcze wysokich tradycyi Wersalu, umiał Fresnel dom swój uczynić bardzo przyjemnym, do czego biała, przepiękna gosposia nie mało wdzięku dodawała. Bywali też oboje na salonach lwowskich, więc oddychało się pełną piersią i nie skąpiło życia, gdy dwie równie piękne i wdzięczne, a niczem do siebie niepodobne księżna Lobkowitz, żona gubernatora i pani de Strzembosz Henequin Fresnel et Curel — ogniem bengalskim rozjaśniały całe towarzystwo". A gromadziła się wówczas w kasynie Hechta cała liczna kolonia francuska, niedobitki Wersalu, daleko na wschód rzucone. Obok Fresnela służyli bowiem we Lwowie i inni oficerowie francuscy, generał Piret, oficer huzarów Picard, mieszkał pan Depan, administrator Krzywczyc, l' abbé Parmentier w sutych żabotach, oraz nieco innych, mniej i więcej autentycznych markizów. Nie można nie wspomnieć o egzotycznym kwiatku lwowskiego Wersalu, jak Księżna de Nassau, córka głośnego awanturnika XVIII. w. upamiętnionego w „Panu Tadeuszu" „Księcia Denassów", którą on dzieckiem kupił w Grecyi od kapitana okrętu. Miniatura — rzec można — pię-

knej kobiety, (była bowiem karliczką) posiadała księżniczka de Nassau w swych szafirowych oczach temperament, odpowiadający jej egzotycznemu pochodzeniu. Życie wiodła dość bujne i wtedy właśnie wyszła we Lwowie za mąż za Budiakina, politycznego ajenta Rosyi. Wszyscy Francuzi kochali się wszakże rzędem w pani Zuzannie. Ich zdaniem Polska cała nie wydała nigdy kształtniejszych lic niewieścich i jedna tylko chyba mogła wytrącić berło z jej ręki: *la belle Gabrielle*. Któż to taki? Owo *nom de guerre* nosiła pani Katarzyna z Jaworskich Starzeńska-Pawlikowska. Ta sama, którą portretował Gerard i w której kochał się wicekról Włoch Eugeniusz, rywalka, zwycięska pono, słynnej pani Récamier, wysoka bruneta o przejasnej cerze, głośna ze swych tryumfów i gwałtownie niemoralnego życia nad Sekwaną za czasów konsulatu, potem w Łańcucie u ks. marszałkowej. O niej to opowiadały markizy na salonach lwowskich, że gdy raz z Luwru wychodziła, grenadyer, stojący u wejścia skrzyżował bagnet, *qui vive?* wołając, poczem stwierdził z galanteryą, iż nie może wypuścić z muzeum — posągu Wenery. Że tak było w istocie, niechaj zaświadczy autorytet malarski Gérarda, którego dziełem jest portret pani Katarzyny, zdobiący okładkę książki niniejszej.

Lecz ani pląsy huczne w kasynie Hechta, ani bujny ton życia szlachty lwowskiej — w której ręku spoczywała wówczas reprezentacya polskości Lwowa — nie dały szczęścia smutnej pani Zuzannie, której mąż został tymczasem w r. 1825 głównodowodzącym wojsk austryackich we Lwowie. Ani

też przyczyniała jej spokoju nieustanna wojna ojca z mężem. Był to spór o miedzę, jak za dawnych czasów, w którym omal nie przyszło do bitwy pomiędzy spędzonem przez Strzembosza chłopstwem a huzarami Fresnela. Jako komendant miasta Fresnel uporządkował staw pełczyński i zbudował istniejącą do dziś pływalnię wojskową. Po dziesięcioletnim z górą pobycie we Lwowie przeniesiony został w głąb Austryi, a wkrótce później mianowany kapitanem przybocznej gwardyi trabantów. Zuzanna Strzemboszówna do tryumfów lwowskich dołączyła teraz nowe wiedeńskie, została damą dworu wiedeńskiego, zdobiła swym urokiem salony Burgu. Tymczasem rozstał się z życiem stary Strzembosz, strawiony obłędem i wyrzutami sumienia, a wkrótce po nim w r. 1831. przeniósł się do wieczności 70-letni generał Fresnel w czasie chwilowego pobytu we Lwowie. Grób wspólny w Lackiem pojednał przeciwników. Pani Zuzanna zaś, kończąca właśnie lat trzydzieści, wraca do Lwowa. Wkrótce potem zdaje jej się przez chwilę, że oto los składa na jej ustach pocałunek szczęścia. Ktoś bardzo kochany, oficer wysoki w zgniecionem dopiero-co powstaniu listopadowem, stara się o rękę wdowy po generale. Związkowi przeszkadza tylko drobna formalność; Pani Zuzanna jest damą dworu, więc na powtórne małżeństwo musi dać pozwolenie minister domu cesarskiego M e t t e r n i c h. Jedzie tedy co prędzej pani Olszanicy do Wiednia, uzyskuje audyencyę u arcymistrza intryg dyplomatycznych i rzecz wyłuszcza. Lecz kanclerz Austryi i w tej drobnej

sprawie nie odstąpił od swych zasad: przedstawień pani Zuzanny wysłuchał z lodowatą uprzejmością poczem — wysłał natychmiast sztafetę osobną do Lwowa z nakazem uwięzienia powstańca i wydania w ręce władz rosyjskich! Bo dama dworu nie może oddawać ręki buntownikowi. Tak pierwsze małżeństwo zaciążyło klątwą nad życiem Zuzanny Strzemboszówny. Wyszła potem drugi raz za mąż, lecz to był znowu pełen abnegacyi i poświęcenia — akt filantropijny. W r. 1831. zostaje hrabiną Ożarowską. „Ale snać osobiste szczęście — opowiada Franciszek Jaworski — nie było pisane tej kobiecie, bo oto spadł na nią obowiązek ratowania rodziny Ożarowskich, która cały swój majątek straciła w powstaniu listopadowem. A uratować ją mogła tylko przez oddanie swej ręki i majątku hr. Konstantemu Ożarowskiemu, właścicielowi Strzemilcza i Beresteczka, który słynął ze swej fizycznej brzydoty. Lecz w kołach arystokracyi galicyjskiej uradzono, że tak być musi i Zuzanna zdobyła się na krok heroiczny. Oddała siebie i swój majątek Ożarowskiemu, a nikt może nawet nie przypuszczał, ile w tem było własnego zaparcia, ofiary, ile walki wewnętrznej i buntu".

O dzikich manierach nowego męża p. Zuzanny krążyły przeróżne legendy. Raz byli oboje na balu. Pani Zuzanna w białej toalecie i takichże pantofelkach, promieniała urodą, odbierając zewsząd hołdy czołobitne. I oto stało się, że tknięty zazdrością małżonek, przybiegł do żony wśród zabawy i tak gwałtownie przedeptał jej nóżkę, iż krew oblała białą wstążkę pantofelka.

Przeżyła pani Zuzanna z drugim mężem swoim resztę dni swego piękna i młodości, a męka jej trwała przez długie dziesiątki lat. Państwo Ożarowscy nie wiele mieli sobie wzajemnie do powiedzenia. Pan domu trudnił się pilnie gospodarstwem i myśliwstwem, rzadko pozatem na świecie szerokim się pokazując. Mieliśmy w ręku dyaryusz gospodarczy, przez lat pięćdziesiąt codziennie przez hr. Ożarowskiego spisywany. Od r. 1826. do 1879. z nieznacznemi przerwami omówiony stan zasiewów i robót, pogody i polowań. Jeżeli czasem, raz na kilka lat, znajdzie się w dzienniczku tym wzmianka o pani Zuzannie, to bywa zawsze lodowato zimna i lakoniczna: „Pani wyjechała do Lwowa“, albo „pani kąpała się w Styrze“. I czasem tylko sucha, ostrożnie wystylizowana notatka daje nieco do myślenia. W gorących dniach styczniowych r. 1863, kiedy płomień powstania przerzucać się począł do Galicyi, pisze Konstanty Ożarowski: „Żona moja wróciła późną nocą. Opatrywała chorych i rannych“. Pani Zuzanna stała się samarytanką. W ósmym dziesiątku ubiegłego stulecia przeniósł się też do wieczności i drugi jej mąż. Odtąd ciche jej życie barwiły chyba tylko dzieła dobroczynne i praca oświatowa. Fundowała szkoły cerkwie, zakładała szpitale, instytucye dobroczynne i przemysłowe. Zbiegła jej tak druga, szara, lecz spokojna przynajmniej połowa życia. Umarła w r. 1891, przekroczywszy dziewiąty krzyżyk. Odchodząc, powiedziała komuś: „Mówili ludzie, że miałam urodę, majątek znaczny zostawił mi ojciec,

a pomimo tego nie znalazłam chwili szczęścia w życiu".

W muzeum Lubomirskich jest portret kobiecy, malowany przez Karola Szwejkarta około r. 1830. Z kunsztownie ułożonych fałdów szalu lazurowego, spiętego koralową agrafą u szyi, wychyla się ku nam słodka lekkomyślność i motyla pustota kobiety szczęśliwej i uszczęśliwiającej — uśmiechem. Dużo swobody w dekolcie, przemiła figlarność w oczach „twarzy kochanka ciekawych", rasowy heban loków i warkoczy — to właśnie ona, „piękna jak Wenus, bogata jak Krezus" Zuzanna Strzemboszówna.

Wiele książek napisano o uśmiechu Giocondy, ale i ten uśmiech, którego nie podziwiał jeszcze żaden historyk sztuki, nieraz cię do obrazu przywoła. I po kilkakroć czytać będziesz na odwrocie obrazu objaśnienie, spisane ręką starego przyjaciela o smutnych dziejach uśmiechniętej. *Sunt lacrimae rerum* mówi frazes starożytny. Lecz i obrazy czasem płaczą.

W DWORKU FREDRY NA CHORĄŻCZYŹNIE

Myślałem nieraz, dlaczego, ceniąc tak wysoko pisarza „Zemsty“, tak mało znamy — Fredrę i czemu daleki jest nam twórca, gdy tak blizkie jego dzieło? Jeżeli dzieje życia artysty przyrównać można do kilimu wzorzystego, na którego tle tem świetniej znaczy się linia płaskorzeźb białych, to reliefy Fredry wiszą na szarej ścianie. Wiemy dobrze, jakim był i gdzie bywał Mickiewicz, Słowacki, Chopin — nie wiemy zaś tego wszystkiego i w tej mierze o Fredrze. Biografie lakoniczne skąpią informacyi, a już ogół wie o nich najmniej. A przedewszystkiem Lwów tak jakby nie wiedział, że Fredro to jedyny z wielkich pisarzy polskich, który na jałowym gruncie miasta w pierwszej połowie XIX. wieku wyrósł, tu rozkwitł i — jak nikt inny ze Lwowem żywot swój związał. Trawestując Reja, mógł był Fredro powiedzieć, że z granicy lwowskiej mili nie ujechał, chyba tylko do Rudek poblizkich, Beńkowej Wiszni lub Nienadowej. Tu we Lwowie dzieciuch lansadował pod oknami panieńskich konwiktów, a starzec kładł pasyanse i wnuki pieścił w fotelu. We Lwowie odbył Fredro prymicye sceniczne i święcił glorye swej wielkości, ze Lwowem złączyły go stosunki rodzinne. Dziecko, dandysa, żołnierza napoleońskiego, sła-

wnego pisarza i smutnego starca, wszystkich tych Fredrów gości u siebie Lwów. Tu przez lat szesnaście pisze, a potem przez czterdzieści jeden milczy obrażony. Bo stąd także padł strzał, który uśmiercił komedyopisarza, owe pamiętne, nad podziw ciasne słowa Goszczyńskiego: „Trochę czasu trochę więcej oświaty, a będziemy skąpsi w oklaskach dla komedyi takich, jak Aleksandra Fredry"... Mimo to wszystko Lwów tak, jak gdyby o tem nie wiedział, nie żywi dla Fredry żadnych szczególnych sentymentów.

I.

Starzy ludzie pamiętają jeszcze, jak to czasem w szóstym dziesiątku ubiegłego stulecia przemykał się ulicami Lwowa, bardzo zresztą rzadko i tylko w ostatecznej konieczności, pan hrabia w zielonej lisiurze, by pokazać się na chwilę na sesyi sejmowej lub oddać wizytę przyjacielowi w hotelu George'a. Wzrostu średniego, lekko ospowaty, o wzroku nie ujmującym i dziwnem, żółtem białku, krótko ostrzyżony, o wąsie rudawym i włosach koloru dzikiego kasztana. Nieznacznie pochylony, zawsze staranny i gładki. Mało kto go znał, wiedziano tyle, że jest odpychający i mroźny. Oddawszy wizytę, wracał pan hrabia równie prędko, jak przyszedł, i szybko znikał za furtką, wiodącą wśród drzew do pałacyku na Chorążczyźnie. Nazywało się to dawniej pałacykiem: ks. Józef mieszkał w takim w Jabłonnie. Wirydarz oddzielał *tusculum* od świata, dom był ze wszech stron ogrodem okolony. Na owalnym trawniku pęki róż

lewkonii, rezed i goździków, ręką pani Fredrowej pielęgnowanych, w dali klomby gęste bzu i jaśminu, jeszcze kiście krzaków malinowych, szary agrest pod płotem i ponsowy łan truskawek. Droga wokół gazonu wiedzie przed dom piątrowy o wysokim załamanym dachu. Orzech turecki pod balkonem, dwie lipy nieodłączne i parę świerków na straży, by nie wszedł nikt niepowołany. *Pateat amicis!* A jest tych przyjaciół może trzech, może czterech w całym Lwowie. Oni tylko przekroczyć mogą próg domostwa. A jeśli przecież ktoś nieproszony?! Zbądźcie strachu i niech parol „Zemsty“ będzie z nami:

Nie wódź nas na pokuszenie,
Ojców moich wielki Boże!
Wszak, gdy wstąpił w progi moje,
Włos mu z głowy spaść nie może!

Zaczem wejdźmy do domu, którego niema. Schodami dążąc na piąterko, dochodzi się do obszernego pokoju o trzech oknach. Patrzeć trzeba z nabożeństwem: tu gdzieś pewnie stała kolebka „Dożywocia“, tam przy pulpicie przyoblekały się w kształt żywy: „Śluby panieńskie czyli Magnetyzm serca“. Raczej kwatera oficera napoleońskiego, niż gabinet pisarza. Srebrzyste w krzyż szablice nad twardo słanem łożem, które cztery gryfy, suto złocone, zdobią po bokach. Sasów chyba pamięta biurko przedwieczne o listwach mosiężnych. Ogromny dywan ciemnych kolorów sięga po sufit prawie, dając tło kontrefektom ojca Jacka, stra-

żnika W. Kor. i żony, gdy jeszcze piękną panią Skarbkową była. Jest jeszcze fotel roztrzęsiony na kółkach, oraz pułki ze zwyczajnych tarcic sosnowych, gdzie książek istne zatrzęsienie! Wszelako najulubieńszą i pierwszą wśród wszystkich lekturą zostanie zawsze — słownik Lindego. Wokół tych sprzętów prostych owinęło się powojem kilkadziesiąt lat życia Fredrowego. Salonik był na piąterku, duży, na troje podzielony. Fotele zdobne w szlak empirowy, staroświecki deseń kwiatów na tapetach i tu kilka szaf z książkami, trochę starej broni, tu i ówdzie popękany portret któregoś z antenatów pleszewickich. Przez próg wysoki idzie się do pokoju kredensowego. Jaki jest, wiecie. Las słoików z konfiturami, puzderka odwieczne, srebro i „do robienia kawy osobna niewiasta, nazywa się“... Adela Deforrel. W pokoju pani domu dużo słońca, trochę niezbędnych drobiazgów codziennych, pończoszka zaczęta i szydełko na stoliku, który po zatem do gry w wista służy. Tu codzień po południu rachuje się „lewe“, wieczorem zaś, gdy dom uśnie, dopełnia się w głębokiej ciszy obrzęd uroczysty: Pan hrabia kładzie pasyanse napoleońskie. Nie widzicie dwojga staruszków, przekomarzających się przy stole? Jakżeż nie, przecież to oni — państwo Jowialscy. Po pasyansach lektura: na pierwszem miejscu wierszyk, bardzo a bardzo swawolny, jakie tylko bardzo młodym, albo bardzo starym ludziom pisać wolno, potem scena z nowej komedyi, rankiem dopiero-co napisana i nadąsana mina, jeśli babcia nie odrazu sens pojmie i nie po każdej scenie śmiechem wy-



POKÓJ FREDRY W DWORKU NA CHORĄŻCZYŹNIE.

buchnie. Ale jeśliby nazajutrz balik dziecinny wypadał — to w kąt komedye i pisze się figiel rymowany dla dzieci. Bo to jest pierwsze i najważniejsze. Niby bardzo surowy i zrzędzący jest ten dziadek i wuj, ale na prawdę nie zna on teraz innego sentymentu i troski większej. Jeszcze w r. 1837. napisze do Tadeusza Wasilewskiego, życząc sobie i jemu: „jednostajnej spokojności domowej i zdrowia lubych, drogich główek, które nam tak zręcznie i powoli duszę wykradają, że nim się spodziejemy, już mało dla nas samych zostaje".

Kiedyś dawno, przed trzema dziesiątkami lat, dworek na Chorążczyźnie gorzał innem życiem. Zaglądali tu coraz starzy żołnierze napoleońscy i powstańcy węgierscy. Stąd wysyłano broń dla powstańców styczniowych, a rozgwar panował wielki czasu „wiosny ludów", po której rozochocony Fredro stanął przed sądem, oskarżony o zbrodnię stanu za to, że chciał „wypędzić z kraju dyabła w stosowanym kapeluszu". W towarzystwie znalazł się zaś dobrem, skoro niemal równocześnie skazano na śmierć Franciszka Smolkę i przyszłego kardynała Albina Dunajewskiego. Bywały też na Chorążczyźnie wieczory literackie. Przychodził Pol Wincenty i biegł nieraz szybko ulicą Akademicką Zygmunt Kaczkowski, oglądając się bacznie, czy go policyant nie śledzi lub szpieg, miał bowiem pod mantylą świeżo nadesłany z Paryża egzemplarz „Pana Tadeusza", za co pewny loch w Kufsteinie lub Spielbergu. W latach czterdziestych pielgrzymuje tu literatura, wrą dyskusye, robi się wielka polityka, ale zawsze wśród naj-

bliższych, bo gdy zabłądzi ktoś obcy, ucieknie zaraz, zrażony wyniosłością gospodarza.

Lecz odeszły w cień czasy dawne. Raz tylko do roku, w dniu 20 czerwca, odmienia się porządek w dworku na Chorążczyźnie. Raz tylko do roku, w święto swych urodzin, zdejmuje Aleksander Fredro szlafrok ulubiony i nie ma czasu na figlowanie z wnukami. Wtedy *tout Léopol* ma wstęp do salonu. Idą rzędem deputacye, Polska cała, pełna hołdu dla autora „Zemsty“, zanosi prośbę: „iżbyś dzieł swoich, jeszcze w ukryciu trzymanych, nie usuwał dłużej od pożytku i pocieszenia powszechności polskiej, tak dawno za niemi tęskniącej“. A Fredro odpowie krótko i szorstko: „Mogłem, powinienem był, wyznaję. Teraz zapóźno“... A zresztą czeka niecierpliwie, aby pańszczyznę 12. grudnia odbyć jak najprędzej, módz się znowu otulić w karmazynową samotność i zapisać w dzienniczku: „O, jak słodko zamknąć oczy i na czasy i na ludzi!“ Ani zna, ani chce rozumieć tych ludzi nowych i coraz jaśniej widzi, że „on, napoleoński żołnierz, jest pomiędzy nimi, jak pies na kręgielni“. Artretyzm go zresztą męczy, więc często po wiście godzinami na pościeli rozciągniony. Nie komedye pisze już, ale chyba ucinki, dwuwiersze do „teki starucha“ i w paru słowach zamknie tyle plastyki, tak sercem ugryzie, żeby to na parę scen komedyi starczyło. Choć ani dla Napoleona, ani dla Poniatowskiego kultu szczególnego nie ma, to przecież wśród wspomnień o nich czuje się sobą i coraz częściej odbiega my-

ślą w czasy, które pamiętają już tylko chyba szable nad łóżkiem, zgryzione rdzą krwawą z pod Lipska.

Nad siwą głową starca kreśli się ósmy już krzyżyk i dwa złocą się nad nią promienie: sławy oręża i sławy pióra. Złocą się i zwolna gasną. Iznagle ten, co zawsze ludzi w Polsce weselił, raz ich zasmuci. Pewnego wieczora w r. 1876. uśnie na zawsze tak cicho, że nawet Baucis wierna tego nie zauważy.

II.

Ale innego także Fredrę Lwów pamiętał, a i Fredro inny Lwów widział. Jeszcze nie słyszano o hotelu George'a, a tylko nad cuchnącą bezwstydnie Pełtwią stał *Hotel de Russie,* opodal którego trzy mostki chwiały się nad rzeczułką; na dzisiejszym placu Maryackim chyliło się ku ziemi parę nędznych dworków z ogródkami; przy Sykstuskiej ulicy żaby rechotały w sadzawkach za parkanem, a czterdzieści tysięcy mieszkańców czekało z przerażeniem chwili, w której zwali się w gruz stara wieża ratuszowa. „W owych to czasach“ (1807) — jak z oburzeniem mówiła do Zygmunta Kaczkowskiego zgorszona matrona — „Fredry we Lwowie chodzili na głowach i nie można nigdzie było się obrócić, aby się nie natknąć na Fredrę. Trzeba się było chować przed nimi, bo i z ołtarza byliby zdjęli, a do tego jeszcze i wiersze takie pisali, że nawet starszym uszy od nich trzeszczały“. Nie sam jeden Oleś naturalnie, bo przecież na klombie w Nienadowej aż dziewięć świerków posadzono na pamiątkę dziewięciorga

dzieci pani Fredrowej. A wszyscy żołnierze tego autoramentu, który „szereg pierwszy łamał kopiami, a drugi wycinał szablą“. Oleś był chłopak śliczny, jasny blondynek z niebieskiemi oczyma, w pustactwie nieprześcigniony. Sam po latach opisze siebie nie bez zadowolenia: „Łeb rudy, w loki, jak w zawijane zrazy, zafryzowany, mocno pudrem przykryty, frak bronzowy, spodnie jasne, dość przestronne, jak była moda, buty po kolana z dwunastocalowymi sztylpami. Przy zegarku siedm pieczątek rzeszowskiej roboty, w ręku laseczka z kobuzią główką“.

Pewnie mocno uczony? O i bardzo! Przykłada się bacznie do nauk... w kniei, na sali balowej, w buduarze i na siodle, uczy się fechtunku, tańca i ekwitacyi. A zdolny wyjątkowo: nikt tak jak on figlarnie nie potrafił wywołać, jadąc ulicami, panien w konwikcie do okien. Inne, bardziej szare nauki trwały „krótko i nie tęgo“, po trzeciej lekcyi matematyki dostał — febry. Na jedno tylko nie pozwolił, gdy guwernerowie oduczyć go chcieli brzydkiej nawyczki: nawykł był bowiem pisać — ortograficznie po polsku. Zresztą trzech Guciów wtedy w nim tkwi, a wszystkie Radosty ręce łamią z rozpaczy. Tak jak gdyby to było coś zdrożnego łapać z okna przechodzących ulicą Niemców na wędkę i ściągać im peruki, oraz kapelusze, albo też wraz z bratem Edwardem strzelać do nich bajecznie celnie kulkami z ciasta.

Na młodego wisusa zwaliło się w tym czasie kłopotów co niemiara. Na przykład: przez cały karnawał prawie są codziennie trzy zabawy ta-

neczne w różnych domach. Wszędzie zaproszony, na którąż pójdzie, jaką wybierze? Więc pachnący bergamotem biega z wieczoru na wieczór, dając i biorąc słowo honoru, że hasanie będzie do upadłego. Rym powstał z tego twardy, za to danser był gładki.

„Kielich szampana od ręki do ręki
„Niosąc gospodarstwa wdzięki —
„Niósł razem dowcip do głowy
„W nogi moc i ogień nowy".

Inne zmartwienie. W świeżym zeszycie „*Pamiętnika lwowskiego*" dama jakaś odważa się potępiać kontredansa i rozwodzi się nad tańcem, „uważanym we względzie jego skutków na serce kobiece". Jakżeby chętnie siedmnastoletni Fredro wyciął jej rekuzę, ale zabrakło śmiałości i wprawy, więc tylko w „książce dla mnie samego" zapisze się *pro memoria*, że „wdzięki płci pięknej dają pęd naszej wyobraźni, one są zachęceniem do pracy i w nich najsłodszą znajdziesz nagrodę". Tymczasem pęd wyobraźni znalazł ujście nie w samych tylko wdziękach kobiecych. Zjechali raz do Lwowa ułani księcia Józefa, w chłopaku zagrała krew i — „wskoczył w wojnę, jak młody sarniuk na kwiecistą łąkę".

Dziejów Fredry na wojnie opowiadać tu nie będziemy, skoro sam spisał je mistrzowsko w dziele, którego legitymacya artystyczna równa niejednej komedyi — w nieczytanym i niedocenionym pamiętniku „Trzy po trzy". Nie wielu ludzi mo-

gło powiedzieć, że tak jak on odbyli ostatnią kampanię Wielkiej wojny. Bo była ona dosłownie — napoleońska. Jako adjutant marszałka Berthiera walczył nie dalej jak o 50 kroków od Cesarza, grzał się z nim przy jednym ogniu i też same co tamtemu brzęczały mu kule nad uchem, niby chrząszcze majowe na wiosnę. Mimo to — nie lubiał Fredro Napoleona do końca, chociaż do końca został — jednym z najwierniejszych jego żołnierzy. To był jego pierwszy i najważniejszy zawód i tytuł życiowy. Pisarz, obywatel, polityk — wszystko chwilowe kaprysy lub przypadek. We Fredrze żył przedewszystkiem towarzysz pancerny, zrządzeniem losu pod gwiazdą napoleońską urodzony. „Nieraz kiedy wracam z polowania — powie po latach — a dojmujące zimno jesienne i dym ścielący się z kartoflanej naci biwak przypomni, zdaje mi się, że mam jeszcze pałasz przy boku, depeszę w zanadrzu. Mimowoli wyciągam szyję i śledzę okiem, czy droga wolna".

Wróciwszy z wojny, dołącza co najprędzej trzpiot ciągle jeszcze niepoprawny nowe tryumfy towarzyskie do dawnych. Sposobi się już do wejścia w „żywot człowieka poczciwego", gospodaruje w Jatwiengach, mając 600 złr. w. a. rocznej intraty, i tylko „na śniadanie kieliszek kopciuchy, na obiad drugi, na kolacyę trzeci". Gdy z wydatkami karnawałowymi sprawa nie łatwa, wtedy sztukuje się budżet — lisiemi skórkami. Ile lisów ubitych na zasiadce w Jatwiengach, tyle potem za to wesołych tygodni we Lwowie. Do tego przy-

plątała się miłość nieszczęśliwa, o której pisze się dużo w dzienniczku w sposób (jakżeby mogło być inaczej!) Werterowski: „Nie tyle strudzony podróżą snu pragnie, nie tyle rolnik w upały czystego źródła, ile ja godziny rozstania się z życiem". Nim jednak uperfumowany dandys zdołał odebrać sobie życie — urodził się wielki pisarz. „Tęskniłem za obozem, nudziłem się przeto, i ażeby coś robić — zostałem poetą".

* * *

III.

Jan Jakób Rousseau, odpoczywając raz w upalne południe pod cieniem lipy, doznał nagle dziwnego wstrząsu, zaczął coś pisać, leżąc na ziemi i został wielkim autorem. Równie nagle rozbłysła w Wincentym Polu, — który niemal że mówić jeszcze dobrze po polsku nie umiał — najdźwięczniejsza strofa wiersza polskiego. Akord muzyki chłopskiej rozbudził w Chopinie geniusza, a pomniki starej katedry oblały Sienkiewicza łuną natchnienia. Podobnie było z Fredrą.

„Zawsze mię coś do pisania ciągnęło" — mówi wprawdzie w pamiętniku — ale tem pisaniem były zrazu wierszyki swawolne, pisane na tornistrze w obozach. Komedyopisarz urodził się nagle. Nie można się dość nadziwić, czytając odnalezioną świeżo „Intrygę na prędce" — napisaną w rozgwarze zabaw w r. 1815. bez namysłu, tak sobie od niechcenia. Wielki Fredro tkwi już *in potentia*! I nie dojdziesz, gdzie się nauczył sceny

i techniki. We Lwowie widywał tylko naiwnych amatorów; pierwszy porządny teatr obaczył, doszedłszy z rejterującym Napoleonem do Paryża, ale na występy słynnego Talmy patrzył — zgoła obojętnie. Przypadek wtyka mu w rękę tomiki Moliera, przyniesione przez Igla we Lwowie i — „odtąd zabrałem się do pracy na seryo“. A tworzy najczęściej gwałtownie, impulsywnie. Natchnienie opanowywać go zwykło tak nagle, jak np. wulkaniczne napady gniewu. Leżąc pod sosną w Jatwiengach napisał pierwsze sceny „Męża i żony“, w r. 1866. spotkawszy w Wiedniu Kaczkowskiego, usadawia go w Schönbrunnie na ławce i każe słuchać świeżo ukończonej komedyi. Jeżeli lekturze nie towarzyszył doraźny aplauz słuchających, Fredro zaczynał wątpić i nie dowierzał wartości komedyi. „Dziadek mój — opowiada p. Szembekowa — nigdy nikomu później nic nie czytał, prócz babce w cztery oczy. Rzadziej czynił to wobec wnuków, a gdy widział, że zanosili się od śmiechu, mawiał: „Oto moja najmilsza, najwdzięczniejsza publiczność. Dla niej warto pisać!“ Często wszakże audytoryum zostawało zimne. Tak np. brat Seweryn z Nowosiółki skrytykował... „Pana Jowialskiego“, zaczem Fredro nigdy odtąd tej sztuki nie lubiał. Właściwie — zły był zawsze, że zdecydował się na ogłaszanie i wystawianie komedyi. Chciał być swobodnym, niezależnym, nie żądał chwały, ale też nie dopuszczał nagany. Irytowało go przedewszystkiem, że staje przed sądem tłumu, który przywłaszcza sobie *ius gladii* nad autorem i dziełem. Nie o pochwałę, czy naganę

chodziło, lecz o zasadę. I stąd wieczna walka między patrzącym z góry na tłum karmazynem, a żądnym słuchaczy — poetą. Już na długo przed atakiem Goszczyńskiego Fredro jest — zrażony do sceny. Właściwie od tej chwili, gdy mu Osiński każe w r. 1819. skrócić... Geldhaba, a potem znowu powie, że sztuka dobra jest, ale lepiej wystawić ją we Lwowie. I gdy mu krytykować będą „atrament blady, oraz zły papier“ w manuskrypcie!

„Nigdzie komedye Aleksandra Fredry — powiada Tadeusz Wasilewski w swej powieści „Szymon Brzeski“ (1830) — nie mogą być tak dobrze wystawione jak we Lwowie. On tutejszych aktorów grę sobie wyobraża, gdy pisze, na próbie też może sam niejednej dobrej rady udzielić i myśl nie dość dokładnie pojętą aktorowi wyjaśnić, a ci ze swojej strony pysząc się tak znakomitym poetą ziomkiem z całą usilnością, z całem zajęciem się sztuki jego odgrywają“.

Istotnie tak było z początku. Do brudnego ciasnego teatrzyku Kamińskiego, gdzie dwadzieścia łojówek kopciło przez wieczór, chodził Fredro z zapałem, w Kamińskim zaś miał gorącego orędownika talentu.

Po wielu latach tak wspomni o tych czasach w wierszu „Pro memoria“:

Publiczność tylko szczerą tę miałem po sobie,
Inaczej byłbym dernął zaraz w pierwszej dobie.
Przytem i teatralne dzienniki w Warszawie
Przemawiały odrazu mniej więcej łaskawie.

W lwowskich tylko, jak mówią, i pies nie [zaszczekał;
Ale nic nie straciłem, żem lat kilka czekał,
Bo jakiś Minos powstał i zaszczekał wściekle,
Chciałby moich pięć tomów w piątem widzieć
Źle pisałem. Zgoda". [piekle

Od chwili ataku Goszczyńskiego świat kulis przestał dla Fredry istnieć, a choć wkrótce chwała „Zemsty" i „Ślubów" obiegła Polskę całą — Fredro do sceny już nie wrócił. Syn, Jan Aleksander napisze potem w swych wspomnieniach: „Na próbach albo na przedstawieniach ojciec rzadko bywał, albo wcale nie — posuwając tę obojętność do tego stopnia, że wcale wielu komedyi na scenie nie oglądał". Jeszcze gorzej było z premierą „Jowialskiego". „Grano tak niegodziwie — żali się Fredro — że doznawałem uczucia, jak gdyby mi kto kiszki szkłem piłował". W pół aktu wyszedł z loży, drzwi zatrzasnął i uciekł do domu.

Jakieś, głęboko w duszy tkwiące, pokłady atawistyczne utrudniały mu kontakt z demokratyczną literaturą nowożytną, a wybujała i przeczulona drażliwość uniemożliwiała mu porozumienie ze współczesnością polską. Nie było już nigdy potem w Polsce takiego, jak on, pisarza — żołnierza — ziemianina. Przyszedł do nas jak gdyby wprost z epoki Zbylitowskich, Rejów, Wacławów Potockich. Dziwne rzeczy zeszły się razem: twórczość z gruntu współczesnego wyrośnięta, twórca nie umiejący się z epoką pogodzić.

*
* *

IV.

Nie tylko drażliwy artysta, ale i obywatel nie umiał znaleźć dla się miejsca i po każdej próbie występu publicznego chował się znowu w zacisze dworku na Chorążczyźnie. A było prób tych wiele i na niejednem polu. Twórca „Zemsty“ miał przedewszystkiem znakomite zadatki na męża stanu i nieraz dał tego dowody w ciągu czterdziestoletniego prawie posłowania. Już w r. 1836 był deputatem Stanów galicyjskich i ubierał czasami ów operetkowy mundur galowy, dla „Jaśnie Wielmożnych deputatów“ we Wiedniu fabrykowany. Wtedy to z zapałem serdecznym zabiegał wraz z Tadeuszem Wasilewskim około sprawy założenia Towarzystwa kredytowego ziemskiego, występował w obronie Ossolineum, które kością w gardle stało biurokracyi. Zniechęcony nadmiernemi trudnościami złożył mandat w r. 1842. Świadectwo swych wielkich uzdolnień politycznych złożył Fredro w r. 1846 po rzezi tarnowskiej, opracowując odważne i śmiałe „Uwagi nad stanem socyalnym Galicyi“. — I znowu zraził się do polityki, gdy w r. 1848 odrzucono w Radzie Narodowej jego projekt adresu do korony, jako zbyt skromny w wymaganiach, a przyjęto projekt Jana Dobrzańskiego, który domagał się odbudowania Polski w dawnych granicach przez cesarza Austryi.

Zachęcony przez Leona Sapiehę wziął w owym czasie (r. 1840) Fredro udział w pracach nad budową pierwszych kolei żelaznych w Galicyi. Wszystko szło jak najlepiej, gdy jednak przyszło konferować z Rotszyldem — Fredro wycofał się

odrazu, oburzony do żywego, gdy bankier wiedeński obiecał im — protekcyę w ministerstwach. Wyniosły karmazyn uważał to za niesłychaną ofiarę osobistą, gdy pozwolił się Rotszyldowi na obiad zaprosić, a ten mu jeszcze protekcyę obiecuje! Zaczem — wrócił znowu na Chorążczyznę.

Próbowano też często zjednać pióro Fredry dla pracy publicystycznej. Tadeusz Wasilewski chciał wraz z nim założyć w r. 1840. pismo literackie we Lwowie, ks. Adam Czartoryski zaklinał go w listach z emigracyi, że „nie wolno mu być opieszałym“ i doradzał założyć „pismo satyryczne, celem karcenia wad krajowych“. W gorących dniach „wiosny ludów“ dał się nawet Fredro nakłonić do udziału w konferencyach nad założeniem pisma codziennego — ale na planach zawsze się kończyło — nieszczęsna drażliwość komedyopisarza umiała zawsze znaleźć powód do obrażenia się i secesyi. „Och, co za rozkosz — pisał wtedy — zamknąć się i nie patrzyć. Ani na czasy, ani na ludzi!“

* * *

Przy ulicy Akademickiej stoi na środku skweru samotna, dumna i wyniosła topola. Przerosła wysoko wszystkie drzewa naokół, a znowuż gmachy kamienic ją przerastają. Mówiono mi, że Fredro lubił tę samotną topolę. Może dlatego, że był do niej podobny.

A z dworku na Chorążczyźnie śladu od lat niema. Ustąpił miejsca ul. Senatorskiej. Niema śladu, a przecież jest!

PRZYPISY

O TEM, JAK AMOR PANU KOŚCIUSZCE NIE SPRZYJAŁ.

W szkicu niniejszym wyzyskano całą literaturę naukową przedmiotu. Co do wszystkich szczegółów zob. prace następujące: Korzon: Kościuszko str. 98 i nast., 218 i nast. oraz przypisy. Dwa dokumenty, wspomniane u Korzona, z muzeum Rapperswylskiego ogłosił J. Pietrzycki: „Z dziejów serca Kościuszki“ (Dwa listy, „Nowa Reforma“, 1917 nr. 276). Bardzo wątpliwą wartość obu listów wykazał Z. L. Radzimiński w „Kurjerze lwowskim“ z listopada 1917. Szereg nowych wiadomości i krytyczne rozpatrzenie dawnych przynosi rozprawa Wł. Dzwonkowskiego. Młode lata Kościuszki. Biblioteka Warszawska 1911, zeszyt październikowy. Ponadto por.: Koneczny F. dr. Kościuszko. Poznań 1917. str. 117. Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta, Poznań str. 112—136; pismo zbiorowe Ohryzki I, str. 187—9; Siemieński, Listy Kościuszki. Lwów 1878, passim, Gloger Zygm. Encyklopedya staropolska („Ogrody“): A. Andrzejowski Ramoty starego detiuka o Wołyniu, I, str. 100; Dr. Antoni J. Rolle. Gawędy z przeszłości, str. 223 i nast. 244; o zamiarze wydania Anny Zamojskiej za Kościuszkę por. Leon ks. Sapieha, Wspomnienia. Lwów 1913 str. XII i 6.

Dziełko: „Sokrates wieśniak“, tłumaczone przez Ludwikę i Katarzynę Sosnowskie (egz. w bibl. Ossolińskich) poprzedził przedmową X. Ignacy Nagurczewski; listy Józefa i Ludwiki Sosnowskich znajdują się w zbiorze auto-

grafów biblioteki Ossolińskich. Portret Ludwiki Sosnowskiej w posiadaniu Andrzeja ks. Lubomirskiego; por. Katalog wystawy Kościuszkowskiej we Lwowie. Lwów 1917. str. 25 nr. 81.

KAPITAN PIĄTKOWSKI U NAPOLEONA NA WYSPIE ŚW. HELENY.

Rzecz niniejsza, drukowana pierwotnie w „Gazecie Wieczornej“ w r. 1913, oparta jest w całości na publikacyi angielskiej: Watson G. L. A Polish exile with Napoleon. London, Harper Brothers 1912. — Praca zawiera szereg listów i dokumentów, znajdujących się w British Museum. Krzywdzący sąd, jaki wydawali dotąd historycy (Masson i inni) o Piątkowskim, upada w zupełności wobec wywodów Watsona. Z artykułów dziennikarskich, osnutych na ich podstawie, por. „Temps“ z 18. października 1908, „Kurjer lwowski“ z 1908 nr. 565. — Por. nadto: Niemcewicz J. U. Pamiętniki, Poznań 1871. I, str. 233. Ustęp z pamiętników Gourgaude'a, donoszący o przyjeździe Piątkowskiego zob. w dziele Roger Peyre. Napoleon i jego epoka. (Przekład Wł. Bukowińskiego) Warszawa, 1901, str. 414—415.

Wiersz Byrona: Por. Byron Oeuvres traduit de M. A. Pichot. Paris 1871. T. I. str. 481.

NA KONGRESIE WIEDEŃSKIM.

Sprawa polska na kongresie wiedeńskim czeka dotąd na swego historyka. Nie posiadamy nietylko wyczerpującej monografii na ten temat, ale brak choćby prób ogarnięcia całości przedmiotu. W ogólnych rysach nakreślił granice tematu prof. Sz. Askenazy we „Wczasach historycznych“, a w studyum swojem „Polska i Europa“, w „Bibliotece warszawskiej“ ogłosił szereg ważnych dokumentów. — Tych ostatnich nie zna Kazimierz Bartoszewicz,

który w książce swej „Utworzenie Królestwa Kongresowego“ wyzyskał nieco pobieżnie znany dotąd polski materyał drukowany. W wiązance szkiców niniejszych wyzyskano zarówno polską jak i zagraniczną literaturę przedmiotu. Mieliśmy w ręku prace następujące: A. Fourniera „Die Geheimpolizei auf dem Wiener Kongress“. Wien — Leipzig 1913 (por. referat dr. E. Kipy. „Gazeta Wieczorna“ 1913. nr. 1819. z dnia 11. kwietnia); Leisching. Wiener Kongress. Wien 1898; Gräfin Thürheim. Mein Leben 1788—1819. Erinnerungen aus Oesterreichs grosser Zeit, t. 1—2. München G. Müller 1913. A. Graf De Lagarde. Gemälde des Wiener Kongresses 1814—1815. Mit einem Vorwort und zahlreichen Anmerkungen neu herausgegeben von Gustav Gugitz, München, G. Müller 1912, t. 1—2; Der Wiener Kongress. Nach Aufzeichnungen von Teilnehmern u. Mitarbeiten herausg. von Friedrich Freksa. (Memoiren-Bibliothek V. Serie. IV. Band).

I.

Goście z Polski. O pobycie i udziale ks. Adama Czartoryskiego por. Askenazy: Polska i Europa. Bibl. warsz. 1909. t. II. str. 56 i nast.; Bieliński, Żywot ks. A. Czartoryskiego; Fournier l. c. (index); — O Antonim Radziwille: Bibl. warsz. 1911. t. II. str. 27; Kieszkowski Jerzy. Wczasy naszych ojców. Kraków 1913 str. 27—9. — Louise de Prusse pr. Antoine Radziwiłł. 45 années de ma vie. Paris 1911; Menzel A. Briefe. Berlin, J. Bard, 1912. — O Szaniawskim: Dębicki. Puławy, II. 232; Fournier l. c. 259; Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich rozdz. VIII. Potocki L. Urywek ze wspomnień mojej młodości. — O H. Lubomirskim. Fournier l. c. 399, 426; Niemcewicz, Pamiętniki. Poznań 1871. str. 233. O Dyzmie Tomaszewskim: Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego t. V. str. 20. i nast.; Ochocki J. D. Pamiętniki t. IV. str. 280. dr. Antoni J. Opowiadania historyczne S. III. T. I. Warsz. 1882. str. 160. — O pobycie księcia generała ziem podolskich we Wiedniu zob.: Listy ks. generała do hr. Drohojowskiej w Krukienicach (Autogr. Ossol. nr. 2669 i 2670).

(Str. 79—85). Le congrès danse. Przytoczony wierszyk zanotował w swych wspomnieniach Ambroży Grabowski. Kraków 1909. t. I. str. 202. Jest to przekład utworu niemieckiego, który krążył po Wiedniu wraz z karykaturami monarchów por. Fournier l. c. str. 114.

(Str. 86—94). „Pawiem narodów byłaś i papugą“: Lubomirski E. Obraz historyczno-statystyczny Wiednia. Warszawa, 1821; Fournier, l. c. passim, De Lagarde, l. c. passim. — O Zofii Zamojskiej zob. Bonawentura z Kochanowa. Święcone w pałacu Potockich str. 33. — O ks. marszałkowej Lubomirskiej por.: Kulczycki. Pamiątki polskie we Wiedniu str. 316; Dembowski L. Moje wspomnienia. Petersburg 1898. I. str. 18; Dębicki L. Puławy. II. 316, III, 388; Morawski K. M. Z wieku Łazienek. Kraków 1912; Pepłowski St. Obrazy z przeszłości t. II, str. 342. Węgierski Kajetan. Pisma (wyd. Estreichera). O Arturze i Stanisławie Potockich por. Fredro Al. Trzy po trzy, str. 115, 123.

(Str. 95—100). Romans carowej. Gourgaud. Journals II, 401, hr. Gołowin. Souvenirs, 113 (cytat u Fourniera); Fournier l. c. str. 47—50. Askenazy. Polska i Europa. Bibl. warsz. 1909. t. III. str. 56—66. — Powodem oziębienia się stosunków Aleksandra z Czartoryskim było także przejęcie listów Czartoryskiego do dyplomatów angielskich por. A. Potocka. Memoires str. 189. — Freksa l. c. str. 31, 206 i nast.

(Str. 101—104). Farys na kongresie: Zob. Pamiętniki B. Michałowskiego, ogłoszone przez H. Rzewuskiego t. V. str. 66—72. Siemieński. Portrety literackie t. IV. str. 171, 187. Sapieha Leon, Pamietniki str. 22—5; nadto genealogia Rzewuskich w herbarzach Niesieckiego-Bobrowicza, Żychlińskiego i t. d.

(Str. 105—109). W hotelu „Zum goldenen Ochsen“. O pobycie Kościuszki na kongresie zob. Korzon. Kościuszko str. 531—533; Michałowski. l. c. str. 96. — Fournier l. c. str. 481 i nast. Bartoszewicz. Utworzenie Królestwa Kongresowego (indeks „Kościuszko“). — Zahorski Wł.

Nieznane listy Kościuszki. Roczniki wileńskiego Tow. przyjaciół nauk z r. 1910.

(Str. 110—115). Niedoszła królowa polska. Por. Vandal. Napoléon et Alexandre I. chap. XII. — Bibl. warsz. 1909. t. III. str. 53. Bartoszewicz l. c. 246, 296. Dębicki. Puławy II, 208 (pobyt w Łańcucie); Freksa l. c. 7, 207—9, Thürheim. Mein Leben, II. 99 i nast.

(Str. 116—122). Przez dziurkę od klucza. Szczegóły zaczerpnięte z dzieła Fourniera l. c. passim. — Co do w. ks. Konstantego por. Fournier l. c. str. 54; Pamiętniki jen. hr. Zamojskiego (indeks). — O Tyszkiewiczowej zob. Askenazy. Wczasy historyczne I, 66 oraz Pamiętniki B. Michałowskiego t. V. str. 89—91. — O Naryszkinie. De Lagarde l. c. (indeks) Wodzicki A. Wspomnienia, Kraków, 1889 str. 30. — O Ludwiku Jabłonowskim (którego nie należy mieszać z autorem pamiętników) zob. Teresa Jabłonowska. Skarbiec szlachectwa (Rkp. Ossol. Tom IV, str. 52—56).

(Str. 123—127). Książka polska na salonach obrad. Do życiorysu hr. De Lagarde por. przedmowę do przekładu niemieckiego jego pamiętników Gugitza l. c. t. I. Egzemplarz „Zofiówki" w wydaniu z r. 1815 znajduje się w Bibliotece Ossolińskich (podobizna tytułu w historyi lit. pols. Chmielowskiego, t. III). — Por. Tadeusz Mitawa. Wielbiciel Kościuszki. Nowa Reforma 1917 z dnia 19 października; Freksa l. c. str. XXXIX i nast.

(Str. 128—137). Anno 1815 w Warszawie. Ustęp ten drukowany w „Gazecie Wieczornej" z grudnia 1915. — Por. co do przytoczonych tu szczegółów: M. R. Ostatnia wojewodzina wileńska, Lwów 1896; passim; — Onufry Kopczyński. Wiersz do Kongresu wiedeńskiego. W dniu 1. października 1814. str. 4. (Bibl. Ossolińskich) toż po łacinie i po francusku. — Falkowski. Obrazy z życia kilku pokoleń, passim.

JAŚNIE OŚWIECONY ROMANTYK.

Sylwetka niniejsza jest skróconą i przerobioną rozprawką autora pt. U świtu romantyzmu. I. Edward Lubo-

mirski. Pamiętnik literacki 1910 zesz. II. — Streszczenie poematu Lubomirskiego zamieścił później prof. Ignacy Chrzanowski w „Ill. Kurjerze krakowskim“ (nr 284 rok 1917), oraz równocześnie w tym samym numerze dr. M. Szyjkowski.

FUNDATOR SCENY LWOWSKIEJ.

O Stanisławie hr. Skarbku nie posiadamy dotąd poważniejszej pracy naukowej. Materyały drukowane i rękopiśmienne do jego życiorysu odszukał i zestawił starannie (-ąż) Jarosław Pienążek w Gazecie narodowej (numery z lutego 1885) powtórzone później i rozszerzone w „Słowie polskiem“ (nr. 540 i 546 z 21 i 24 października 1910). Ponadto korzystaliśmy z dzieła St. Pepłowskiego o teatrze lwowskim, przedewszystkiem jednak oparliśmy się w charakterystyce Skarbka na pamiętnikach Ludwika Jabłonowskiego (rękopis).

ZUZANNA STRZEMBOSZÓWNA.

O Zuzannie Strzemboszównie wspomniał w kilku słowach St. P e p ł o w s k i. Obrazy z przeszłości, t. I, str. 139, potem obszerniej nieco opowiedział rzecz nieodżałowany śp. Franciszek J a w o r s k i, opierając się na opowiadaniu p. Malwiny Stroynowskiej; zob. Lwów stary i wczorajszy str. 315—9. — Sprostowanie mylnych szczegółów oraz wiązankę nowych znaleźliśmy w źródłach następujących: Augustynowicz Bolesław, Objaśnienie do portretu Zuzanny hr. Ożarowskiej w Muzeum ks. Lubomirskich; Jabłonowski Ludwik. Wspomnienia. (rękopis). Wurzbach C. Biographisches Lexicon t. VIII. str. 305. Szematyzm galicyjski z lat 1820—1828: Gembarzewski Bronisław. Wojsko polskie. Lista imienna oficerów księstwa warszawskiego, str. 39; Wykaz szlachty galicyjskiej i bukowińskiej Lwów 1856; Słownik geograficzny, (Lackie, Olszanica), Żychliński. Złota księga szlachty polskiej, t. XVI.

str. 113. — Co do innych wspomnianych w tym szkicu szczegółów obyczajowych i tła por. Łoziński Władysław. 1) Galiciana, 2) Pierwsi Galicyanie, 3) Towarzystwo lwowskie; Dembowski Leon. Moje wspomnienia. Petersburg 1898, t. I—II passim; Rydel L. Awanturnik XVIII wieku „Książę Denassów". Kraków 1903. str. 137.

Autorstwo Szwejkarta poświadczyła p. M. Cieńska, w której posiadaniu znajduje się drugi, odmienny portret hr. Ożarowskiej, malowany również przez Szwejkarta, który miał majątek w sąsiedztwie.

W DWORKU FREDRY NA CHORĄZCZYŹNIE.

Rozprawka niniejsza oparta w części na materyałach rękopiśmiennych, w części na drukowanych. Materyały rękopiśmienne z archiwum rodzinnego autora, a mianowicie z opowiadań Juliusza Starkla i papierów po jego teściu marszałku Tadeuszu Wasilewskim. Z kolei cytowane już pamiętniki Ludwika Jabłonowskiego w ustępach ogłoszonych przez autora niniejszej pracy: Jakim był Fredro? Dziennik polski 1916 nr. 199. — Ulica i salon Lwowa. Gazeta Wieczorna z 9. lutego 1916. — Teatr lwowski przed stu laty. Gazeta Wieczorna z 16. marca 1916. — Por. nadto: Fredro Al. Trzy po trzy. Dzieła, Wyd. zbiorowe t. XIII. — Fredro J. A. Ze wspomnień. Przegląd polski r. 1887. t. 126. — Marya z Fredrów Szembekowa. Dworek na Chorążczyźnie Przeglad polski tom 156. — Kozłowski Włodzimierz Zofia z Fredrów Szeptycka. Gazeta narodowa z marca i kwietnia 1904. — Kaczkowski Zygmunt. Mój pamiętnik. Lwów 1899. Biegeleisen H. dr. Z nieznanego pamiętnika Fredry. Biblioteka warszawska 1892 t. II. — Pepłowski Stanisław. Z papierów po Fredrze. — Dębicki L. Portrety i sylwetki. — Günther Wł. Fredro jako poeta narodowy. Biblioteka warszawska, 1914. — Fredro Al. Trzy po trzy. Warsz. 1918 (wyd. H. Mościcki z przedmową Siedleckiego).

SPIS RZECZY.

SPIS ILUSTRACYJ.